



CAROLLY ERICKSON

Rywalka królowej

ROZDZIAŁ I

Ogień zaczął trzaskać i wystrzelił wyższym płomieniem w ciężkie powietrze, gdy słudzy mego ojca dołożyli wiązek chrustu. Spośród migających pomarańczowych języków uniósł się szaro-czarny dym, a gorąc bijący od przybierającego na sile ognia zmusił mego młodszego brata Franka do cofnięcia się, jakby z obawy, że i nas może sparzyć albo spalić, podczas gdy zakrywaliśmy dłońmi nosy i krzywili się od gryzącego, wstrętnego zapachu palonego ciała.

Ja się nie cofnęłam; stałam na swoim miejscu nawet wtedy, gdy rozlegały się pełne cierpienia krzyki Jocelyna. Wstrzymywałam oddech i z zamkniętymi oczami modliłam się. Proszę, Boże, spraw, żeby spadł deszcz. Proszę, Boże, zgaś ten ogień.

Był przygnębiający i zimny ranek. Zaciągnięte niebo ciemniało z każdą chwilą i spadło nawet parę kropel deszczu. Sądziłam, że niewiele trzeba, by zagaścić takie ognisko. Proszę, niech się wreszcie porządnie rozpada!

Wtem wielka silna dłoń zacisnęła się na moim ramieniu — czułam jej szorstkość nawet przez materiał sukni — i jęła odciągać mnie do tyłu.

— Odsuń się, Letycjo! Nie widzisz, że ogień się rozprzestrzenia? Stań tam, obok swojego brata!

— Ale ojciec... — zaprotestowałam, lecz mój głos zniknął pośród ogłuszającego ryku płomieni i przenikliwego trzasku łamiących się gałęzi. — Przecież to Jocelyn! Nasz Jocelyn! Modlę się, żeby Pan zesłał deszcz i ocalił go!...

Zadarłam głowę, by spojrzeć ojcu w oczy, i natychmiast dostrzegłam na jego udręczonej twarzy spustoszenie wywołane bólem, a także rysy zastygłe w stanowczym wyrazie. Pochylił się ku mnie i odezwał zduszonym szeptem:

— Ja również się zań modlę. A teraz zrób, jak powiedziałem!

Od ognia bił coraz większy żar. Pociłam się, a twarz mi płonęła, mimo iż dzień był chłodny i znów poczułam na jednym policzku uderzenie kropli deszczu. Cofnęłam się i dołączyłam do brata, który płakał, głośno pociągając nosem; ujęłam go za rękę. Z początku próbował znieść to po męsku, nie poddając się mocy uczuć, które ogarnęły nas wszystkich. Lecz Jocelyn był jego nauczycielem, naszym nauczycielem. Pokazywał nam, jak stawiać litery, instruował co do kaligrafii, później zaś zapoznawał z greką i łaciną. Mnie uczył przez siedem lat, Franka przez prawie sześć. Pokochałiśmy go.

A teraz musieliśmy patrzeć na jego śmierć.

Skończył na stosie za herezję. Za wyznawanie protestantyzmu, jak my wszyscy. Za to, że nie usłuchał królowej Marii wymagającej, by każdy jej poddany uczęszczał na mszę i poważał papieża, i wyrzekł się Kościoła Lutra — Kościoła, który jej ojciec Henryk VIII i jej przedwcześnie zmarły brat Edward VI zaprowadzili w Anglii, występując przeciwko starej rzymskiej wierze.

Wielu czuło tak jak Jocelyn, lecz w większości ludzie ukrywali swoje przekonania i brali udział w mszy wbrew sobie. Mój ojciec, który był niezwykle praktycznym człowiekiem, postępował zgodnie z rozkazami królowej Marii i wymagał od nas, byśmy czynili podobnie.

— To, co robimy na pokaz, nie ma znaczenia — powiedział nam. — Wyznawcami prawdziwej wiary czyni nas to, w co wierzymy w głębi serca. Pan Bóg widzi, co nosimy w sercach, ochrania nas i stawia ponad innymi.

Wszelako Jocelyna, który był bardzo odważny i bardzo czytany — uczonego z kolegium w Oksfordzie, studiującego starożytne pisma Kościoła — takie podejście nie zadowalało. Uznawanie autorytetu papieża i udział w katolickiej mszy to grzech, powiadała. Sprzeniewierzenie się prawdzie. Dlatego otwarcie przemawiał przeciwko królowej i jej Kościołowi, za co został schwytany i wtrącony do lochu. A teraz, dzisiaj, skazano go na śmierć.

Przyglądałam mu się, kiedy wymizerowany i wycieńczony szedł pod strażą na przełaj przez zroszoną trawę do miejsca, gdzie trzciny i połamane gałęzie zostały ułożone w stos sięgający dorosłemu mężczyźnie do kolan. Pośrodku tego stosiku tkwił trójnogi zydeł, na którym kazano mu stać. Zanim się nań wdrapał, Jocelyn pochylił się i złapał garść trzciny, po czym ucałował je nabożnie.

— Widzicie, jak błogosławi trzciny! Widzicie, jak godzi się ze swym męczeństwem! — wykrzykiwali ludzie w tłumie. — Z pewnością dostanie się do rajy naszego Pana!

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, gdyż nie chcieli trafić do lochu ani w ręce kata, a przecież wszędzie wokół stali strażnicy i żołnierze, nadstawiający ucha na bluźnierstwa przeciwko Kościołowi rzymskiemu.

Następnie do drow przyłożono pochodnię i gałęzie zajęły się ogniem; Jocelyn wpiersz się modlił za królową, która go skazała, i za mego ojca ze sługami, którzy wzniesli stos, lecz wkrótce pokonany cierpieniem zaczął krzyczeć.

Dosłyszałam, jak mój udręczony ojciec woła do Jocelyna, błagając go o wybaczenie. Jedyłą odpowiedzią było przeciągłe wycie umierającego, na co mój dumny, surowy rodziciel jął ronić łzy.

Mimo iż byłam bardzo młoda — w dniu śmierci Jocelyna miałam zaledwie szesnaście lat — zdałam sobie sprawę, że mój ojciec jest karany wraz z moim nauczycielem. Królowa Maria chciała, aby cierpiał. Doskonale wiedziała, że jest wiernym sługą Korony od młodego wieku — przebywał w najbliższym otoczeniu króla Henryka, a po jego śmierci służył jako poseł i doradca królowi

Edwardowi. Zawsze był niezachwianie wierny monarchii, wszakże w głębi serca nie wyznawał starej religii i to budziło w niej niechęć. Królowa była mściwa, każdy tak mówił. Tym razem dokonała zemsty na moim ojcu, kazała mu brać udział w egzekucji młodzieńca, którego faworyzował, Jocelyna Palmera.

Znienacka nadciągnął silny podmuch wiatru, czułam, jak unosi mi spódnice i tchnie zimnym oddechem wprost w szyję. Wypuściłam na moment rękę Franka, kiedy odskoczył ode mnie, by uniknąć sypiących się na nas iskier.

Wiatr dławił ogień. Ledwie śmiałam zerknąć w stronę Jocelyna. Włosy miał spalone, tak jak i większość odzienia, twarz poparzoną i szerniałą, ale jego wargi się poruszały.

Śpiewał hymn. Głos miał chrapliwy, lecz dało się rozpoznać melodię. Zebrani przyłączyli się do śpiewu, kiedy ogień gasł i zmieniał się w żar.

— Drogi Jezu, Synu Dawidowy, miej litość! — wykrzyknął Jocelyn. — Niech to się skończy!

Żołnierze podeszli do mojego ojca i zaczęli coś mówić, wszakże stali tak blisko niego, że nie wyłowiłam żadnych słów. Podniosłam spojrzenie na ciemniejące niebo, myśląc, że na pewno rychło się rozpada, co byłoby widomym znakiem Bożej łaski.

Tymczasem mój ojciec jął wydawać rozkazy; przyniesiono świeże wiązki chrustu i drwa, zaczęto od nowa rozniecać ogień. Wcześniej jednak przysadzisty strażnik przytroczył Jocelynowi do pasa dwa nabrzmiałe owcze pęcherze.

— Nie! — wrzasnęłam w stronę ojca. — Oszczędźcie go! Pozwólcie mu żyć!

Ponownie złapał mnie za ramię i pochylił się, aby przemówić do mnie i tylko do mnie.

— Muszę robić, jak każe królowa. Inaczej wszystkich nas spotka los Jocelyna. Ale mogę mu okazać miłosierdzie. Te pęcherze wypełniono prochem strzelniczym. Gdy ogień ich dosięgnie, wybuchną i Jocelyn skona, nie cierpiąc więcej.

Chrust zajął się ogniem od przyłożonych pochodni, mimo że z nieba zaczął padać deszcz — deszcz, o który tak usilnie się modliłam; nad płomieniami wykwitł dym, czarny i duszący, i wiał prosto w naszą stronę, niosąc ze sobą smród palonego ciała. Pomyślałam, że dłużej tego nie zdzierzę.

Do gardła podeszła mi żółć. Zgięłam się wpół. Nogi mi drżały i ledwie mogłam oddychać. Czas mijał. Słyszałam, jak dookoła ludzie zanoszą się płaczem, wzdychają i pokasłują od gęstniejącego dymu. Zerknęłam na Franka. Mój brat zamknął oczy i zwiesił głowę. Opuszczone wzdłuż boków ręce zacisnął w pięści.

Wtem w oślepiającym błysku i ogłuszającym huku eksplodowały pęcherze z prochem strzelniczym, wszakże tego dnia dla Jocelyna nie było łaski. Fala wybuchu poszła na zewnątrz, odrywając część jednego ramienia, lecz pozostawiając nienaruszony tułów.

Skąd zaczerpnęłam odwagi, by spojrzeć na niego wtedy, w tej ostatecznej sytuacji, chyba nigdy nie będę wiedziała. Miał poczerniałe nogi, z urwanego ramienia ciekła krew, zamiast oczu w jego głowie ziały dwie wypalone dziury. A mimo to napuchnięty język poruszał się pomiędzy tym, co pozostało z jego warg, ja zaś wiedziałam, że formuje słowa modlitwy.

— Panie Jezu! — łamiącym się głosem powiedział mój ojciec. — Przyjmij jego duszę!

Nagle, do wtóru donośnego grzmotu, niebiosy się otwały i deszcz zaczął lać się grubymi zasłonami, nasączając trawę i gasząc płomienie, zmieniając twardy grunt pod naszymi stopami w chlupoczące błoto.

Ulewa, o którą się modliłam, w końcu nadeszła, za późno jednak. To, co zostało z ciała Jocelyna, zwisało bezwładnie i bez życia, a rysy jego twarzy — twarzy, którą kochałam — były tak spalone, że nie dało się ich rozpoznać.

Poczułam, jak Frank bierze mnie za rękę, i staliśmy tam, czepiając się siebie wzajemnie, niepomi na lejącą nam się na głowy wodę, do czasu aż tłum zaczął rzędnąć, a mój ojciec kazał owinać zwłoki w całun grzebalny i zabrać je.

ROZDZIAŁ II

Opuściliśmy Anglię wkrótce po tym, jak zginął Jocelyn. Ojciec powiadał, że nie mamy wyboru, a mama się z nim zgadzała. Anglia przestała być bezpiecznym miejscem dla rodu Knollysów.

Nie chodziło wyłącznie o to, że mój ojciec, Franciszek Knollys, nie był w stanie nadzorować okrutnych egzekucji braci w wierze protestanckiej — lub katolików, skoro już o tym mowa — gdyż w głębi duszy był łagodnym i wrażliwym człowiekiem. Nie chodziło też tylko o to, że królowa Maria robiła się coraz bardziej mściwa i skazywała na śmierć coraz więcej mężczyzn i kobiet, którzy nie podzielali jej rzymskiej wiary, ani o to, że jak powiadali niektórzy, królowa balansowała na krawędzi szaleństwa z powodu gniewu i smutku, iż nie potrafi wydać na świat żywego dziecka, które by odziedziczyło po niej koronę.

Chodziło o to wszystko i o coś jeszcze — o głęboko zakorzenioną we krwi skazę, która czyniła z nas łatwe ofiary królowej Marii. Byliśmy bowiem spokrewnieni z jej przyrodnią siostrą, księżniczką Elżbietą, która przebywała właśnie w londyńskiej Tower oskarżona o zdradę.

Moja mama, urodziwa Katarzyna, była ciotką księżniczki Elżbiety, natomiast ja, mój brat i moja siostra byliśmy jej kuzynami. Królowa Maria uważała zaś, iż każdy krewny księżniczki jest podejrzany i potencjalnie niebezpieczny dla Korony, jak również najpewniej pozbawiony skrupułów i moralności.

Mama wyjaśniła zawilości historii rodzinnej mnie, Frankowi i Cecylii, kiedyśmy byli jeszcze całkiem mali. Powiedziała, że wszystko zaczęło się we wczesnych latach panowania słynnego króla Henryka VIII, na długo przed naszymi narodzinami.

— Widzicie — opowiadała — świętej pamięci król Henryk był żonaty z Katarzyną Aragońską i potrzebował następcy tronu, ale wszyscy synowie królowej Katarzyny umierali, podobnie jak wszystkie córki z wyjątkiem Marii, naszej obecnej królowej... Gdybyż królowa Katarzyna była umarła! — kontynuowała z wyraźnym żalem. — Wtedy wszystko byłoby prostsze. Wszakże ona nie wybierała się na tamten świat i tylko rodziła coraz więcej dzieci, które jedno po drugim oddawały ducha Bogu. Nieszczęsny król myślał, że to Pan Bóg go karze, i być może tak właśnie było. Tak czy inaczej, wkrótce król zaczął faworyzować inne kobiety i pozwolił, by niektóre z nich zostały matkami jego dzieci. Jedną z tych kobiet była moja matka, a wasza babka, Maria Boleyn.

Nasza babka Maria Boleyn zmarła, kiedy byłam malutka, więc nie pamiętałam jej, wszakże widziałam portrety, do których pozowała, będąc młodą panią. Widniała na nich urocza dziewczyna o jasnych włosach i niebieskich oczach. Przepelniona niewinnością — albo przynajmniej

takie odnosiło się wrażenie, patrząc na obrazy. Z tego co mówiła mama, wynikało, że reputacja Marii Boleyn niewiele miała wspólnego z dziewczęcą niewinnością.

— Wyszła za niejakiego Wilhelma Careya — usłyszeliśmy jeszcze jako dzieci — ale zdobyła też miłość króla, która okazała się silniejsza. — Ostatnie słowa wypowiedziała niemal szeptem, jakby zawierała nam cenny sekret.

— Zatem ty jesteś córką króla! — zawołałam z przejęciem. — A my wszyscy jesteśmy królewskimi wnuczętami!

Mama uśmiechnęła się tajemniczo.

— Niektórzy tak właśnie twierdzą, lecz jak było naprawdę, wiedziała tylko wasza babka. Ona jednak milczała jak grób. Sądzę, że król wymusił na niej przyrzeczenie, by dochowała sekretu w sprawie naszego pochodzenia. Wszelako nie sposób zaprzeczyć, że król Henryk zawsze faworyzował mnie i waszego wuja.

Brat mamy, także Henryk, był u nas częstym gościem. Z wizyt w rodzinnym Rotherfield Greys zapamiętałam go jako wysokiego, dobrze umięśnionego mężczyznę, zdolnego jeźdźca i sprawnego szermierza. Tak, utwierdzałam się w duchu. Wuj Henryk z całą pewnością mógł być synem króla, który jak słyszałam, przewyższał wszystkich dworzan wzrostem i siłą i nie miał sobie równych w szrankach.

— Czyli ty jesteś księżniczką, a wuj Henryk jest księciem? — dopytywałam. — Powinnaś mieć królewskie przywileje...

Frank i Cecylia pokiwali zamasyście głowami.

— Tak! Tak! Należą ci się królewskie honory!

Ale mama tylko się roześmiała.

— Nie jestem żadną księżniczką, a już na pewno nie zostałam za takową uznana. Jestem po prostu Katarzyną Knollys, z domu Careya, córką Marii Boleyn Careya i Wilhelma Careya, dworzani-
na z najbliższego otoczenia króla Henryka. Mój brat ma taki sam rodowód, przynajmniej oficjalnie. Nie wiem, kto naprawdę był moim ojcem: król czy poślubiony matce Wilhelm Carey. Ten ostatni zmarł, kiedy byłam małą dziewczynką. Niewykluczone, że spłodził mnie jakiś inny mężczyzna, gdyż matka miała ponoć więcej kochanków. Ani mi jednak w głowie upominanie się o tron czy rywalizowanie z królową Marią.

— Jesteś do niego podobna — upierałam się. — Masz płomienne włosy i niebieskie oczy, i jasną cerę, zupełnie jak on.

Doskonale wiedziałam, jak wyglądał król Henryk, ponieważ wszystkie pałace były pełne jego portretów i nawet u nas stało jego popiersie wyeksponowane na honorowym miejscu.

Mama potwierdziła skinieniem, lecz zaraz podjęła całkiem innym tonem:

— Kim był mój ojciec, to jedno, lecz jest jeszcze drugi, mroczniejszy aspekt naszej rodzinnej historii. Wiąże się on z siostrą waszej babki Marii, Anną...

Wszyscy słyszeliśmy o Annie. Tej czarownicy. Tej nierządnicy. Tej złej kobiecie, która rzuciła urok na króla Henryka i wykorzystując magię, zmusiła go, by rozwiódł się z królową Katarzyną i ożenił z nią. O tej przebiegłej królowej, którą skrócono o głowę.

Odkąd pamiętałam, służba plotkowała o królowej Annie. Służące żegnały się znakiem krzyża — na katolicką modłę — ilekroć wymieniały jej imię, jakby chciały odegnać wciąż czające się zło, mimo iż Anna nie żyła od wielu lat. Moi rodzice nigdy o niej rozmawiali — to znaczy nigdy przy mnie — dlatego ostatnia wzmianka sprawiła, że nadstawiłam uszu.

— Moja ciotka królowa Anna Boleyn nie przepadała za moją matką. Choć były siostrami, bardzo się od siebie różniły. Moja matka była łagodną, miłą w obejściu kobietą, która często się śmiała, uwielbiała tańczyć i w ogóle miała pogodną naturę. Lubiła też jeść i pić więcej, niż jej służyło.

Słyszając to, zerknęłam na Cecylię i zobaczyłam, że ona również rzuciła mi spojrzenie. Obie uciekłyśmy prędko wzrokiem, ale doskonale wiedziałyśmy, co myśli ta druga: mama też piła więcej wina, niż jej służyło.

Skupiłam się znów na matczynej opowieści, nie chcąc uronić ani słowa.

— Natomiast moja ciotka Anna była przebiegła. Będąc dzieckiem, uważałam, że patrzy na świat zmrużonymi oczami. Miała moją matkę za głuptaskę, ale koniec końców to ona, przynajmniej moim zdaniem, okazała się mniej mądra z nich dwu. Moja matka przez większość czasu czuła się szczęśliwa, Anna zaś, mimo całej swojej przebiegłości, raczej nie zaznała prawdziwego szczęścia. Ja na pewno nigdy nie widziałam na jej twarzy zadowolenia.

Uśmiechając się, przyłożyła obie dłonie do twarzy najpierw mnie, a potem Cecylii.

— Tego dla was pragnę, dziewczynki — dodała. — Żeby wasze piękne twarzyczki były rozjaśnione szczęściem przez całe wasze życie.

— Przyglądałaś się, jak umiera królowa Anna? — zapytał nagle Frank. — Tak jak my musieliśmy patrzeć na śmierć Jocelyna?

— Nie. Ja i wasz wuj mieszkaliśmy podówczas na prowincji. Byliśmy w niełasce, jak wszyscy Boleynowie wtedy. I teraz też. Ale chodziło głównie o Annę. Annę i jej brata Jerzego, i tych wszystkich, którymi się otaczali. Och, to były straszne czasy. Każdy, kogo znałam, bał się... Najbardziej chyba bała się moja matka.

— Czy królowa Anna naprawdę była czarownicą? — pytał dalej Frank.

Mama zadumała się.

— Powiadano, że praktykuje alchemię. W domu usłyszałam, że ma specjalną komnatę, gdzie trzyma swoje wywary i różne ingrediencje. Słudzy utrzymywali, że potrafi zamienić ołów w złoto, ale nawet jeśli tak było, nigdyśmy od niej nie dostali ani ociupinki. Być może warzyła trucizny. Ale co do uprawiania czarów... — urwała i potrząsnęła powątpiewająco głową. — Ludzie mówili, że król jest nią niezwykle nienasycony. Moim zdaniem było to nienasycenie wynikające z wielkiej namiętności, a nie z czarów. W każdym razie — zmieniła nagle ton — królowa Maria nigdy nie wybaczyła swojej macosze królowej Annie tego, że uwiodła jej ojca i przymusiła do rozwodu z jej matką. Królowa Maria nienawidzi wszystkich Boleynów i to się raczej nie zmieni.

Wspominałam słowa mamy, kiedyśmy w Dover wchodzili na pokład galery ochrzczonej Anne Gallant, z zamiarem pozostawienia za sobą katolickiej Anglii królowej Marii i poszukania szczęścia w protestanckim Frankfurcie, gdzie mój ojciec miał znajomych, którzy obiecali wziąć nas pod swój dach. Opuszczając kraj rodzinny, trzymałam głowę wysoko, przekonana, iż w moich żyłach płynie krew Tudorów. Pamiętałam też, co powiedziała nam mama: że znacznie lepiej być szczęśliwym niż przebiegłym, a ponad wszystko należy unikać gniewu królów i królowych.

ROZDZIAŁ III

Czy to z powodu świeżo nabytej pewności, iż wywodzę się z linii królewskiej, czy też po prostu dlatego, że jako szesnastolatka rozkwitłam urodą, której zapowiedź nosiłam od najwcześniejszych lat, we Frankfurcie byłam powszechnie podziwiana.

Zawsze byłam ładnym dzieckiem, każdy to przyznawał, mimo iż mój ojciec marszczył brew na wszelkie wzmianki o mej urodzie i powiadał: „Przez was wbije się w dumę” albo „Zbyt wiele pochwał to używanie dla szatana”, ilekroć mama czy ktokolwiek inny wyrazili się z aprobatą o moim wyglądzie. Moja młodsza siostra, Cecylia, która była ulubienicą ojca, uderzała w bek i wypadała z komnaty, gdy zainteresowanie obecnych skupiało się na mnie, co z kolei rozdrażniało ojca — ale czy to moja wina, że miałam włosy rzadkiej barwy jesiennych liści, a cerę bez skazy i tak jasną jak najprzedniejsza kość słoniowa. (Włosy Cecylii były mysie, a cera, choć gładka, w kolorze przypominała piasek. Moja siostra miała jednak ładne zęby, o czym często jej przypominałam).

Zamieszkaliśmy we wspaniałym domu Jacoba Morffa, członka konsystorza i starszego Kościoła luterańskiego, osoby poważanej i liczącej się we Frankfurcie. Trzypiętrowy dom o spadzistym dachu stał nieopodal Alte Brücke, czyli Starego Mostu, w której to okolicy parę katolickich siostrzyczek wciąż prowadziło dom dla znajd. Całymi dniami wysłuchiwałam więc płaczu niechcianych niemowląt — mamie i mnie zdawało się, że dzieci przybywa z każdym mijającym

dniem. Poza tą niedogodnością domostwo Morffa nie pozostawiało nic do życzenia. Traktowano nas tam z dworną, może tylko nieco bezosobową gościnnością.

Zwyczajem wśród protestantów stało się udzielanie sobie nawzajem gościny, gdyż w miarę jak nasza liczba rosła, byliśmy tępieni coraz bezlitośniej i na kontynent zbiegło wielu Anglików, którzy nie chcieli zaznać ognia stosów królowej Marii. Herr Morff przyjął pod swój dach kilka angielskich rodzin, choć nie był specjalnie wylewnym gospodarzem, raczej trzymał się na dystans, jakby nie wiedział, co ma myśleć o nas, obcokrajowcach. W swoim czasie miałam zrozumieć dlaczego.

Z początku dobrze się czułam w naszym nowym miejscu zamieszkania, w tym dużym i tętniącym życiem mieście z wąskimi uliczkami wypełnionymi końmi i wozami, i kupcami noszącymi towary na plecach. Na rozległym rynku prowadzono handel w każdy dzień powszedni, w niedziele natomiast wszelkie transakcje i rozrywki były zabronione przez konsystorz. Niemal antyczna katedra z wysoką wieżą górowała nad wszystkimi budowlami Frankfurtu, a masywne kamienne mosty spinające brzegi Menu, grube miejskie mury i wielopiętrowe przysadziste kamienice stojące tam od wieków dodawały miastu solidności, a nawet wspaniałości. Londyn był starszy od Frankfurtu, tak twierdził mój ojciec, lecz Frankfurt był bogatszy — i znacznie bardziej prawomyślny, odkąd wszystkim zawiadywał konsystorz.

Że Frankfurt był prawomyślny, wiedzieliśmy stąd, iż dokądkolwiek się człowiek udał, słyshał hymny — nie tylko w świątyni, gdzie nabożeństwa były długie i nudne (oczywiście nikt nie skarżył się na to głośno), ale też wprost na ulicach i placach. Kiedyśmy wychodzili z domu popołudniami, nieraz przechodziliśmy albo przejeżdżaliśmy obok grupek mieszczan, którzy zebrali się, by śpiewać chorały czy inne nabożne pieśni.

— Musimy się do tego przyłączyć — zdecydował mój ojciec. — Nie wolno nam się wyróżniać z braci.

Zatem uczyliśmy się śpiewać „Jakże cudnie wstaje gwiazda zaranna” i „Mojej wiary w Ciebie nic nie zachwieje”, i jeszcze „Z głębin żalu wołam do Ciebie”, w naszym nieporadnym niemieckim, starając się przybierać wyraz twarzy, który podpatrzyliśmy u ojca — ilekroć śpiewał, w jego nakrytych ciężkimi powiekami oczach pojawiał się smutek, a na pobrużdżone, pociągłe oblicze wypełzała mroczna tęsknota.

Robiliśmy co w naszej mocy, by wyglądać i zachowywać się bogobojnie, lecz prawdziwej pobożności nie sposób udawać, a zresztą byliśmy przecież młodzi i przepelniała nas tłamszona energia, dla której nieczęsto znajdowaliśmy ujście. Śpiewanie hymnów w niczym nam nie pomagało.

Wszelako starsi wymyślali i narzucali nam sztywne reguły. Nie wolno nam było pływać, gdyż mogło to prowadzić do „występnego kąpania się” mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt bez różnicy. Nie wolno nam było chodzić na długie spacery, gdyż wysiłek przyspieszał krążenie krwi, co z kolei rozogniało namiętności. Ćwiczenia fizyczne rozbudzały dumę z cielesności, a ciało było bramą dla grzechu. Taniec, wiodący do frywolności i flirtów, został potępiony ze szczególną surowością.

Którejś niedzieli doszło do bójki na placu nieopodal Starego Mostu, naprzeciwko oberży Biały Lew. W rodzinnej wiosce Rotherfield Greys i podczas wizyt w Londynie widywałam kłócących się i młócących mężczyzn, wszakże aż do tamtego popołudnia nie byłam świadkiem bijatyki w rozśpiewanym hymnami Frankfurcie. Wtem spostrzegłam, że w środku wydarzeń tkwi pękaty blondynek, w którym rozpoznałam syna Jacoba Morffa, Nickklusa. Chłopak przypadł mi do gustu, ponieważ był zabawny i pocieszenie naśladował służące swego ojca. Kobiety te chodziły ze złączonymi kolanami, stawiając małe kroki, i wiecznie wbijały wzrok w podłogę, zamiast patrzeć na siebie, sprzęty w pomieszczeniu czy innych ludzi. Nie były nieśmiałe ani skryte, tylko dyskretne do granic. Nicklaus Morff zaś, pomimo niemałej tuszy i silnych młodzieńczych mięśni, potrafił się w sobie skurczyć i przybrać postawę jednej z nich, przyciskając kolana i tuptając w sposób, który doprowadzał do wybuchów śmiechu mnie, a i Cecylię, jeśli akurat była w pobliżu.

Tymczasem teraz Nicklaus uderzał głową innego chłopaka o zaokrąglone kamienie dziedzińca i darł się:

— Nie, właśnie że nie! Nie zrobisz tego!

Otoczała ich grupka sprzecających się o coś mężczyzn i chłopców, przyciągając tłum gapiów.

— Przestańcie natychmiast!

Rozpoznałam słusznego wzrostu mężczyznę, którego wcześniej widziałam raz czy dwa w domostwie Jacoba Morffa. Ów szanowany członek konsystorza samym głosem zdawał się torować sobie drogę pośród tłumu, aż w końcu stanął przy walczących i odciągnął ich od siebie. Paru innych starszych dołączyło doń, by położyć kres bójce. Awanturnicy, rozwichrzeni i umorusani, i nierzadko zakrwawieni, stanęli na szeroko rozstawionych nogach i spoglądali bykiem na siebie nawzajem. Dosłyszałam nawet, jak Nicklaus mamrocze pod nosem przekleństwo, próbując jeszcze dać kuksańca chłopakowi, z którym przed chwilą walczył.

— Wy tam, słuchać uważnie! Dostajecie ostrzeżenie. Jeśli zobaczę, że znów podnosicie na siebie rękę, zostaniecie publicznie wyczytani z imienia i nazwiska i oskarżeni o zakłócanie porządku. Prawdę mówcie, rzekł Pan, żeby całe ciało nie zostało pokonane przez jego najsłabszą część. No więc? Jaka jest przyczyna tego gwałtu i pijaństwa?

Z początku nikt się nie odezwał. Po chwili z grupki wypchnięto jednego mężczyznę.

— Chodzi o Białego Lwa, Herr Röder. Chcą go zamknąć!

— Zgadza się. Odtąd nie będzie w tym mieście oberż. Tylko chrześcijańskie gospody, w których będzie się można posilić. Z Biblią na każdej ławie. Tak postanowił konsystorz.

Przez tłum przeszedł jęk oburzenia.

— Cisza!

Ale protesty nadal rozlegały się to tu, to tam, gdzieniegdzie wołano: „Piwa! Piwa!”, a parę osób zaczęło śpiewać pijacką piosenkę.

Herr Röder wyjął z zanadrza długiej czarnej szaty tabliczkę i patyk ze zwęglonym końcem i jął spisywać nazwiska. W tym czasie przez otwarte drzwi oberży ktoś wyrzucał egzemplarze Biblii, które lądowały na kocich łbach, wzbijając w górę obłoczki kurzu. Pytałam się w duchu, czy to aby na pewno ci sami mieszkańcy Frankfurtu, którzy spotykają się na ulicach i placach, aby śpiewać hymny ku czci Pana. Czy też może są dwa Frankfurtu — miasto bogobojnych i miasto tych innych, którzy nie śpiewają hymnów, żłopią po oberżach i z pewnością kapią się występnie, i jeszcze biorą udział w ćwiczeniach fizycznych, grze w karty i tańcach.

— Świątokradztwo! — krzyknął Herr Röder i zaczął szybciej notować na tabliczce. — Wszyscy zostaniecie wyczytani i potępieni!

— Cóż, skoro tak ma być, to będzie! — odkrzyknął Nicklaus Morff. — Ale przynajmniej wpierw się upijemy!

I zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, dał nura za drzwi Białego Lwa, a za nim popędziła znaczna część tłumu, pozostawiając Herr Rödera z jego tabliczką i wykrzykiwanymi groźbami.

Ojciec odciągnął nas stamtąd, zanim i nasze nazwiska znalazły się na tabliczce. Wszelako gniewne okrzyki starszego zboru odprowadzały nas, gdyśmy szli nad rzeką, przekraczali most i mijali przytułek dla znajd. W końcu dotarły też do nas echa pijackiej piosenki wyśpiewywanej zachrypłymi głosami.

ROZDZIAŁ IV

Nicklaus Morff zaczął mnie intrygować. Nie z powodu aparycji, która była raczej przeciętna (miał bladoniebieskie oczy o ciężkich powiekach, szerokie, gładkie czoło, nos nazbyt szeroki i bezkształtny, by przydawał mu uroku, i cienkie wargi, prawie zawsze wygięte w uśmiechu), lecz dlatego, że wraz z przyjaciółmi poważył się wyrwać z żelaznego uścisku konsystorza i pokazywał nam wszystkim ścieżkę wiodącą ku życiu pełnemu swobody i przygód.

Obostrzenia narzucone przez starszych zboru nie były mu straszne, mimo iż nieraz zebrał cięgi za występowanie przeciwko regułom, a w końcu został wydalony ze zboru ku jawnemu niezadowoleniu swego ojca. Przyjaźnił się z grupką chłopców, najpewniej katolików, gdyż nigdy żadnego z nich nie widziałam w naszej protestanckiej świątyni, kręcących się w okolicach Starego Mostu i tylko czekających, by pod jego przywództwem udać się do publicznych ogrodów, gdzie zdaniem Herr Rödera pienił się występki.

Przyglądałam się z okna małej komnaty na piętrze, którąśmy dzieliły z Cecylią w domu Jacoba Morffa, jak jego syn z kompanami zbierają się przy moście, gdzie podpierali kamienne kolumny, śmieli się i poszturchiwali, od czasu do czasu zadzierając głowę, by rzucić spojrzenie w moją stronę.

— Zgaś świecę — syknęła któregoś wieczoru Cecylia. — Nie wiesz, że oni mogą cię stamtąd widzieć?

Wiedziałam i nie zdmuchnęłam świecy. Chciałam, żeby mnie widzieli. Chciałam być tam z nimi, śmiać się i żartować, i flirtować.

— Ci mali bezbożnicy — utyskiwała moja siostra — są gorsi niż Nicklaus, bo on przynajmniej został ochrzczony.

Byłam pewna, że Cecylia podkochuje się w Nicklausie. Nie uszło mojej uwagi, jak wodzi za nim oczami, gdy znajdowali się w jednym pomieszczeniu, i jak zawsze stara się stać czy siedzieć jak najbliżej niego. Raz zobaczyłam, jak mijając się z nim w ciasnym przejściu z komnaty do komnaty, otarła się o niego, a potem już nigdy nie włożyła tych niebieskich bufiastych rękawów, które miała tamtego dnia. Domyślałam się, że zrobiła sobie z nich ołtarzyk, i to podejrzenie wywoływało u mnie pusty śmiech.

Albowiem Nicklaus świata poza mną nie widział. Nie było cienia wątpliwości co do tego, która z nas wzbudziła jego zainteresowanie. Nie odzywał się do mnie, tylko uśmiechał się nieśmiało, choć przy nikim innym nie zapominał języka w gębie. Stąd wiedziałam, kto mu się podoba, i z pewnością nie była to moja siostra.

— To nie są bezbożnicy — poprawiłam ją. — Są katolikami. A wszyscy katolicy przechodzą chrzest jako malutkie dzieci.

Cecylia parsknęła.

— Herr Röder powiada, że łążą po publicznych ogrodach, gdzie czekają na nich złe kobiety. Piją tam i spółkują.

— Gdyby nie zamknięto Białego Lwa, toby nie musieli chodzić w znacznie gorsze miejsca, żeby się napić piwa.

Przerwał nam odgłos kroków w korytarzu. Po chwili drzwi się otworzyły i do komnaty weszła mama.

— Już dawno powinniście być w łóżkach. Letycjo, natychmiast zgaś świeczkę!

— Ona gapi się na chłopaków przy moście. Jak co wieczór. — Głos Cecylii był gderliwy, ale i tęskny.

— Letycja zna zasady i będzie ich przestrzegać.

Wzięłam stojącą na parapecie świecę i przeniosłam ją na skrzynię koło łóżka, po czym wślizgnęłam się pod przykrycie obok Cecylii i zdmuchnęłam płomień. Mama naciągnęła nam grubą narzutę pod same brody, pocałowała nas i pożyczwszy dobrej nocy, wyszła.

Odczekałam, aż oddech Cecylii zrobił się wolny i miarowy. Dopiero wtedy wstałam z łóżka i uważając, aby nie obudzić siostry, podeszłam znów do okna.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej. Pojawiły się gwiazdy i światła na moście, które migotliwie odbijały się w wodzie. Zaczynał padać deszcz, wszakże chłopcy, którzy stali tam gdzie poprzednio, nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Wkrótce z domu wybiegł Nicklaus i popędził w stronę przyjaciół, ci zaś wydawali okrzyki radości na jego widok. Niebawem na wpół idąc, na wpół podskakując, przemierzali Stary Most, kierując się w stronę publicznych ogrodów.

W mieście zapanowało poruszenie z powodu pojawienia się anabaptystów.

Zaroilo się od nich we Frankfurcie jak od pszczoł; przybywali gromadnie do dzielnic tkaczy i biedaków.

Ojciec mówił nam, że anabaptyści są odłamem religijnym, ale niepodobnym do nas. Ani do katolików. Nie mieli świątyń i prawili kazania wprost na świeżym powietrzu. Ubodzy ludzie zbiegali się, by wysłuchiwać ich kazań, gdyż zwodniczo opowiadali o prostej i czystej wierze zbliżonej do Jezusowej. Nie poruszali tematu grzechu, namawiali raczej do porzucenia tego świata i szukania lepszego. Wiele też mówili o czynieniu lepszym tego padolu.

Anabaptyści stanowili zagrożenie — tak twierdzili mój ojciec i starsi zboru, którzy występowali przeciwko nim co niedziela, a nawet w dni powszednie. Byli zagrożeniem dla prawdziwej wiary, naszej protestanckiej wiary. Zbywali milczeniem istnienie grzechu. Zachowywali się jak

szarańcza, która rzuca się na zboża i niszczy je do ostatniego źdźbła, powiadali starsi zboru, z tym że zbożem jesteśmy my, chrześcijanie, my, protestanci. Dlatego naszym zadaniem jest w rewanżu zgnieść każdego anabaptystę, z którym skrzyżujemy ścieżki.

„Śmierć anabaptystom!” — ogłosił konsystorz. Niebawem przekonaliśmy się, że ogłoszona przeciw przybyszom krucjata zaczyna przynosić efekty.

Na placu nieopodal Białego Lwa, przemianowanego na gospodę Żołnierze Chrystusa, sześciu anabaptystów spalono na stosie. Innych władze miasta wyłapywały i wtrącały do lochów, gdzie ginęli od garoty i skąd ich ciała trafiały do miejskich rynsztoków. Odcięte głowy gniły przybite do Starego Mostu i zwisały z wysokich latarni, kołysząc się potępieńczo z uchylonymi ustami. Moim zdaniem najgorsze spotkało anabaptystki, z których wiele było matkami. Kobiety te najpierw wyczytano, a potem oskarżono i osądzono, przywodząc je nad rzekę w pobliżu domu Jacoba Morffa. Na rozkaz starszych zboru nieszczęsne związano sznurem, z rękami przyciśniętymi do boków i unieruchomionymi nogami, po czym jeszcze odrąbano im stopy i tak wrzucono do wody, aby utonęły.

Nie sposób było nie wiedzieć o tych strasznych egzekucjach, choć ja przynajmniej starałam się jak mogłam, aby nie być ich świadkiem.

Każdego wieczora Jacob Morff przewodził w modlitwie całemu domostwu, w tym naszej rodzinie, i dziękował Panu, że krucjata wymierzona w anabaptystów owocuje tyloma zgonami. Musiałam brać udział w tych modłach, nie umiałam jednak myśleć o tym, co się dzieje, nie czując przytłaczającego ciężaru na piersi. Miewałam koszmary wiążące się ze straceniami, śniło mi się zwłaszcza topienie kobiet i widok ich małych dzieci na brzegu Menu, porzuconych i zapłakanych. Opowiedziałam ojcu o złych snach, a on poradził mi, abym myślała o anabaptystach jako o wrogach Chrystusa, nie jako o ludziach. Twierdził, że w przewycięzeniu uczucia żalu pomoże mi postrzeganie ich jako bestii zesłanych na ziemię, by sprawdziły siłę naszej wiary.

— Ale ja nie czuję tylko żalu, ojcze. Ogarnia mnie przerażenie.

— Nie powinnaś czuć przerażenia, gdy uznasz, że anabaptyści to potwory zasługujące na śmierć. Te czasy przekraczają ludzkie pojmowanie, Letycjo. Tylko Pan Bóg wszystko pojmuje. I to On kieruje starszymi zboru. Gdy On prowadzi, musimy czynić, jak każe.

Nie zdołałam się powstrzymać.

— Czy to Pan Bóg kieruje królową Marią w Anglii? Ojciec milczał przez chwilę, a gdy w końcu mi odpowiedział, głos miał bardzo cichy.

— Ona wierzy, że tak właśnie jest.

— W takim razie nic z tego nie rozumiem, ojcze. A chcę zrozumieć.

Wzruszył ramionami. Barki mu opadły, jak zawsze, gdy przegrał w potyczce na argumenty — zwłaszcza w rozmowie z mamą.

— Ja również niczego nie rozumiem. Po prostu się modlę. I jestem wdzięczny, że Pan Bóg daje mi się siłę i chroni moją rodzinę.

Spostrzegłam wtedy, że istotnie jest zdumiony i zasmucony całym tym okrucieństwem czynionym w imię wiary, zupełnie jak ja, mimo iż musiał wierzyć, że wszystko, co postanowi konsystorz, jest właściwe, konieczne, a nawet uświęcone.

Palenie na stosach, garotowanie i topienie było we Frankfurcie na porządku dziennym przez długie miesiące, a mimo to plaga anabaptyzmu nie słabła. Wyobrażałam sobie, że z czasem stanę się odporna na te okropieństwa, że moje żywe uczucia stępieją lub wręcz całkiem znikną. Nic takiego jednak się nie stało. Ba, jeśli w ogóle zaszła we mnie jakaś zmiana, to tylko taka, że zrobiłam się jeszcze wrażliwsza. Zaczęłam się modlić, by Pan Bóg wskazał mi, jak mam to wszystko znosić. By dał mi siłę.

Któregoś późnego popołudnia, gdy cienie się wydłużały, a rzeka zmieniała barwę z dziennej, szaroniebieskiej, na wieczorną, popielatoszarą, na brzeg rzeki obok domu Jacoba Morffa przywleczono anabaptystkę, aby ją utopić.

Zazwyczaj kiedy to się działo, schodziłam do piwnicy i ukrywałam się tam przez godzinę albo dwie, do czasu, aż nabrałam pewności, że już po wszystkim. Wszakże tamtego popołudnia poczułam inny impuls. Stałam przy oknie naszej komnatki i zmusiłam się, by patrzeć.

Ofiara, którą ciągnięto na zatracenie, była pulchną, rumianolicą kobietą odzianą w prostą, workowatą suknię, młodą i jasnowłosą. Kat już ściał jej długie loki, pozostawiając na głowie rzyśko. Miała bladą cerę, ale na rękach i ramionach jej skóra pociemniała — poznać było, że to chłopka przyzwyczajona do ciężkiej pracy w polu w letnie miesiące, nienawykła do luksusów. Nikt jej nie odprowadzał. To znaczy nikt, kto byłby jej krewnym czy przyjacielem. Niosła niewielkie zawiniątko, tuląc je do piersi. Musiało to być jej dziecko.

Zacząła się egzekucja. Nadzorujący ją członek konsystorza skłonił głowę i zmówił modlitwę, po czym wydał polecenie, aby związano ręce i nogi kobiety. Nie widziałam, co stało się z zawiniątkiem, tak szybko padły rozkazy i tak szybko ofiara została przewrócona na ziemię. Błysnął miecz i ktoś dwoma sprawnymi ruchami pozbawił ją stóp, odcinając je tuż nad kostkami. Trysnęła krew — rzygnęła raczej, niż popłynęła — barwiąc skały na brzegu rzeki. Dwaj mężczyźni złapali skazaną pod ramiona i podnieśli, a następnie wrzucili do wody. Widziałam jej otwarte usta, lecz nie słyszałam krzyku. Prąd był wartki. Powiódł ofiarę ku środkowemu nurtowi, gdzie okręciła się, podskoczyła parę razy, uniosła nagle i równie szybko zniknęła pod powierzchnią, by już więcej się nie wyłonić.

Gdy wokół zapadały ciemności, mężczyźni biorący udział w egzekucji otulali się szczelniej pelerynami i pośpiesznie rozchodzili. W parę chwil miejsce kaźni opustoszało, chociaż skały wciąż spływały czerwienią, a mnie wydawało się, że dostrzegam jeszcze kawałek ciemnego materiału leżący na samym brzegu.

Wtem usłyszałam cichy płacz.

Najpierw nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam, tak cichy był to dźwięk i tak trudny do wyłonienia spośród zwykłych odgłosów ulicy i rzeki. Ale powtórzył się albo przynajmniej tak mi się zdawało.

Słyszałam ten płacz przez cały czas, kiedy pokonywałam drogę na brzeg rzeki. Wszystko wskazywało na to, że dobiega spod mostu, gdzie wśród kamieni rosła wysoka trawa o szerokich źdźbłach i skąd dolatywał wstrętny odór rozkładających się resztek jedzenia i nieczystości.

Z trudem stawiając kroki, pokonując nierówności terenu i gęstniejące chaszczki, byłam pewna, że płacz staje się coraz wyraźniejszy. Płakało niemowlę.

— Też to słyszysz?

Na trawę padło światło i nagle obok mnie wyrósł Nicklaus dzierżący wysoko pochodnię.

— Tak. To niemowlę. Dziecko tej nieszczęsnej kobiety. Trzymała je w ramionach, kiedy ją tu prowadzili. Ktoś chciał je ocalić.

— Albo po prostu odrzucił je precz.

Jakby w odpowiedzi na nasze głosy, płacz przybrał na sile i stał się bardziej uporczywy.

Nie przerwaliśmy poszukiwań, ramię przy ramieniu, dopóki nie natknęliśmy się na małe dziecko, nagie i drżące, które leżało pośród chwastów.

— Trzeba je okryć — powiedział Nicklaus. — Przytrzymaj. — Podał mi pochodnię, a potem ściągnął koszulę i owinął nią niemowlę. Wziął je na ręce i ruszył z powrotem w stronę ulicy, która biegła przed domem jego ojca. Płacz dziecka tłumił gruby materiał koszuli. — Ojciec nigdy go nie przyjmie pod swój dach, wiedząc, skąd się wzięło — dodał.

— Przytułek dla znajd — podpowiedziałam. — Tam je zabierzmy. Przecież zakonnice nie odmówią pomocy sierocie.

— Zamienią je w małego katolika — wzruszył ramionami Nicklaus — ale będzie żyło. I to się liczy.

Uśmiechaliśmy się do siebie, pokonując krótki dystans dzielący nas od przytułku. Pusty koszyk stał przed drzwiami domu zakonnego dzień i noc, gotów na przyjęcie każdego dziecka, które by przyniesiono do wychowania siostrzyczkom. Umieściliśmy dziecko w koszu i brzdękaliśmy sercem dzwonu przymocowanego przy wejściu. Niemal od razu ktoś niewidoczny z miejsca, gdzie staliśmy, sięgnął po uchwyt kosza.

— Dobrej nocy, maleństwo — szepnęłam. — Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Nicklaus dopowiedział „amen” w tej samej chwili, kiedy kwilące dziecko zniknęło w murach domu zakonnego. Przysłuchiwaliśmy się jeszcze moment, lecz zza ściany nie dobiegały już żadne dźwięki. Razem wróciliśmy do domu, wiedząc, że łączy nas tajemnica. Tamtego wieczoru, gdy Jacob Morff przewodził domownikom w modlitwie, nie dziękowałam Panu Bogu za liczne zgony podstępnych anabaptystów. Modliłam się za osierocone dziecko i za zakonnice, dziękując, że przygarniają każde niechciane maleństwo porzucone w wielkim Frankfurcie, nie wiedząc o nim nic poza tym, że potrzebuje pomocy i opieki.

ROZDZIAŁ V

— Widziano cię. — Herr Röder spoglądał na mnie oskarżycielsko.

— Proszę?

— Widziano cię. Ciebie i Nicklause Morffa. Wkładaliście swoje dziecko do kosza przed przytułkiem dla znajd.

— To prawda. Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić? Czy jest jakiś powód, dla którego należy się kryć z chrześcijańskim uczynkiem, jakim jest uratowanie życia sierocie?

— Pogłębiasz tylko swój grzech, czyniąc mi afront.

Ton głosu wzrósł o oktawę, był teraz przenikliwy i nieprzyjemny. Pozostali członkowie zboru przysłuchiwali się w milczeniu.

Nadeszła godzina, w której wierni gromadzili się na publiczne odpuszczenie grzechów, a członkowie konsystorza ogłaszali występki poszczególnych osób i na zawsze wykluczali ze zboru tych, którzy dopuścili się najgorszych czynów.

Ojciec wystąpił spomiędzy zebranych.

— Jeśli moja córka w czymkolwiek uchybiła, naprostuję ją.

Teraz Herr Röder patrzył pałającym wzrokiem na niego.

— To konsystorz prostuje ścieżki wiernych! — Odwrócił się i obrzucił mnie spojrzeniem z góry na dół. — U młodych dziewcząt zło ukrywa się pod spódnicami — rzekł pogardliwie. — Zaprzeczasz, że ty i Nicklaus Morff umieściliście niemowlę w koszu przed domem dla znajd?

— Niczemu nie zaprzeczam. Znaleźliśmy niemowlę i oddaliśmy je zakonnicom na wychowanie, ratując przed śmiercią. Postąpiliśmy tak z dobroci serca.

— Z dobroci serca? Postąpiliście występnie! Dopuściliście się spółkowania i powołaście do życia bękarta, a później pogłębiliście swój grzech, ukrywając dowód waszej występności pośród sióstr zakonnych, które wychowują go wedle swych odrażających rytuałów.

— Ależ to nieprawda! — zakrzyknęłam. — Nicklausie!

— Rozejrzałam się po twarzach zebranych, mając nadzieję wypatrzeć wśród nich Nicklause. Wszelako nie było tam ani jego, ani Jacoba Morffa, ani nikogo innego z domostwa, kogo bym rozpoznawała. — Gdzie jest Nicklaus? — zapytałam głośno. — On potwierdzi moje słowa.

— Nicklaus Morff to maćiwoda i kłamca, który noc w noc grzeszy w publicznych ogrodach.

Ku swej rozpaczycy spostrzegłam, że wielu zebranych kiwa głowami na znak zgody. Rozległy się pomruki. Wrogie pomruki. Serce podeszło mi do gardła.

Tymczasem Herr Röder rozkładał jakiś papier.

— Niech będzie wiadome — zaczął — że grzesznicę Letycję Knollys zoczono, jak nocą odbywa schadzkę z Nicklausem Morffem i innymi młodymi mężczyznami w okolicach Starego Mostu. Że często opuszczała własne łóżko, by spędzać czas ze swoim kochankiem. I że w ostatnią pełnię widziano ją wchodzącą pod most ze swym kochankiem, skąd po pewnym czasie wyłonili się, niosąc nowo narodzone dziecko!

Na te słowa pełne zdumienia sapnięcie wyrwało się z piersi tych, którzy stali najbliżej mnie. Poczułam, jak na policzki wypełza mi rumieniec. Ostatnia pełnia księżycy była wtedy, gdy zabito tamtą młodą anabaptystkę.

— Ależ nie było żadnego grzechu! — zaprotestowałam stanowczo. — Kierowała nami li-tość!

— Jakżeż występni się oszukują... — wymamrotał ktoś za moimi plecami.

— To był syn anabaptystki — dodałam, lecz gdy tylko wypowiedziałam ostatnie słowo, rozległy się zduszone okrzyki przerażenia.

Herr Röder ponownie zgromił mnie wzrokiem.

— Zatem przyznajesz, że nie tylko spółkowałeś z mężczyzną, ale był to w dodatku anabaptysta, najgorszy z grzeszników, który mami prawdziwych wiernych i zawraca ich z obranej ścieżki?

Wtedy zrozumiałam, że nie ma dla mnie nadziei. Stałam tam potępiona i niewysłuchana, nikt mi nie wierzył ani nie ufał z wyjątkiem Nicklause, jego jednak nie było nigdzie w pobliżu.

Dobytując całej swojej odwagi i przypominając sobie, jak często czyniałam w ciężkich chwilach, iż w moich żyłach płynie królewska krew, wyprostowałam się na całą swoją wysokość (Herr Röder i tak wciąż nade mną górował) i wykrzyknęłam donośnie:

— Kto ważył się na mnie kłamliwie donieść?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Herr Röder złożył trzymaną w rękę kartkę i schował ją z powrotem pomiędzy fałdy ciemnej szaty. Następnie, patrząc prosto na morze zebranych, rzucił:

— Wystąp!

Z tłumu dobiegł szelest spódnic i szuranie stopami. Z ostatniego rzędu zaczęła się przeciskać do przodu młoda kobieta. Na początku widziałam tylko jej czepek, ale kiedy się zbliżyła, zobaczyłam także jej twarz i rozpoznałam ją.

— Cecyljo Knollys, czy przysięgasz, że słowa, które spisałaś własną ręką i dostarczyłaś starszym tego zboru, są prawdziwe?

— Przysięgam.

Mówiąc to, nie patrzyła ani na mnie, ani na ojca, ani w gruncie rzeczy na nikogo poza rzucającym oskarżenie starszym zboru. Zanim zdążyłam oskarżyć ją o kłamstwo czy choćby wyrzucić z siebie mściwe słowa, konsystorz ogłosił wyrok.

Zostałam wykluczona ze wspólnoty wiernych wraz z resztą rodziny. Kazano nam opuścić dom Jacoba Morffa i w ogóle Frankfurt, zanim wzejdzie słońce, w przeciwnym razie spotkałby nas gniew współbraci w wierze i ich nieubłaganego Boga.

ROZDZIAŁ VI

Zrzędzeniem losu królowa Maria zmarła mniej więcej w tym czasie, kiedyśmy opuszczali Frankfurt. Koronę odziedziczyła jej protestancka przyrodnia siostra Elżbieta. Prześladowania dobiegły końca. Nasza rodzina mogła bezpiecznie wrócić do Anglii.

W dalszym ciągu bardzo się gniewałam na Cecylię za to, że doniosła na mnie frankfurckiemu konsystorzowi, oskarżając o grzech, którego nie popełniłam. Staralam się wyjaśnić bliskim, co naprawdę zaszło tamtego wieczoru, gdyśmy z Nicklausem Morffem zabrali niemowlę do przytułku dla znajd, i wytykałam mojej siostrze mijanie się z prawdą, podkreślając fakt, iż nieprawdopodobieństwem byłoby nosić pod suknią rosnące przez dziewięć miesięcy dziecko Nicklausa bez zwrócenia niczyjej uwagi. Mogłam mieć tylko nadzieję, że me słowa ich przekonały.

Powrót do domu złagodził nieco mój gniew, a gdy otrzymaliśmy oficjalne wezwanie na dwór z rąk samej królowej — honor największy ze wszystkich, jak zauważył mój ojciec — odłożyliśmy rodzinne spory na bok i rozpoczęliśmy przygotowania, by zająć należne nam miejsca na dworze królewskim.

— Nowa królowa pragnie wywyższyć wszystkich krewniaków z rodu Boleynów — oznajmił ojciec, zgromadziwszy nas w swojej prywatnej komnacie, gdzie trzymał ważne dokumenty i

pracował przy zasłanym papierami dębowym biurku. — Jest bardzo wyczulona na kwestię swojego pochodzenia i reputacji swojej matki. Zatem ani słowa o tym! Nie wymieniajcie nawet imienia Anny Boleyn! Jeśli to ona wspomni o swej matce, uśmiechajcie się, potakujcie i sprawiajcie miłe wrażenie.

Przyjrzał mi się starannie, obrzucając wzrokiem od stóp do głów.

— Letycjo, królowa jest przeczulona na punkcie swojej urody — podjął, lecz mama przerwała mu ze śmiechem.

— Jakiej znowu urody? — zapytała. — Twarz ma ściągniętą i pociągłą, cerę bez blasku i takiego dziwnego koloru... jakby żółtawą, a te jej oczy! Małe, bezrzęse, w przeciwieństwie do oczu naszej Letycji, która ma rzęsy długie i grube, tak że nie wymagają czernienia. A brwi? Parę włosków na krzyż, w dodatku zbyt jasnych! Żaden mężczyzna by się za nią nie obejrzał, gdyby nie była królową.

— Katarzyno, takie opinie najlepiej zatrzymać dla siebie — skarcił ją ojciec, po czym zwrócił się do mnie. — Letycjo, tak jak mówiłem, na dworze masz być nieśmiała i skromna i w żadnym razie nie wolno ci się obnosić ze swoim urokiem. Gdybyś zdobyła się na komplement pod adresem jej królewskiej mości, to powinno pomóc.

— Rzeczywiście! — podchwyciła mama. — Ona jest taka próżna! Domaga się ciągłych pochwał. Zastanawiałeś się kiedyś — spytała ojca — dlaczego trzyma tyle zwierciadeł w swoich komnatach? Dlaczego nie może oderwać od siebie spojrzenia?

— Nie — odparł ojciec zwięźle. — I ty też nie powinnaś się nad tym zastanawiać, Katarzyno. Postępowanie królowych to nie nasza sprawa i nawet nie powinniśmy próbować go zrozumieć.

Mama sarknęła na to, lecz nie wdała się w dyskusję. Słuchając, jak ojciec opowiada o królowej, zaczynałam rozumieć, dlaczego tak długo był cenionym dworzaninem i doradcą, najpierw służąc młodemu królowi Edwardowi, a następnie królowej Marii przed tym, zanim wyjechaliśmy do Frankfurtu. Mój ojciec był szczerze, niezachwianie lojalny i pełen szacunku dla namaszczonego monarchy bez względu na to, kto akurat zasiadał na tronie.

Nie dziwiło mnie więc, że gdy już zamieszkaliśmy w pałacu, królowa mianowała ojca wiceszambelanem dworu królewskiego, kapitanem gwardzistów, a w końcu także członkiem jej tajnej rady.

Mama została honorową Matką Królewskich Dworek, Cecylia i ja zaś — dworkami tytularnymi, wraz z tuzinem innych dziewcząt rozmaitej proweniencji, urody i inteligencji. Przez pierwsze kilka dni w pałacu bacznie się przyglądałam pozostałym damom dworu. Jedne były wyniosłe, inne znowuż uległe. Ale wszystkie starały się skorzystać na tym, iż wyniesiono je do tak zaszczyt-

nej funkcji. Wszystkie też zamierzały wyjść dobrze za mąż — za mężczyznę zamożnego i utytułowanego. Kandydaci na małżonków — ich oraz królowej — stanowili ulubiony temat rozmów.

My, dworki, zostałyśmy zakwaterowane w komnatach przylegających bezpośrednio do sypialni królowej, abyśmy mogły być na każde jej skinienie. Gnieździłyśmy się licznie i dzieliłyśmy łóżka, jak prawie wszyscy w pałacu, nie mając wiele miejsca dla swoich strojów i drobiazgów. Nie cieszyłyśmy się nadmierną prywatnością, a wszystko, cośmy uczyniły czy powiedziały, było tajemnicą poliszynela i rychło trafiało do uszu mamy, pełniącej rolę naszej nadzorki i przyzwoitki. Nie umknęło żadne kose spojrzenie ani żadna zapamiętała mina.

Kiedy mnie i Cecylię po raz pierwszy dopuszczono przed oblicze królowej, dygnęłyśmy głęboko i pochyliłyśmy głowy, tak jak nas nauczono. Po długiej chwili pozwoliła nam się wyprostować, dając znak jedną białą dłonią.

Stała przed nami, wysoka i szczupła, mnie w szczególności świdrując swoim bystrym spojrzeniem. Pamiętałam radę ojca i zachowując się nieśmiało i skromnie — co było wbrew mojej naturze — starałam się nie zwracać na siebie uwagi ani nie przydawać sobie znaczenia.

Długo panowało milczenie.

— Masz czyraka na czole? — zapytała, przerywając ciszę.

— Nic mi o tym nie wiadomo, wasza królewska mość — odparłam. — Aczkolwiek mojej cerze daleko do doskonałości cery waszej królewskiej mości, nie ma tego blasku, który...

— Prawisz mi komplementy, dziewczyno? Kazano ci to robić, ponieważ niczego ci nie brak? Obawiam się, iż to dosyć powszechna praktyka, a przy tym tak niemądrze oczywista. Tak czy inaczej, jestem pewna, że jednak masz tam czyraka.

Sięgnęła po małe zwierciadło z rączką, które wisiało jej u pasa, odpięła je i podała mnie.

— Sama sprawdź.

Przejrzałam się posłusznie, lecz nie zobaczyłam żadnego pieprzyka ani pryszczka, ani jakiegokolwiek innej skazy.

— Będę musiała wezwać chirurga mego ojca — powiedziałam, zwracając zwierciadło.

— Doskonały pomysł — odrzekła ostrym tonem. — Czyrak to piętno ladacznicy. — Przerwała na moment, po czym podjęła: — Nie cierpię kobiet o płaczkliwym głosie. Twój jest doprawdy irytujący. Stań tutaj, bliżej okna, w świetle...

Uczyniłam, jak kazała, i podeszłam do miejsca, na które świeciło słońce. Królowa ponownie zbadła mnie wzrokiem, a następnie pokiwała do siebie głową.

— Tak. Masz urodę Boleynów... i jak mi się zdaje, również temperament Boleynów. W przeciwieństwie do swojej kłocowatej siostry — dodała niegrzecznie. — Nieodmiennie mnie zdumiewa, jak siostry potrafią się różnić! Na przykład moja siostra Maria i ja... — zaczęła i urwała.

Już chciałam sprostować, że królowa Maria była tylko jej przyrodnią siostrą, lecz w porę ugryzłam się w język.

Tymczasem Cecylia, zawsze okazująca niepokój, gdy tematem rozmowy był mój wygląd i czar, poruszyła się, szeleszcząc spódnicami. Przytyła ostatnimi czasy — była najpulsniejszą z dam dworu — i teraz na nieprzyjemny odgłos królowa posłała jej nieprzychylnie spojrzenie.

— Każ popuścić szwy na tej sukni — rzuciła. — Jest wyraźnie na ciebie za ciasna. Albo jeszcze lepiej pozbadź się jej i każ sobie uszyć nową.

Wstrzymałam oddech, zaklinając milcząco Cecylię, by okazała choć tyle zdrowego rozsądku i nie odpyskowała. Obie nas ostrzeżono przed gwałtownymi atakami królowej, której gniew był ponoć straszliwy.

— Tak, wasza królewska mość — powiedziała tylko moja siostra, a ja z ulgą wypuściłam powietrze. Niemal natychmiast poczułam znów na sobie wzrok Elżbiety.

— Teraz się przebiorę — oznajmiła znenacka. — Rozmyślałam się co do tych rękawów. Zamiast jedwabnych w kolorze kości słoniowej chcę te ze śliwkowego atlasu, haftowane złotą nicią.

Po czym od razu przeszła do garderoby i zasiadła przed stojącym zwierciadłem. Wpatrując się w swoje odbicie, przestała zwracać uwagę na mnie i Cecylię. Wszelako przez następną godzinę, gdy fryzowano jej włosy i przyciemniano brwi i gdy wkładano na nią kolejne warstwy stroju, od bielizny przez halki, gorset i rękawy aż po kryzę, którą trzeba było umocować na swoim miejscu, na przemian rzucała spojrzenia to sobie, to nam. Patrząc na mnie, robiła zamyśloną minę, natomiast zerkając na Cecylię, marszczyła brwi.

Wtedy jej oczy mówiły: jesteś nic niewarta, trzeba się ciebie pozbyć jak tej sukni.

ROZDZIAŁ VII

Mój ojciec był zdecydowany znaleźć mi męża. Jego zdaniem byłam „niesforną pannicą” i tylko zamążpójście mogło mnie okiełznać i poskromić moją krnąbrność.

Mama zgadzała się, że jest wskazane wydać za mąż zarówno mnie, jak i Cecylię, aczkolwiek i w tej sprawie, jak we wszystkich, okazywała dobroduszny spokój, jeśli nie nonszalancję.

— Jest na to mnóstwo czasu — mówiła ojcu łagodnie, gdy poruszał temat małżeństwa mojego i mojej siostry, co robił dość często. — Obie są bardzo młode.

— Ale Letycja już ma złą reputację, która z czasem może się tylko pogarszać. Musimy znaleźć im dwom mężów, zanim... zanim... Zanim któraś okaże się przy nadziei! I oboje wiemy, która

najpewniej to będzie, co już zupełnie pogrzebie jej sprawę. Możemy tylko ufać, że ów mężczyzna postąpi, jak na szlachetnie urodzonego przystało, i ożeni się z nią. Jeśli tego nie uczyni, napomknę o tym królowej, która go zmusi i już.

Mama niespecjalnie przejmowała się naszą przyszłością, ja zaś zazdrościłam jej tego spokoju ducha, chociaż będąc córką swego ojca, rozumiałam jego troski i miałam dlań współczucie, gdyż widziałam, że brzemień odpowiedzialności go przytłacza.

Mniej więcej w tym czasie ojciec udał się do Irlandii, wysłany tam przez królową z zadaniem ograniczenia gestu lorda namiestnika, który nieustannie nadwerężał zasoby skarbcza w próbach zapanowania nad dzikimi Irlandczykami. Pełniąc służbę w Irlandii, ojciec pisywał do nas, donosząc o postępach w negocjacjach z moim przyszłym małżonkiem: wielmożą posiadającym rozległe ziemie na wyspie i spędzającym na niej większą część roku.

Zdrętwiałam ze strachu — nie chciałam wychodzić za mąż w Irlandii ani tam zamieszkać. Szczęśliwym zrzędzeniem losu jakiś czas potem dotarła do nas wiadomość, iż negocjacje utknęły w martwym punkcie i zostały zarzucone. Co więcej, ojciec się rozchorował i miał wrócić do domu.

— Bagienna gorączka — orzekły dworki, kiwając głowami i rzucając ponure spojrzenia. — Dopada wszystkich. Starczy postawić stopę w Irlandii i wraca się do domu chorym.

W początkach mojej pałacowej kariery nie miałam dość czasu, by myśleć o swojej przyszłości czy — jeśli już o to chodzi — siedzieć przy ojcu, gdy zdrowiał. Jako dworka królowej wstawiałam skoro świt, odziewałam się pośpiesznie w szarą suknię będącą znakiem mej pozycji, po czym brałam udział w mszy, spożywałam śniadanie, na które składały się kawałek chleba i kielich piwa, i przez cały ranek obsługiwałam jej królewskiej mości, wypełniając zlecone mi zadania. Po południowym posiłku towarzyszyłyśmy królowej wraz z innymi szlachetnie urodzonymi damami, gdy dotykała poddanych cierpiących na przypadłość zwaną „monarszym urokiem”, chorobę, którą mógł wyleczyć wyłącznie dotyk ręki panującego władcy, bądź spotykała się z ambasadorami czy też wyszywała hafty lub obrębiała jedwabną nicią rękawy albo kryzy sukien. Kiedy pogoda dopisywała i pozwalał na to humor królowej, udawałyśmy się na konne przejażdżki, grały w lotki czy po prostu oddawały się dziewczynskim zabawom, wywołując uśmiech na twarzy królowej albo prowokując jej gniew.

Po wieczerzy schodzili się szlachetnie urodzeni panowie i zaczynała się cowieczorna sesja „wzdychania i udawania”, kiedy to serce przemawiało do serca z przeciwnych stron komnaty bądź z przeciwnych stron szachownicy, aż wreszcie grajkowie, uderzając w struny, zaczynali wydobywać dźwięki kurantów i galiard, a dworzanie wybierali spośród nas partnerki i odtąd sunęliśmy po posadzce i skakali wysoko w powietrze, obracali się i skłaniali, dopóki wszyscy nie zaczęli splotać potem od wysiłku i wołać o dzbany z piwem dla ugaszenia pragnienia.

Nieraz było dobrze po północy, gdyśmy zmęczone wypełniały nasz ostatni obowiązek, mianowicie upewniały się, że słudzy i pacholkiwie przygotowali jak należy łoże królowej, w którym miała zaznać nocnego odpoczynku — owo ogromne łoże z niezliczonymi narzutami i zasłonami, udekorowane pozłacaną koroną i siedmioma pękami orlich piór.

Kiedy królowa poszła w końcu spać, my także odszukiwałyśmy nasze wąskie, niewygodne łóżka i szykowałyśmy się do snu ze stopami marznącymi na gołych posadzkach zaścielanych tylko trocinami, wydzielającymi nieprzyjemny zapach spotęgowany tylko przez unoszącą się w powietrzu gorycz piołunu (który pomagał likwidować pchły) i ciężką, słodkawą woń płatków różanych i owoców pomarańczy.

Cecylia, doskonale świadoma tego, że wzbudziła niechęć w królowej i że ojciec przede wszystkim pragnie wydać za mąż mnie, spychając jej przyszłość na drugi plan, jak zwykle gotowała się z tłumionej złości. Brała odwet na każdym kroku — a to dodawała kamfory do zapachowych naczyń Elżbiety, a to ustawiała jej cenne, odmierzające czas norymberskie jajko na samym brzeżku stołu (na własne oczy widziałam, jak to robi, zachowując wielką ostrożność), tak by najbliższa przechodząca dworka w obszernej sukni zmiotła je na podłogę, gdzie musiało rozsypać się w drobny mak. Raz otworzyła nawet drzwiczki ptaszarni, zamierzając uwolnić śpiewających ulubieńców królowej, do czego niechybnie by doszło, gdybym jej znów nie przyuważyła i pośpiesznie nie zamknęła ptakom drogi na wolność.

Sądziłam, że te mściwe kawały uchodziły mojej siostrze niepostrzeżenie, aż do pewnego ranka, gdyśmy odziewały królową i przyglądały się procesji wnoszonych peruk, których miała całą kolekcję i z których musiała wybrać jedną, taką, co by pasowała do reszty stroju. Tym razem Elżbieta nie umiała się zdecydować i popadła w irytację.

Zdenerwowanie królowej wzrastało, gdy francuski perukarz wnosił jedną perukę za drugą i prezentował po kolei swoje dzieła. Elżbieta kręciła głową i tupała nogą. Wreszcie jej złość skrupiła się na najmłodszej dworce, dziewczyninie, która służyła w pałacu od niedawna.

— Głupia! Nie kasztanowa, tylko jasnobrzowa... nie, nie ta jasnobrzowa, tamta ciemniejsza, z koronką...

Dziewczyna sięgnęła po wskazaną perukę, chwyciła ją niezdarnie i upuściła na ziemię, niszcząc misterne loki.

Królowa wstała i wymierzyła jej policzek. Dziewczyna wrzasnęła, na co Cecylia zaklęła cicho i złapała polerowane zwierciadło z rączką, leżące na królewskiej toaletce. Elżbieta w okamgnieniu chwyciła ją za nadgarstek, wykręciła go i uwolniwszy zwierciadło z dłoni, cisnęła nim w zapłakaną dworkę. Ciężki przedmiot trafił ją prosto w czoło. Na skórze pojawiła się strużka krwi.

Dopiero w tej chwili wkroczył do akcji szambelan, który złapał dworękę za ramię i siłą wyciągnął ją z komnaty. Perukarz pozostał.

— O! — zawołała królowa. — Właśnie o taki kolor mi chodziło!

Pokazywała na myszowate loki Cecylii, a po chwili zdarła jej z głowy czepek, wskutek czego włosy rozsypały się niechłujnie po plecach mojej siostry. Cecylia z trudem łapała oddech i potrzasała głową, wciąż wytrącona z równowagi przez to, czego przed chwilą była świadkiem.

Kolor włosów Cecylii znacznie odbiegał od brązu wybranej przez królową peruki, tej samej, którą upuściła nieostrożna dworka. W dodatku nie konweniował z odcieniem sukni Elżbiety, nie był dość wyrazisty i lśniący — mówiąc krótko, brakowało mu jakiegokolwiek atrakcyjności. Już moje włosy były bliższe tego, czego zdawała się pragnąć królowa i w czym z całą pewnością byłoby jej do twarzy.

Nikt jednak o tym nie pomyślał w tamtej chwili, zresztą wszystko działo się tak szybko. Cecylia ponownie zakłęła, wszakże przekleństwo utonęło w krzyku królowej.

— Chcę tych włosów! Zetnijcie je natychmiast! Chcę mieć z nich perukę!

W komnacie zapadła kompletna cisza.

— Ależ wasza królewska mość... — odezwała się nieśmiało mama, lecz zaraz zamilkła pod karcącym wzrokiem królowej.

— Powiedziałam, że chcę mieć z nich perukę! Natychmiast!

— Ale wasza królewska mość... — zaprotestował Francuz. — Zrobienie peruki potrwa. Nawet gdybym miał już te włosy, uczesane i gotowe, zabrałoby mi parę dni...

— Zatem poczekam parę dni. I lepiej, żeby... jak już skończysz... ta peruka nie miała sobie równych na świecie!

Załamana Cecylia rozplakała się. Zaczęła nawet uciekać z komnaty, ale mama ją schwyciła i przytrzymała.

— Bądź dzielna! — powiedziała. — Bądź posłuszna! Tylko tyle możesz zrobić.

I moja siostra była dzielna i posłuszna.

Tamtej nocy, gdyśmy leżały obok siebie na wspólnym łóżku — ona z ogoloną głową zakrytą zwojem tkaniny, podpuchniętymi oczami i urywanym oddechem — wybaczyłam jej wszystko, co mi uczyniła w przeszłości, albowiem zdobyła się na coś, na co ja nigdy bym się nie zdobyła. Uległa mściwości królowej nie ze szlachetnych pobudek, lecz dlatego, że tak było najlepiej i najpraktyczniej. I dlatego, że mama, która zawsze kierowała się zdrowym rozsądkiem, tak jej poradziła. Posłuchała rozumu, nie serca. Skorzystała z dobrej rady.

A więc na tym polega dorastanie, pomyślałam. Na odłożeniu na bok dziecięcych i dziewczęcych sentymentów i postępowaniu jak mądra niewiasta. Mądra niewiasta, która jest gotowa zaak-

ceptować to wszystko, co przyniesie życie — przyniesie lub narzuci. Na przejściu przez wąskie drzwi oddzielające świat nadziei i marzeń od ponurego świata prawdziwego życia i na pogodzeniu się z tym, że drzwi te zostaną już na zawsze zamknięte.

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy pierwszy raz ujrzałam Roberta Dudleya, śmiał się głośno i radośnie i niósł pochrzającego i wijącego się prosiaczka do ogromnej, wystawnie udekorowanej sali tronowej.

Każdy z nas patrzył na Elżbietę, wyczekując jej reakcji — a kiedy królowa nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem, wszyscyśmy jej zawtórowali.

Sir Robert stanął u prawego boku królowej — wspaniała wysoka postać, przystojna i wytworna — jakby było mu obojętne, że jego kosztowny dublet z granatowego atłasu wyszywany w złote gwiazdki właśnie jest rwany na strzępy i brudzony przez prosię, jak również to, że mój ojciec, który potępiał nieprzystojne żarty w pałacowych komnatach, kręci z dezaprobatą głową.

Nie potrafiłam odeń oderwać spojrzenia.

Pamiętam, że się uśmiechał — a robił to nie tylko kształtnymi, łukowatymi wargami, lecz również ciemnoniebieskimi, pełnymi wyrazu oczami — i nie był to wyćwiczony fałszywy uśmiech doświadczonego dworzanina, tylko szczery uśmiech osoby zadowolonej z siebie i ze swojego życia. Człowieka pogodzonego z samym sobą, takiego, co pokonał własne demony i strachy i jest panem sytuacji.

A przy tym mężczyzny jak najbardziej świadomego wrażenia, jakie wywiera na innych, zwłaszcza kobietach, a szczególnie na królowej.

Uznawszy, że żart przebrzmiał, przekazał wyrywające się prosię pachołkowi i przyciszonym głosem zaczął prowadzić swobodną rozmowę z Elżbietą. Przyglądałam się im, kiedy rozmawiali. Spojrzenia, którymi się obdarzali, były wielce wymowne. Poznać było, iż połączyła ich zażyłość.

W którymś momencie nachylił się, żeby szepnąć coś królowej do ucha, a ona uśmiechnęła się i popatrzyła nań z ufnością w oczach — a ona, jak wiedziałam, nikomu nie ufała kompletnie.

Krażyły słuchy, iż są kochankami, chociaż wszem wobec było wiadomo, że sir Robert jest żonaty z córką Johna Robsarta, odkąd skończył osiemnasty rok życia.

— Ona nigdy nie bywa na dworze — usłyszałam od sprytnej, przywodzącej na myśl beczkę pani Clinkerte, która dość szybko stała się moim najpewniejszym źródłem informacji na dworze królewskim. Wszystkowiedząca pani Clinkerte była niegdyś jedną z piastunek czy nianiek Elżbiety i służyła jej od tamtej pory, pomimo licznych zmian w pozycji i okolicznościach. Była towarzyszką

księżniczki Elżbiety nawet w Tower, w trakcie rządów jej przyrodniej siostry królowej Marii, i jak z rękawa sypała opowieściami o tamtych trudnych i niebezpiecznych czasach. Kiedy dołączyłam do grona dam dworu, pani Clinkerte była przełożoną królewskich dworek, niezwykle żwawą jak na swoją tuszę i swoje lata, których liczyła już prawie pięćdziesiąt. — Żona sir Roberta nigdy nie bywa na dworze — powtórzyła. — Jest na to za mądra. Powiadają, że czeka, to w jednej wiejskiej posiadłości, to w drugiej, aż królowa pojmie małżonka. No bo przecież pojmie, prawda? Mimo że się zarzeka, że tego nie zrobi. Będzie musiała, no nie? Jeszcze żadna kobieta w Anglii nie panowała jako samoistna królowa. Starczy spojrzeć, co spotkało jej siostrę! Próbowwała władać bez męża na tronie i popatrz, jak skończyła...

— Ale jak wyszła za męża, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót — wtrąciłam. — Słyszałam, że wszyscy nienawidzili króla Filipa i że był dla niej niedobry.

— To była kara za to, że kazała spalić tych nieszczęśników — upierała się pani Clinkerte. — Postąpiła źle i się doigrała.

— Opowiedz mi o żonie sir Roberta — poprosiłam, sprowadzając ją z powrotem na interesujący mnie temat.

— Czy jest ładna? Czy jest bogata? Czy ma kochanków?

Pani Clinkerte zniżyła głos.

— Amy Dudley, z domu Robsart, jest dziedziczką, jej ojciec posiada ziemie i fortunę, a Bóg świadkiem, że sir Robert był w potrzebie, aby poślubić dziedziczkę, bo jego rodzina, no wiesz, znalazła się w strasznej niełasce, wielu jego krewnych skończyło w lochu, odebrano im majątkość, tak że jemu nie zostało właściwie nic. A on lubi pieniądze! Wydaje je i wydaje, a jak już wszystkie wyda, wtedy pożycza. — Pokiwała głową na potwierdzenie swoich słów. — Pytasz, czy jest ładna? Nie. Ma zwyczajną twarz i jedno ramię nosi wyżej niż drugie, biustu u niej prawie nie widać i na pewno nie ma takiej cienkiej talii jak królowa. Ale zna swoją wartość, tyle o niej mogę powiedzieć. Nie tylko sir Robert starał się o jej rękę. Ale w pałacu się nie pokazuje, zresztą królowa nigdy by jej nie zaprosiła. Co do kochanków, trudno mi coś powiedzieć, o żadnym nie słyszałam. Z drugiej strony, mało kogo obchodzi, jak ona żyje.

Miałam wrażenie, że sir Roberta jest wszędzie pełno; wypełniał swoje obowiązki jako koniuszy królewski, jeździł konno u boku królowej, gdy wybierała się na polowanie, wiódł do tańca, ilekroć zawezwała muzykantów do swych komnat, organizował rozrywki podczas obchodów świąt, zabawiał nas wszystkich podczas uczt, opowiadając wesołe historie i kawały, a czasem także dzieląc się mroczniejszymi opowieściami z czasów, gdy brał udział w bitwach (walczył mężnie u boku Hiszpanów króla Filipa pod Saint-Quentin).

Sir Robert jechał przodem, przystrojony w olśniewający atlasowy płaszcz i złote łańcuchy na piersi, przewodząc sporej grupie gwardzistów, ilekroć królowa opuszczała pałac i londyńskimi ulicami udawała się do burmistrza. Wyprawiał wspaniałe uczyty w swym imponującym domu na Strandzie, zwanym Leicester House, i przyjmował królową w swych wiejskich posiadłościach, aczkolwiek nigdy nie słyszałam, by podczas tych przyjęć była też obecna jego małżonka.

Gdy Elżbieta napomknęła, iż wszyscy dworzanie farbują sobie brody, by kolorem przypominały jej płomienną grzywę, sir Robert był jednym z pierwszych, którzy obnosili się ze świeżo ufarbowaną, kręconą bródką, kiedy zaś wspomniała, iż jej ulubionym zapachem jest piżmo, kazał uperfumować nim wszystkie swoje rękawice (a także, jak głosiła plotka, mieszki na części intymnej). Potrafił długo i szczegółowo rozprawiać na tematy tak odległe, jak ostatnie wyprawy po dalekich wodach i odkrycia w Nowym Świecie, cena gołębia w cieście czy najnowsze raporty królewskich ambasadorów ze Szkocji i Francji. Wielu mężczyzn gadało bez końca i bez końca nudziło, wszelako sir Robert umiał być bez końca zajmujący.

Nie potrafiłam odeń oderwać oczu — i uszu.

I odkryłam — całkiem przypadkiem — że królowa podziela moją fascynację.

Któregoś późnego popołudnia, gdy Elżbieta z większością swoich dam dworu odpoczywała na tarasie, przyglądając się leniwej grze w krykieta, zostałam odesłana do królewskiej sypialni po szal, który pozostał na łożu. Znalazłam go bez trudu i kątem oka spostrzegłam, iż na niskiej ławie obok leży jedna z wielu starannie wydrukowanych ksiąg Elżbiety, otwarta na stronicy, gdzie królowa coś notowała na marginesie, zanim jej przerwano. Pióro, kałamarz i inne pisarskie utensylia zostały odłożone w wyraźnym pośpiechu. Z pewnością zdążyłaby zamknąć księgę, gdyby sprawa, z którą ktoś do niej przyszedł, nie była naprawdę pilna. A może po prostu chciała, żeby atrament wysechł.

Poznałam jej charakter pisma, litery duże i z zawijasami przypominającymi pajęczne nóżki, starannie uformowane i łatwe do przeczytania.

Poczułam pokusę. Nie zdołałam się powstrzymać i przeczytałam.

Już rok, odkąd stał się mój, a ja jego. Już rok ciągłego szczęścia.

Nikt nie może się dowiedzieć, choć wielu domyśla się prawdy.

Obiecał, że się uwolni...

Na tym pismo się urywało. Co mogły znaczyć te słowa? Z pewnością wiele odsłaniały przed każdym, kto tak jak ja był na dworze królewskim od jakiegoś czasu, choćby od paru miesięcy.

Ostrożnie dotknęłam atramentu. Był suchy.

Słyszając, iż ktoś zmierza korytarzem, otworzyłam najbliższą skrzynię i udałam, że czegoś szukam. Ktokolwiek przechodził za drzwiami, poszedł dalej.

Zbliżyłam się znów do ławy i nachyliłam nad otwartą księgą. Przewróciłam stronicę i odkryłam, że na marginesach poczyniono liczne zapiski, wszystkie tym samym charakterem pisma. Mój wzrok przykuły cztery linijki:

Ma moje serce, teraz

I na całą wieczność.

Wiedziemy jedno życie,

Lecz nigdy wspólne.

Sir Robert i królowa. Królowa i sir Robert. Kochała go, tak jak podejrzewałam. A on ze swej strony „obiecał, że się uwolni” — co najmniej.

Zastanowiłam się, czy pani Clinkerte wie o tej księdze i tych sekretach. Czy też raczej natrafiłam na coś tak osobistego, tak bliskiego sercu Elżbiety, że nawet jej najzaufańsza i najlepiej ze wszystkich poinformowana służka nie ma o niczym pojęcia. Na tajemnicę tak ogromną, że tylko królowa — a odtąd również ja, jej dworka i krewniaczka — mogła ją znać...

Zabrałam szal i skierowałam się do drzwi z zamiarem dołączenia do reszty dworzan. Wszelako zanim opuściłam sypialnię królowej, odwróciłam się i podeszłam do wciąż otwartej księgi. Delikatnie ją zamknęłam, ukrywając zapisane sekrety i mając nadzieję, że niczyje ciekawskie oczy nie wypatrzą tych wiele mówiących słów.

ROZDZIAŁ IX

Niewątpliwie najbardziej zaniepokoiło mnie w chłopcu, którego przedstawił mi ojciec w drugim roku pobytu na dworze królewskim, to iż nie był nadmiernie bystry. Miał męską sylwetkę i nie był najbrzydszy, mimo iż jego ciemne włosy już odsłoniły niskie czoło, wszelako jego oczy! Nic się nie kryło za jego ciemnymi oczami — ani iskra życia umysłowego, ani cień humoru, ani żaden ślad, że gdy spogląda na świat, widzi cokolwiek oprócz przedmiotów. Z pewnością żadnych idei, żadnych sił, żadnych absurdów ani nawet zagrożeń. Tylko przedmioty, ciężkie i bez życia, te zbierane i magazynowane, pielęgnowane i ulepszane lub zwyczajnie odtrącane.

I ja do nich należę, myślałam, przyglądając mu się. Patrząc na mnie, widzi ciało — dojrzałe, młode kobiece ciało — z którego można zrobić użytek i czerpać przyjemność. Z którym można począć synów. Które będzie zdobić i prowadzić jego dom. Czekać, gdy uda się załatwić sprawy Korony, i witać go po powrocie.

Wszystko to zobaczyłam w jego pozbawionych blasku ciemnobrązowych oczach.

Natomiast w oczach ojca dostrzegłam satysfakcję, gdyż w tym chłopcu, w tym Walterze Devereux, już widział mojego męża.

Jeszcze większą satysfakcją napawało go to, iż w swoim mniemaniu znalazł również męża dla Cecylii. Walter bowiem miał kuzyna, sir Rogera Wilbrahama, wdowca potrzebującego żony czy raczej opiekunki dla jego dzieci i niego samego w miarę upływu lat. Sir Roger nie był już młodym mężczyzną — Cecylia byłaby jego trzecią żoną — wszakże zgodził się rozważyć kandydaturę mojej siostry, szczególnie gdyby ojciec użył swych wpływów i pomógł mu zostać sędzią pokoju, które to stanowisko wiązało się z solidnymi dochodami.

Ojciec zacierał ręce, kiedym weszła do komnaty owego pamiętnego popołudnia — widomy znak, iż jest usatysfakcjonowany. Przeniosłam spojrzenie na stojącego obok niego chłopca, którym mógł być wyłącznie Walter Devereux. Zobaczywszy jego oczy, pomyślałam: nie. Och, proszę, tylko nie to.

Zerknęłam na mamę, siedzącą skromnie z boku i rozmawiającą z jakąś kobietą, którą wzięłam za matkę Waltera.

Mama unikała mojego wzroku. Zły znak. Mego brata Franka nie było w pobliżu, powiodłam więc po twarzach obecnych w poszukiwaniu kogoś — kogokolwiek — kto by podzielał moje pierwsze wrażenie na temat pustego Waltera. Nikogo takiego jednak nie znalazłam.

Walter tymczasem zbliżył się do mnie i gapił. Ojciec nas sobie przedstawił. On się uklonił, ja odpowiedziałam płytkim dygnięciem. Milczał. Ależ z niego tępak, myślałam. Ciekawe, gdzie ojciec go wynalazł? Jego następne słowa wszystko wyjaśniły.

— Młody Walter towarzyszył mi w Irlandii, Letycjo. Był mi tam wielką pomocą.

— Jak ci się podobało w Irlandii? — spytałam chłopaka, raczej z uprzejmości aniżeli z ciekawości.

— Irlandia przypomina Walię — padła zwięzła odpowiedź. — Jest tam wiele roślinności.

Cóż miałam rzec chłopakowi, który Irlandię sprowadzał do bujnej roślinności? Gwoli prawdy nigdy nie byłam w Irlandii, wszakże wiele o niej słyszałam od ojca. Odniosłam wrażenie, że to okazała, rozległa kraina, częściowo bagienna, ale ogólnie raczej wspaniała, jeśli nie liczyć nieprzychylnych tubylców.

Postanowiłam zmienić temat.

— Interesujesz się uprawą roślin? Sam zajmujesz się swoimi ogrodami?

Walter tylko wzruszył ramionami.

— To zadanie dla ogrodników. Po to zatrudnia ich mój ojciec.

Byłam już gotowa wymówić się niedyspozycją i oddalić — nie przyszedł mi do głowy żaden inny wiarygodny powód zwalniający mnie z obowiązku dalszej konwersacji z tym cymbałem

— lecz właśnie wtedy usłyszałam kojący głos mamy. Wstała i podchodząc do nas, zwracała się do Waltera.

— Twoja matka mówiła mi przed chwilą, iż fascynujesz się łowiectwem. Zwłaszcza łowami na dzika.

Twarz Waltera natychmiast się rozpromieniła.

— W rzeczy samej. Ustrzeliłem niezliczone odyńce, a także jelenie i danielle, i lisy, i zające, chociaż polowanie z psami niezbyt mi odpowiada...

Odwrócił się do ojca i zalał go potokiem słów:

— Wyprawileś się kiedy na dzika z łukiem, panie? Ja mam ich kilka, wyszły spod ręki mistrza łuczarza, a korzystam ze specjalnych strzał. Cały wic polega na tym, aby polując na dzika, nie zadać mu zbyt głębokiej rany. Do tego celu nadają się świetnie włócznie, a nawet zwykły nóż do strugania, jeśli akurat nie ma nic innego pod ręką...

— Jeden z moich ludzi ugodził włócznią Irlandczyka — odrzekł ojciec. — Był to... wielki sukces, jeśli wolno mi tak powiedzieć. — Minę miał przy tym skwaszoną.

— Nie wątpię, że dzikus sobie na to zasłużył — ordynarnie skwitował Walter. — Ale wracając do polowań... Musisz, panie, dać się zabrać do Framlingham Park albo jeszcze lepiej do UMBERLEIGH, gdzie dosłownie roi się od zwierzyny. Właśnie polując w UMBERLEIGH, miałem okazję kosztować najprzedniejszej dziczyzny, oczywiście zaprawionej owocami porzeczek.

Zaczął się uśmiechać. Kiedy Walter się uśmiechał, w jego oczach pojawiała się nareszcie odrobina światła. Zawsze to coś. Przy tamtej okazji starczyło, abym nie wymówiła się niedyspozycją i jednak pozostała w komnacie.

— Młody pan Devereux z pewnością nie przybył tutaj wyłącznie po to, by rozprawiać o łowiectwie — raczej nietaktownie zauważyła mama, biorąc mnie pod jedno ramię, a Waltera pod drugie i prowadząc nas w stronę ławy wyściełanej miękkimi poduszkami. — Chyba że mowa o łowach na damę, z którą spędzi resztę życia. Czy może jestem nazbyt bezpośrednia?

Urwała z czarującym uśmiechem na twarzy i powiodła spojrzeniem od mojego ojca, przez matkę Waltera, aż wreszcie jej wzrok spoczął na mnie.

— Walter sam musi sobie odpowiedzieć na to pytanie — rzekł ojciec.

I Walter w swoim czasie odpowiedział.

Wszelako wyczekaliśmy się, zanim zebrało mu się na oświadczeniu, gdyż Walter był niesłychanie skrupulatny, donikąd się nie śpieszył i musiał sobie wszystko dobrze przemyśleć, nim poprosił mnie o rękę.

A podczas tych długich miesięcy moje zauroczenie sir Robertem znacznie wzrosło.

Ilekroć Walter przybywał z wizytą, aby spożyć wieczerzę z moją rodziną, lub zabierał mnie ze sobą na któryś z długich spacerów po wiejskiej okolicy, nie umiałam się powstrzymać, by nie porównywać go z Robertem Dudleyem. Porównanie nieodmiennie wypadało na korzyść tego ostatniego. Sir Robert był przystojniejszy, bystrzejszy, zabawniejszy, a także majątniejszy. Miał do roztrwonienia nie tylko fortunę swojej żony, ale również od początku panowania królowej Elżbiety pensję dworskiego urzędnika, przychód z nadanych mu ziem i innych świadczeń wiążących się z pełnioną funkcją. Nie wydaje mi się, abym była chciwa, lecz rosnące bogactwo sir Roberta czyniło go w mych oczach jeszcze bardziej godnym pożądania — chociaż nawet gdyby stracił wszystko do ostatniego pensa, i tak byłby najlepszą partią na całym dworze.

Któregoś popołudnia otrzymałam wiadomość, iż razem z królową i sir Robertem udam się na konną przejażdżkę, i w te pędy pośpieszyłam zmienić strój na jeździecki. Elżbiecie miały towarzyszyć jeszcze trzy inne dworki — razem we cztery stanowiłyśmy swego rodzaju eskortę dla niezamężnej królowej. Było to na dzień przed jej dwudziestymi siódmymi urodzinami i w całym pałacu panowało zamieszanie spowodowane przygotowaniami do mającej się odbyć uroczystości. Gdy Elżbieta kończyła dwudziesty siódmy rok życia, ja byłam nieledwie dziewiętnastolatką. Pamiętam, jak stara mi się wydawała tamtego dnia, jaka dojrzała. W tamtym czasie nie widziałam większej różnicy między kobietą dwudziestosiedmioletnią a czterdziestosiedmioletnią, no może tylko taką, że czterdziestosiedmioletka była już wiekowa — pod warunkiem, że w ogóle jeszcze żyła — zaczynała więdnąć i staczać się w chorobę i cierpienie.

Dzień był niepogodny, słońce nadaremno próbowało się przedrzeć przez ciemniejące chmury. Minionego dnia padał deszcz i grunt wciąż był grząski. Lekki wiatr strącał z drzew żółknące liście.

Sir Robert dosiadał drogocennego wierzchowca, świetnie sobie radząc w siodle i trzymając się go pewnie pomimo nierównego terenu, podczas gdy królowa, odważna, lecz niezbyt utalentowana amazonka, co rusz spadała na ziemię, po czym wołając: „Nic mi nie jest! Nic mi nie jest!”, dosiadała konia ponownie przy pomocy cierpliwego pachołka i choć suknię i trzewiki miała całe ubłocone, humor nadal jest dopisywał.

Spostrzegłam, że sir Robert uśmiecha się, ilekroć królowa witała się z ziemią i wdrapywała z powrotem na siodło, całkiem jakby cieszyła go ta determinacja i zapał. Ukrócał cugli swemu wierzchowcowi, aby posuwać się w tym samym tempie co ona, przekomarzał się z nią, jadąc obok, ścigał ją, kiedy rzuciła mu wyzwanie, aczkolwiek jak zauważyłam, nigdy jej nie wyprzedzał ani nawet nie doganiał, choć mógłby to uczynić z łatwością. Uznałam, że sporych umiejętności wymaga powstrzymywanie rozognionego, rwącego się do galopu konia. Umiejętności i cierpliwości.

W końcu dotarliśmy do mostka nad wodą — zbyt wąskiego i niepewnego, by mogły pokonać go wierzchowce.

— Zaczekajcie tu na nas! — zawołała królowa neutralnym tonem, zanim zsiadła z końskiego grzbietu i ruszyła w stronę przeprawy.

Sir Robert zeskoczył na ziemię i zrównawszy się z nią, wziął ją za rękę. My, dworki, także rozprostowałyśmy nogi, po czym rozsiadłyśmy się na grubej materii rozłożonej dla nas przez pacholka i z wdzięcznością częstowałyśmy się winem, chlebem i owocami, które dla nas przynosił, jak również wystawiały twarze do wątych promieni słońca, które akurat się przebiły przez zwały chmur. Niezbyt się wtedy sprawdzałyśmy w roli przyzwoitek, pochłonięte posiłkiem. Wszakże ja rzuciłam jedno spojrzenie za sylwetkami schodzącymi z mostka po drugiej stronie i ze splecionymi rękami znikającymi w ciemnym lesie. Gdy próbowałam przebić wzrokiem mrok i gęstwinę, z jakiegoś powodu na pamięć wróciły mi słowa, które przeczytałam na marginesie księgi królowej.

Rok ciągłego szczęścia, napisała. Ma moje serce, teraz i na całą wieczność...

Byli kochankami, jakże inaczej? Życzyłam im pełni szczęścia (albowiem któż nie życzy szczęścia tym, którzy zajęli miejsce w jego sercu?) i zazdrościłam królowej oddania przystojnego i lojalnego sir Roberta. A jednak jej słowa niosły nutę tęsknoty i żalu. *Wiedziemy jedno życie, lecz nigdy wspólne*, napisała. Zatem jej marzeniem, najskrytszym marzeniem, było zostać jego żoną — albo tak przynajmniej mi się wtedy wydawało. Los jednak odmawiał jej tego. Nic dziwnego, że jej szczęście było zabarwione smutkiem.

Cień padł na zagajnik, kiedy słońce znów skryło się za grubą warstwą chmur. Jadłyśmy i piły bez umiaru, czekając, aż królowa zaspokoi swoją zachciankę w głębi lasu; pozostałe dworki sarkają i uśmiechały się znacząco, kiedy minuty przechodziły w godziny. W pewnej chwili rozpadało się i musiałyśmy szukać prowizorycznej kryjówki, aż wreszcie Elżbieta i sir Robert wyłonili się spomiędzy drzew i dołączyli do nas. W ciszy i potokach wody wróciliśmy do pałacu.

ROZDZIAŁ X

Dzień po urodzinach królowej usłyszeliśmy wstrząsającą wiadomość. Umarła żona sir Roberta. Zginęła, jak powiadano, wskutek upadku ze schodów.

— Została zepchnięta — krążyły słuchy. — Nie spadła sama. Ktoś ją zepchnął. Wiadomo kto...

Słudzy po kątach nucili melodię do słów „Psikus króla Roberta”. Powstawały dowcipy, w większości nazbyt wulgarne, by je powtarzać, acz śmieszne moim zdaniem i zdaniem Cecylii także. Wszyscy śmieli się jednak nerwowo, tyleż z wesołości, co ze strachu.

Poza tym nic nie było wiadome na pewno.

Amy Dudley umarła w Oxfordshire, podczas gdy sir Robert przebywał z dala od domu, w Greenwich, dopilnowując wielodniowych obchodów urodzin królowej. Zdawałam sobie sprawę, że był w pałacu, w wirze przygotowań i centrum uroczystości, wydając polecenia i utrzymując dobrą atmosferę. Widziałam go na własne oczy. Nie mógł więc być w Oxfordshire i zepchnąć swej żony ze schodów.

— Zatem zrobił to któryś z jego ludzi — szeptano. — Albo jakiś służący.

— Ale wszyscy służący mieli tego dnia wychodne — odzywały się równie ciche protesty. — Lady Amy dała im wolne.

— No to jeden zakradł się z powrotem i skrzył jej kark. A sir Robert się na to wykosztował.

Skandalicznym plotkom nie było końca, rozprzestrzeniały się z pałacu na cały Londyn, a potem na całe królestwo i nawet poza granice Anglii, gdzie o sir Robercie mawiano „król Robert” i „przyszły król”. Nikt oficjalnie nie zaprzeczył, że Amy Dudley zginęła z ręki swego męża bądź z ręki wynajętego przezeń człowieka.

— Powinno się go wtrącić do Tower — sztywno oznajmił ojciec przy wieczerzy. — Tak jak wtedy, gdy był ledwie wyrostkiem i tkwił w lochu razem z resztą swojej zdradzieckiej rodziny.

Każdy na dworze królewskim znał mroczną historię rodu sir Roberta i słyszał o tym, jak jego ojciec, John Dudley, hrabia Northumberlandii, wraz z Robertem i czwórką jego braci został uwięziony w Tower po próbie detronizacji królowej Marii i osadzenia w jej miejsce lady Jane Grey. Odtąd wszyscy Dudleyowie nosili piętno zdrajców i sir Robert musiał ciężko pracować, by je zmyć. Po tych ostatnich wypadkach znów znalazł się na straconej pozycji.

Walter Devereux jadł tamtego dnia z nami, jak nieraz w owym czasie, i pokiwał głową na uwagę mego ojca. W jego ciemnych oczach błysnęło oskarżenie. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały nowe tony.

— Wiem skądinąd, że sir Robert gromadzi broń w Charney Bassett i jaskiniach Midvale Ridge. Ma pod sobą wielu ludzi. Planuje rebelię, zupełnie jak jego ojciec. Ożeni się z królową, a potem przejmie władzę.

— Przy jej zachęcie — dopowiedziała cicho mama. Ojciec wbił wzrok w jakiś punkt przed sobą i rzekł bardzo wyraźnie:

— Jestem pewien, że nie słyszałem żadnych zdradzieckich słów przy tym stole.

Mama spuściła oczy i nic więcej nie powiedziała.

Mimo iż nigdy się do niej nie przekonałam ani nie pałam cieplejszymi uczuciami, martwiło mnie, że Elżbieta bardzo przeżywa wieść o zgonie żony sir Roberta. Chodziła blada jak sama śmierć, a jej smukłe białe palce drżały, ilekroć dostawała ataku nerwowego — co w tamtych przepelnionych złymi plotkami dniami działo się dość często. Nieraz wzywała panią Clinkerte — której ufała bardziej niż innym, może z wyjątkiem sir Roberta — i prosiła o kordiał, który by ukoił jej nerwy. Pani Clinkerte zaś, z twarzą pozbawioną wyrazu i zaciśniętymi wargami, przynosiła jej to, o co poprosiła, bez słowa komentarza, nawet jeśli królowa wypila kilka pucharów w ciągu godziny i robiła się lekko wstawiona bądź — co zdarzało jej się częściej — kłótliva.

Owego czasu królową absorbowano zamawianie nowego łoża („Wystarczająco dużego, by pomieścić dwoje” — komentowała mama, upewniwszy się wcześniej, iż jest poza zasięgiem słuchu ojca. I dodawała: — „Dlaczego by nie?”. „Przecież sir Robert spędza w jej sypialni dnie i noce, a w niektóre ranki jest tam, zanim królowa się odzieje, tak że musi jej podawać bieliznę!”).

Łoże, na które czekała Elżbieta, było wyrzeźbione ze starego cedru, pomalowane i pozłoczone w liczne ornamenty, z ciężkim baldachimem ze srebrogłowi łązonego z czarną koronką. Wezgiowie miało być obite karmazynową satyną i przystrojone długimi puchatymi strusimi piórami upstrzonymi kawałeczkami cienkiego złota. Najbardziej jednak przejmowała się nowymi zasłonami.

— Nie ma lepszych niż te z Cumnor Place — oznajmiła głośno w trakcie narady ze szwaczką. — Nie chcę żadnych innych. Lady Dudley już ich nie potrzebuje. Macie je tutaj sprowadzić i udekorować nimi moje łoże. — Jej wzrok spoczął nagle na mnie. — Letycjo, udasz się do Cumnor Place z panią Clinkerte i przywieziesz je do pałacu.

— Wasza królewska mość może po nie posłać jednego ze służących sir Roberta — bąknęłam. — Tak będzie przystojniej.

Królowa zmierzyła mnie pałającym wzrokiem i nie raczyła nawet odpowiedzieć na moją propozycję.

— Wyruszycie do Cumnor Place jutro — oświadczyła cierpko, a ja nie zaprotestowałam, mimo iż wyczuwałam uśmiechy i poruszenie, jakie w sypialni wywołały słowa królowej pragnącej nade wszystko zasłon po Amy Dudley.

Koniec końców i ja dołączyłam do cichych żartów. Bezczelne żądanie królowej było tak jawne i tak oczywiste, że aż zabawne. Zasłony z łoża nieżyjącej Amy Dudley, które miały zostać przywiezione do królewskiego pałacu i zainstalowane w królewskiej sypialni wraz z małżonkiem Amy! Był to pomysł godzien raczej królewskiego błazna, który miał nas rozśmieszać. Tymczasem taki rozkaz całkiem na poważnie wydała jej królewska mość.

Pomyślałam wtedy, nie po raz pierwszy i nie ostatni, jaką dziwną kobietą jest Elżbieta.

Rychło jednak przestały mnie bawić żarty i kpiny i ogarnął strach na myśl o wyjeździe do Cumnor Place. W głębi duszy bowiem nie chciałam, aby skandaliczne plotki okazały się prawdziwe. Nad wyraz upodobałam sobie sir Roberta i nie zamierzałam dawać wiary tym, którzy posądzali go o podniesienie ręki na własną żonę. Niestety plotka ma sto gąb i nie sposób się od niej opędzić. Miałam w pamięci tamto tête-à-tête w lesie i te wszystkie noce, które sir Robert spędzał w sypialni królowej prawie do białego rana, nieraz sam na sam z nią, a znów przy innej okazji z Williamem Cecilem, jego najzagorzalszym rywalem na dworze królewskim i przebiegłym konkurentem w tajnej radzie.

William Cecil, powtórzyłam w myślach, zastanawiając się nad całą tą sytuacją. William Cecil z pewnością był rad śmierci Amy Dudley, która ściągnęła na głowę sir Roberta ciężkie podejrzenia. Każdy, z kim rozmawiałam w pałacu, twierdził, że sir Robertowi nigdy nie uda się zupełnie oczyścić z zarzutów zamordowania własnej żony. Jego wspaniała kariera dworzanina została raz na zawsze zniszczona. Czy zatem było możliwe, iż to William Cecil zlecił zabójstwo Amy Dudley? Z pewnością nie było niemożliwe...

Królowa musiała znać prawdę, nie miałam co do tego wątpliwości. Stąd jej bladość i nerwowość. Wiedziała, jak się sprawy przedstawiają. A ja podejrzewałam, że jest jeszcze ktoś, kto wie, jak było naprawdę. Wszystkowiedząca pani Clinkerte.

Pakując skrzynię podróżną na wyprawę do Cumnor Place, przyrzekałam sobie, że ją o to zapytam. Pamiętając jej rozmowność i to, jak często wyznawała mi w zaufaniu różne rzeczy w przeszłości, liczyłam na to, iż podczas podróży podzieli się ze mną także tym największym ze wszystkich sekretów.

ROZDZIAŁ XI

— Myślisz, że to on? — zapytałam panią Clinkerte, kiedyśmy już ujechały w milczeniu parę mil traktu oksfordzkiego.

Jej szeroka pomarszczona twarz nie zmieniła wyrazu, była zacięta jak zwykle, a małe oczy nie zdradzały żadnych emocji. Mimo to wiedziałam, że domyśliła się, o co ją pytam.

Wzdychając, odwróciła ode mnie głowę.

— Czytałam jej księgę — nie poddawałam się. — Tę, którą trzyma obok łoża i w której zapisuje swoje tajemnice.

Teraz pani Clinkerte zdawała się zaalarmowana.

— Nie powinnaś była tego robić.

— Napisała tam, że się kochają. I że obiecał jej, iż się uwolni. Czy chciał przez to powiedzieć, że pozbędzie się żony, aby mogli się pobrać? — Po jakimś czasie dodałam:

— Czy śmierć jego żony była prezentem urodzinowym dla królowej? Amy Dudley zmarła w dzień urodzin królowej, prawda? Czy raczej nazajutrz?

Pani Clinkerte skinęła głową. Po krótkiej chwili nachyliła się ku mnie i szepnęła:

— Za dużo gadasz.

Trzymałam język za zębami przez resztę podróży i przerywałam milczenie tylko po to, by rzucić jakąś niezobowiązującą uwagę. Nie wspominałyśmy więcej ani o królowej, ani o sir Robercie, ani o świętej pamięci Amy Dudley.

Przynajmniej dopóty, dopóki nie dotarłyśmy do Cumnor Place i nie zostałyśmy wprowadzone przez ochmistrza do komnaty przygotowanej na nasz przyjazd. Wtedy pani Clinkerte sama wróciła do pytania natury rzeczowej, które zadałam jej podczas podróży. Kiedyśmy zostały same, podprowadziła mnie do wnęki okiennej i powiedziała, co miała do powiedzenia.

— Ludzie powiadają, że sir Robert maczał w tym palce. Ale bez względu na to, jak było naprawdę, ona nigdy go nie poślubi... ani jego, ani żadnego innego.

— Ależ musi za kogoś wyjść. Jeszcze żadna królowa nie władała samodzielnie. Sir William, tajna rada, mój ojciec... wszyscy nakłaniają ją do małżeństwa. I to rychłego.

Pani Clinkerte pokiwała głową.

— Celem małżeństwa jest wydać na świat synów. Synów, którzy by odziedziczyli koronę. Ona nie urodzi żadnego syna. Ani córki, skoro już o tym mowa.

— Jak to?

— Elżbieta nie jest taka jak inne kobiety. Wydawało mi się, iż wiem, o czym mówi pani Clinkerte — że królowa cierpi na jakąś przypadłość albo jest w ten czy inny sposób zdeformowana bądź (Boże broń!) dotknęła ją klątwa. Wszelako my, któreśmy mieszkały obok niej, odziewały ją, zbierały po niej brudy do prania, słały jej łóżko i składały bieliznę, wiedziałyśmy o jej stanie fizycznym wszystko, co można było wiedzieć. No, może tylko nadworni lekarze byli lepiej poinformowani.

— Twierdzisz, że nie jest taka jak inne kobiety, a jednak jej bielizna co miesiąc jest czerwona od krwi — rzekłam wprost. — To widomy znak, że może rodzić dzieci.

Pani Clinkerte przysunęła twarz bliżej, tak że doleciał mnie silny zapach ziół, które notorycznie żuła.

— To nie jej krew — szepnęła — tylko krew innych.

— Jakich innych?

— Wiedzą to tylko jej najbliższe dworki.

Zatem królowa pozorowała miesięczną przypadłość, która doświadcza wszystkie kobiety, aż się nie zestarzeją i nie zaczną usychać. Albo prawie wszystkie.

— Czy sir Robert o tym wie? — spytałam, jak już przetrawiłam uzyskane przed chwilą szokujące informacje.

Pani Clinkerte uniosła brwi i wzruszyła ramionami.

— Wiem tylko tyle, że Elżbieta nie chce być żoną wyśmiewaną i pogardzaną za swą jałowość. Zdając sobie sprawę, że pozostanie bezpłodna, nawet jeśli wyjdzie za mąż, nie zamierza brać sobie męża.

— Ale przecież... przecież musi mieć dziedzica.

— W swoim czasie jakiegoś wyznaczy.

Rewelacje pani Clinkerte były niepokojące w równym stopniu jak scena rozgrywająca się na dziedzińcu poniżej, skąd dochodził narastający hałas, zagłuszający jej ciche słowa.

Na dziedzińcu wtaczały się wozy załadowane bronią, rzędami ciężkich dębowych beczek, linami i częściami uprzęży, skrzyniami i koszami. Żołnierze i służący rozpakowywali wozy i roznosili rzeczy do budynków przylegających do domu. Zbrojni przejeżdżali pod łukową bramą wiodącą do posiadłości, kręcąc się w tę i we w tę; żołnierze podpierali belki w wejściu do stajni; strażnicy zabijali czas grą w kości wprost na ziemi. Cumnor Place zamienił się w wojskowy obóz pełen mężczyzn szykujących się do walki, wpadających i wypadających w pośpiechu, z zaaferywanymi minami, jakby wypełniali ważne rozkazy i zadania.

Panował rozgwar i chaos, zgoła pandemonium. Czy ktoś tu w ogóle dowodził?

Przypomniałam sobie, co powiedział o sir Robercie Walter Devereux: że Dudley gromadzi broń i szykuje rebelię. Czyżby dlatego królowa była taka blada i nerwowa ostatnimi czasy? Czyżby obawiała się sir Roberta i jego ludzi? Czyżby była pionkiem na jego szachownicy?

Wspomniałam także słowa ojca żegnającego mnie przed wyjazdem do Cumnor Place. Stał przede mną z głębokim marsem na czole, wyżłobionym od ciągłego marszczenia brwi, położył mi dłonie na ramionach i patrząc mi prosto w oczy, przemówił:

— Letycjo, cokolwiek zobaczysz lub usłyszysz i cokolwiek powie ci Walter Devereux, wiedz jedno: nie wierzę, by Koronie coś groziło. Nazbyt wielu z nas trzyma ją pewnymi rękami! Tron Anglii jest bezpieczny.

Z ulgą oddaliłam myśli o tych poważnych sprawach i skoncentrowałam się na zadaniu, z którym przyjechałyśmy do Cumnor Place, wypełniając rozkaz królowej. Wraz z panią Clinkerte podążyłam za ochmistrem do sypialni Amy Dudley. Przeszliśmy kilkoma korytarzami i pokonaliśmy niewysokie schody. Na każdym stopniu, nieco z boku, leżał bukiet podwędniętych kwiatów. Jak tylko je spostrzegłam, uświadomiłam sobie, że muszą to być owe feralne schody, świadek wypadku lub morderstwa Amy Dudley, i aż sapnęłam z wrażenia.

Ochmistrz otworzył przed nami drzwi do sypialni i weszliśmy do środka.

Od razu zauważyłyśmy staruszkę, kulącą się jakby w obawie przed ciosem. Stała pod przeciwległą ścianą i patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami.

— Pırto! — zawołał zza naszych pleców ochmistrz. — Te szlachetne damy przyjechały tutaj na rozkaz królowej. Z pałacu. Rozumiesz?

Dziwnie było słyszeć, jak ktoś określa panią Clinkerte „szlachetną damą”. Przypuszczam, że ochmistrz chciał się jej przypochlebić. A może faktycznie wziął ją za wysoko urodzoną damę pomimo zgrzebnego materiału i kiepskiego kroju jej sukni, braku klejnotów i staromodnego czepka. Każdy dworzanin na pierwszy rzut oka rozpoznałby w niej osobę niskiego urodzenia.

Staruszka kiwnęła głową, równocześnie kuląc się jeszcze bardziej, jakby chciała stać się całkiem niewidzialna.

— Przyjechały w sprawie sypialnianych zasłon. Dopilnuj, żeby dostały to, po co przyjechały — dodał ochmistrz, a następnie zwrócił się do nas: — To jest Pırto, służka zmarłej lady Dudley. Wiernie służyła swojej pani.

Kiedy nas zostawił, podeszłam do ogromnego łoża. Otaczały je — od frontu i z boków — najbogatsze i najwykwintniejsze zasłony sypialniane, jakie kiedykolwiek widziałam. Tapiserie w jaskrawych barwach ukazujące sceny mitologiczne. Rozpoznałam uwiedzenie Ledy, obejmujących się Adonisa z Wenus, Psyche pochyloną nad Kupidynem, z lampą nisko opuszczoną, aby wydobyć jego piękno. Haft był niesłychanie misterny. Przestałam się dziwić, że królowej tak zależy na tym,

by zawiesić je wokół swego łoża ze starego cedru, mimo iż nie sposób było zignorować głębszego znaczenia takiego uczynku.

— Pirto — zwróciłam się do starej służącej — zechcesz zdjąć te tapiserie i starannie je zapakować, abyśmy mogły zawieźć je bezpiecznie do Londynu?

Jedyną odpowiedzią było głośne pociąganie nosem.

— Proszę... — wyszeptała po długiej chwili — proszę, nie pozwólcie im mnie zabrać...

Przyjrzałam się jej uważniej. Była nieludzko przestraszona.

— Nikt nie chce cię donikąd zabierać. Przyjechałyśmy tylko po te zasłony. — Widząc, że nie przestaje się kulić i szlochać, dodałam łagodniejszym tonem: — To ty ułożyłaś te bukietki na schodach, prawda?

Potaknęła skinieniem, po czym po raz pierwszy na mnie spojrzała. Głęboki żal wyzierał z jej starych oczu, obwiedzionych czerwonymi kręgami i niezliczonymi zmarszczkami. Żal — ale i strach.

— Żołnierze... ci żołnierze... zabiorą mnie i wtrącą do lochu...

Pani Clinkerte podeszła zdecydowanie do staruszki i uderzyła ją w twarz.

— Przestań się mazgać i bierz się do roboty! Odpowiedzią był jeszcze gwałtowniejszy wybuch płaczu.

— Gdzie kosze? — spytała niecierpliwie pani Clinkerte. — Sama zapakuję te zasłony.

— Żołnierze... ci żołnierze... — powtarzała staruszka. — Moja pani... dokąd ją zabiorą? Dokąd zabiorą mnie?...

Pani Clinkerte już ściągała zasłony i próbowała je poskładać, grube i ciężkie, w równy stos. Pirto natomiast podeszła do jakiejś szafki i zaczęła ją otwierać trzęsącymi się dłońmi. Wyjęła metalowe puzdro zdobne rollwerkiem i połączanymi inicjałami AD. Sięgnąwszy do kółka z kluczami wiszącego jej u pasa, wybrała jeden, umieściła go w dziurce, po czym przekręciła, zwalniając zamek.

Patrzyłam bez mrugnięcia powieką, kiedy ustawiała puzdro na skrzyni i wyciągała po kolei przedmioty.

— To pamiątki po mojej pani — mówiła przejętym głosem. — Jej skarby.

— Sir Robert powinien je dostać.

— On nie dba o rzeczy po niej. Ani nawet o jej nieszczęsne połamane ciało. — Pirto mówiła cicho, lecz gniewnie. — Wiesz, jak ją pochowali? Włożyli ją do prostej sosnowej trumny i pogrzebali za piwiarnią. Zakrystian ją złożył do grobu, a wikariusz odmówił modlitwę i już było wszystkim.

— Z pewnością w późniejszym czasie odbędzie się pogrzeb na cmentarzu kościelnym. Ta śmierć wszystkich zaskoczyła. Nikt nie był na nią przygotowany. A sir Robert w dodatku jest bardzo zajęty na dworze królewskim. Jej królewska mość bardzo na nim polega. Mimo wdowieństwa nie może więc sobie pozwolić na przyjazd do domu.

Stara służąca popatrzyła na mnie ostro, oskarżająco. Jak gdybym w jakiś sposób uchybiła pamięci jej zmarłej pani.

— Lady Dudley potrzebowała go bardziej. Polegała na nim, ale jego nigdy tutaj nie było. — Pomarszczona twarz znów nabrała płaczliwego wyrazu. — Tylko ja tu byłam. Tylko ja wiem...

— Co wiesz? — wpadła jej w słowo pani Clinkerte, odrywając się od składania opornych zasłon. — Co takiego możesz wiedzieć?

Zamiast odpowiedzi Pirto podniosła z wieka skrzyni jeden z przedmiotów wyjętych przed chwilą z puzdra. Miniaturę, portret tak mały, że nie sposób było określić, kogo przedstawia. Uniosła go do światła i długo mu się przyglądała załzawionymi oczami. Drugą ręką niemal niepostrzeżenie usunęła z puzdra złożoną kartkę, po czym umieściła ją w kieszeni fartucha.

— Wiem, co wydarzyło się w dniu jej śmierci — odpowiedziała, spoglądając prosto na mnie, i tym razem dojrzałam w jej oczach wyzwanie. — I zamierzam o wszystkim powiedzieć sędziemu na procesie.

ROZDZIAŁ XII

Surowe bielone wnętrza sali sądowej wypełniały się hałaśliwymi widzami, rozdającymi sobie wzajemnie kuksańce w walce o lepsze miejsca na twardych drewnianych ławach dla nich przeznaczonych; kłócącymi się głośno i roztaczającymi odór piwa. Proces mający na celu ustalenie przyczyny śmierci Amy Dudley, świętej pamięci pani Cumnor Place, miał się rozpocząć o godzinie czwartej, a oberże były otwarte od południa. Mało kto z miejscowych nie skusił się na kufel piwa, czekając niecierpliwie na pojawienie się sędziego. Jeszcze mniej osób miało wątpliwości co do wyroku.

— Przekupił ich wszystkich co do jednego — rozlegały się szepty wśród biedaków gapiących się otwarcie na zebranych przysięgłych: grupkę nerwowych mężczyzn zebranych w pośpiechu w minionych dniach, jak wiedziałyśmy od ochmistrza Cumnor Place. — Sir Robert Dudley przysłał swoich ludzi, żeby ich opłacili, przewodniczącego także. Ponoć już dawno poślubił królową, tyle że w sekrecie, i zostanie koronowany, jak tylko się da.

Przewodniczący ławy przysięgłych, niski, sterany życiem człowieczek gmerający przy wierzchnim okryciu i unikający spojrzeń widzów, zdawał się mocno niepewny siebie, gdy przestępował z jednej obutej byle jak nogi na drugą.

— Przekupiony — wydał werdykt tłumek. — Wszyscy przekupieni, by powiedzieć, że sir Robert Dudley nie miał z tym nic wspólnego.

W wychłodzonym pomieszczeniu zagwizdał przeciąg, kiedy wszedł sędzia z wargami wygiętymi w na wpół sardoniczny uśmiezek na okrągłej anielskiej twarzy i oczami pełnymi pogardy na widok plebsu tłoczącego się na ławach. Nie wzbudził szacunku wśród tłumu, ale wszyscy obecni wstali i uciszili się, gdy za nim wkroczył do środka drugi mężczyzna, wysoki i odziany w czerwoną szatę lamowaną futrem, wyniosły i dystygowany nawet wtedy, gdy zajmował swoje miejsce obok sędziego. Obrzucił zebranych spokojnym i obojętnym spojrzeniem kogoś, kto przywykł do posłuchu.

— Justycjariusz królewski, wysłany z pałacu, by reprezentować królową.

— Jakby królowa mogła być bezstronnym świadkiem na tym akurat procesie... — wymamrotał ktoś i wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem.

— Wolno usiąść — ogłosił donośnie sędzia i ławy zatrzeszczały, kiedy tłum zajmował znów miejsca, mrużąc i pochrzając, a tu i ówdzie nadal podśmiewając się z Elżbiety.

— W sprawie zgonu Amy Dudley tenże sąd się zgromadził, aby wysłuchać świadectwa kilkorga świadków — zaczął sędzia i nie zmienił monotonnego tonu przez resztę popołudnia, kiedy wezwany za wezwanym wchodzili na salę, by złożyć swe zeznania.

Siedząc z panią Clinkerte z tyłu, przysłuchiwałam się świadkom opisującym ostatni dzień życia Amy Dudley — jak to nalegała, by wszyscy służący udali się na targ, jak to się złościła, kiedy ten czy ów chciał zostać w domu razem z nią, jak to w końcu ich do tego zniechęciła i odesłała, jak to tamtego dnia (jak w większość dni), będąc w podłym nastroju, płaczliwa i samotna, skarżyła się na bliskich, zażywała leki na doskwierające jej silne bóle i modliła się, by to cierpienie nareszcie się skończyło.

— Zechcesz powtórzyć ostatnie słowa, panie? — Sędzia przerwał lekarzowi, który właśnie opisywał stan ducha Amy Dudley.

— Powiedziałem, że modliła się, by to cierpienie nareszcie się skończyło.

— Lady Dudley użyła dokładnie tych słów owego popołudnia?

— Owszem. Tych samych albo bardzo podobnych, w każdym razie niosących identyczne znaczenie.

— Przypominam, że wszyscy świadkowie zeznają pod przysięgą.

— O ile dobrze pamiętam, stanęła naprzeciwko krzyża, który wisiał nad jej łóżkiem, i...

— Ale nad jej łóżkiem nie wisi krzyż — odezwałam się, powstając z miejsca. — Pani Clinkerte i ja byłyśmy w jej sypialni zaledwie tego ranka, zdejmując zasłony z łoża, i nie widziałyśmy żadnego krzyża, wyłącznie tapiserie haftowane w pogańskie sceny.

Sędzia popatrzył na mnie zmrużonymi oczami. Justycjariusz również przyglądał mi się z zainteresowaniem.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— Ale chyba nie chcesz powiedzieć, że zmarła nie była chrześcijanką?

— Nie, wysoki sędzie. Chcę tylko powiedzieć, że pamięć chyba zawiodła lekarza, gdyż nad łożem lady Dudley nie wisi żaden krzyż.

Wtedy przemówił justycjariusz.

— Czy odkąd lady Dudley zmarła aż do dzisiaj, gdy zaczęto ściągać zasłony sypialne, nic w jej komnacie nie zostało tknięte ani zmienione? — zapytał z wielką powagą.

— Nic.

Widzowie, którzy na przemian kręcili się niespokojnie i przysypiali znudzeni monotonią wcześniejszych zeznań, nagle się ożywili. Poczulałam na sobie spojrzenia wielu par oczu.

Lekarz także na mnie patrzył, wyraźnie zagniewany.

— Może więc uczyniła znak krzyża — zazgrzytał zębami.

W tym momencie głos zabrała Pirto, siedząca pomiędzy świadkami i czekająca na swoją kolej, by powiedzieć wszystko, co wie.

— Moja pani nigdy nie żegnała się na papistowską modłę — oznajmiła krótko i znów usiadła.

— A co to za różnica?! — wykrzyknął poirytowany i spięty lekarz. — Liczy się przecież to, co mówiła!

Ja widziałam jednak, iż justycjariusz nie dowierza słowom lekarza. Naciskał nań, sprawiając, że jego zdenerwowanie rosło. W końcu zaczął się wahać i jąkać, a wreszcie także zaprzeczać sam sobie, aż stało się jasne, iż od początku rozmijał się z prawdą.

— Doktorze Huick — włączył się znowu do przesłuchania sędzia, przybierając niezwykle poważny ton — zaraz zadam pytanie wielkiej wagi, ty zaś, panie, odpowiesz na nie jak człek spolegliwy, w przeciwnym razie osobiście bowiem dopilnuję, abys poniósł karę za swą nieuczciwość. — Odkaslnął. — Czy ktokolwiek zapłacił ci, pieniędzmi lub przysługą, abys zwiódł ten sąd, dając do zrozumienia, że lady Dudley cierpiała do tego stopnia, by targnąć się na własne życie?

Ku memu zdziwieniu lekarz rozgniewał się jeszcze bardziej.

— Oczywiście, że nie! — warknął. — Nie trzeba mi płacić, gdyż nie skarżę się na ubóstwo.

W odpowiedzi rozległy się głośne śmiechy, których nie tłumił nawet majestat sądu. Zarumieniony lekarz, nieświadom ukrytego znaczenia własnych słów, w desperacji wyrzucił ręce w górę.

Sędzia przepytywał go dalej, gdy zebrani już się uspokoili.

— Zatem zwodzisz ten sąd kłamliwymi zeznaniami? Lekarz próbował odzyskać kontenans, zanim odpowiedział:

— Mówię to, co pamiętam, wysoki sędzie. Pałeczkę przejął znów justycjariusz.

— Kiedy dokładnie odwiedziłeś lady Dudley w dniu jej śmierci?

— Po jej południowym posiłku.

— Kto podał jej posiłek, skoro wszyscy służący byli na targu?

— Ja — odezwała się Pirto ze swego miejsca. — Nigdy nie opuszczałam swojej pani.

— Zatem byłaś obecna, kiedy doktor Huick złożył twojej pani wizytę?

— Dopraszam się łaski wysokiego sądu, ale klnę się na krzyż, że ten lekarz nie odwiedził mojej pani w tamto popołudnie.

— Właśnie że odwiedziłem! Ta kobieta kłamie! — nie wytrzymał lekarz. Głos mu drżał, na skórę wystąpiły poty.

— Połóż prawą dłoń na Biblii i przysięgnij, że mówisz prawdę — rzekł justycjariusz.

Ktoś przyniósł Biblię i podsunął ją świadkowi.

— Przysięgam — oświadczył lekarz, kładąc upierścienioną dłoń na grubej księdze — że słyszałem, jak lady Dudley modli się o to, by jej cierpienie nareszcie się skończyło.

— Klęczała, modląc się, czy raczej stała?

Justycjariusz stał teraz obok trzęsącego się lekarza; jego wysoka, charyzmatyczna postać wyraźnie przytłaczała niższego i młodszego mężczyznę.

— Stała, tak jak mówiłem.

— Moja pani zawsze klękała do modlitwy — wtrąciła Pirto kamiennym głosem.

Na sali sądowej zapadła cisza.

— Może jednak zawodzi cię pamięć, doktorze. Wysłuchajmy lepiej służącej, która była owego popołudnia ze swoją panią.

— Lady Dudley była cierpiącą kobietą! — wykrzyknął lekarz. — Odchodziła od zmysłów! Nie miała woli życia!

Na znak justycjariusza dwaj strażnicy ujęli lekarza pod ręce i wyprowadzali go już na zewnątrz, wciąż krzyczącego, choć gwizdzący przeciąg zagłuszał jego słowa.

Tymczasem Pirto, trzymając w dłoni miniaturę, którą wyjęła przy nas z puzdra kryjącego skarby Amy Dudley, podeszła do stołu sędziowskiego i patrząc przysięgłym prosto w oczy, zaczęła mówić na znak sędziego.

ROZDZIAŁ XIII

Już na pierwsze słowa Pirto wszyscy pochylili się do przodu, aby lepiej słyszeć. W przeciwieństwie do lekarza była opanowana. Roztaczała aurę pewności — jakże odmienną od stanu, w jakim ją zastałyśmy z panią Clinkerte minionego dnia. Powaga sytuacji nie onieśmieliła jej, ba, wydobyła z niej pokłady pewności siebie. Przyglądałam się jej i słuchałam tego, co mówi, z rosnącym zainteresowaniem.

— Moja pani była pełna cnót i dobra — opowiadała. — Co dzień modliła się na klęczkach. Czytała Biblię. To wiara dawała jej siłę. Od zawsze знаła swoją wartość. Była dumna ze swego pochodzenia i bogactwa. A mimo to była niewiastą o słodkim usposobieniu i twarzy anioła...

— Jakiegom nigdy w życiu nie widziała — szepnęła przez zaciśnięte zęby pani Clinkerte. — Miała długi haczykowaty nos i ślepią zdolną przewiercić na wylot gruby mur. A koło słodczy nawet nie stała...

Jako że nigdy nie spotkałam Amy Dudley, nie wiedziałam, komu wierzyć, aczkolwiek domyślałam się, iż wierna Pirto wyolbrzymia zalety swojej pani. Robiła co w jej mocy, by chronić swoją panią i jej dobre imię nawet po śmierci.

— Tamtego popołudnia, gdy zdarzył się wypadek, przepelniało ją szczęście. Nigdy nie widziałam jej równie radosnej. „Och, Pirto”, rzekła do mnie. „Wypraw wszystkich z domu! Dziś będę mieć szczególnego gościa. Chcę utrzymać jej wizytę w sekrecie, w zupełnej tajemnicy, nawet przed moim małżonkiem. W budynku nie może pozostać ani jeden sługa”. Nie miałam pojęcia, jaki był powód tej tajemniczości, ale zrobiłam, o co prosiła. Wyprawiłam wszystkich z domu. Dopiero gdy ów gość się pojawił, zrozumiałam. Była to bowiem akuszerka z Londynu. Bo widzicie, moja pani nosiła w łonie dziecko!

Zebrani raptownie wstrzymali oddech.

— Ach! — zakrzyknęło parę kobiet.

Kiedy jednak spojrzałam na panią Clinkerte, twarz miała nieprzeniknioną, a w jej oczach pobłyskiwało powątpiewanie.

— Nie była smutna ani nie wybierała się na tamten świat — kontynuowała Pirto. — Co to, to nie! Była zachwycona. Z niecierpliwością wyczekiwała chwili, w której urodzi mężowi syna, by mógł po nim odziedziczyć nazwisko.

— Czy sir Robert wiedział o odmiennym stanie małżonki? — zapytał sędzia.

— Nikt nie wiedział. Tylko moja pani, ta akuszerka z Londynu i ja. A ja dowiedziałam się dopiero owego popołudnia.

— Zakładam więc, że na oko nie dało się poznać, iż jest przy nadziei?

— Nie. Dziecko miało się narodzić nie wcześniej niż na wiosnę.

Szum jeszcze się wzmógł. Pękaty, czerwony na twarzy przewodniczący ławy przysięgłych krzykiem przywołał zebranych do porządku, niewiele to jednak dało. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Chcę powiedzieć jeszcze coś — ciągnęła Pirto, zwracając się do sędziego.

— Mów.

Tłum się uciszył i nadstawił uszu.

— Chcę powiedzieć, że moja pani była bardzo szczęśliwa, ponieważ wierzyła, że odtąd jej mąż zamieszka razem z nią i nie będzie jej dłużej przynosił wstydu.

— Jakiego wstydu? — spytał ostro sędzia.

— A takiego, że kręci się koło królowej.

Niski głos justycjariusza przebił się ponad wszystkie.

— Mów dokładnie, co masz na myśli, a pamiętaj, żeby dobierać starannie słowa, gdy przychodzi ci wypowiadać się o naszej monarchini.

Pirto podniosła starczą głowę na starczej, pomarszczonej szyi i wbiła spojrzenie bladoniebieskich oczu w wysokiego, odzianego w czerwień urzędnika królewskiego.

— Nie powiem tu niczego, czego wszyscy i tak by nie wiedzieli. Sir Robert Dudley jest cu...

Zanim dokończyła, wypowiadając w całości słowo „cudzołożnik”, podwójne drzwi otworzyły się nagle i uderzyły o ścianę z hukiem.

— Sir Robert Dudley jest kim?

W progu sali sądowej stał sir Robert we własnej osobie, odziany w błyszczącą zbroję, z przypasanym do boku mieczem o wysadzanej klejnotami rękojeści i wyrazem wściekłości na przystojnym obliczu. W paru zamaszystych krokach znalazł się z przodu sali, zwinny i silny pomimo przytłaczającego go ciężaru zbroi, i nachylił się nad kulącą się znów służącą.

— Wypluj to z siebie, starucho! Sir Robert Dudley jest kim?

Na sali zapanowało zamieszanie, gdy tupot podkutych butów powiedział nam wszystkim, że eskorta sir Roberta, parę tuzinów zbrojnych, wkroczyła tuż za nim i ustawiła się w groźnie wyglądającym szyku w pobliżu otwartych drzwi.

Ledwie widziałam, co się wokół dzieje, gdyż wszędzie podnosili się krzyżący mężczyźni, ci najbardziej pijani gromko się śmieli, z trudem trzymając na nogach, a wszyscy przepychali się i potracali. Zdołałam dostrzec, że Pirto próbuje uciec przed sir Robertem i przewraca się. Jednym gwałtownym ruchem sir Robert złapał ją za ramiona i jakby nic nie ważyła, usadził na ławie.

Justycjariusz gromko domagał się spokoju na sali i w końcu, po paru jeszcze chwilach nieprzystojnego zachowania i równie nieprzystojnych przekleństw, zapadła cisza przerywana tylko szeptami.

Sir Robert wciąż stał nad starą Pirto.

— No więc? Co o mnie mówiłaś?

Przełknęła ciężko i bardzo zbladła, ale zdołała się odezwać.

— Że jesteś cu...

— Cudownym doradcą, chciałaś powiedzieć? A może cudakiem? Czy też cuchnącym śmierdzielem? Nazywano mnie tak i znacznie gorzej. A prawda jest taka, że nikt z was, nikt w ogóle oprócz samej królowej, nie wie, co dla niej robię jako zaufany doradca i członek królewskiej rady.

— Za pozwoleniem, sir Robercie, zebraliśmy się tu, by ustalić przyczynę śmierci twojej małżonki — dzielnie wtrącił sędzia, nie uginając się przed potęgą wielmoży ani obecnością jego zbrojnej eskorty, ani nawet przed siłą jego uczuć.

Wstrzymałam oddech, sądząc, że sir Robert zaraz dobędzie miecza i przetnie Pirto w pół. Poszczuje zbrojnych na sędziego. Zdemoluje salę sądową.

— Nikogo bardziej niż mnie nie interesuje prawdziwa przyczyna śmierci mojej żony — rzekł sir Robert.

— Mimo że nie było ci wiadome, iż nosi ona twoje dziecko.

— Nie wierzę. Czy otwarto jej ciało?

— Nie, wasza miłość. Nie zrobiono tego. Ale służka Pirto zeznała, iż w dniu śmierci lady Dudley przyjechała do niej z Londynu akuszerka.

— Bzdura. Lady Dudley była bezpłodna. — Zgromił staruszkę spojrzeniem. — Jak nazywała się ta akuszerka?

— Nie przedstawiła mi się — odszczeknęła Pirto.

— Szybko! Przesłuchać pacholków i dowiedzieć się, czy jakaś kobieta odwiedziła moją żonę w dniu jej śmierci.

Natychmiast kilku zbrojnych opuściło salę sądową, by wypełnić rozkaz. Pirto tymczasem wybuchnęła płaczem i zakryła twarz rękoma.

— Nie było żadnej akuszerki, prawda, Pirto? Wymyśliłaś to wszystko. Moja szlachetna małżonka nie była szczęśliwa. Nie była szczęśliwa od bardzo długiego czasu. Nieraz mówiła, że już dłużej nie zniesie trudów życia. A ja nie potrafiłem jej pomóc ani pocieszyć jej. Posyłałem po duchownych i lekarzy, wszakże nikt nie był w stanie podnieść jej na duchu, a już najmniej ja. W rzeczy samej tylko pogłębiałem jej melancholię. Amy była nieszczęśliwa i ja też byłem nieszczęśliwy, żyjąc u jej boku. Jej ciągła rozpacz była jednym z powodów, dla których cieszyły mnie liczne obowiązki na dworze królewskim.

Dźwięczące słowa sir Roberta, słowa płynące prosto z serca, a wypowiedziane nie w chwili zniecierpliwienia, lecz desperacji, długo wisiały w powietrzu.

— Rozumiem — przemówił sędzia cicho, aczkolwiek widać było, że podjął już decyzję. Po chwili przerwy poprosił: — Czy zechcesz, wasza miłość, rzec temu sądowi, dlaczego zjawiłeś się w Cumnor Place właśnie teraz? Nie wezwano cię na świadka.

— Czy to nie oczywiste? Jestem tu, by zebrać swoich ludzi. Królowa obawia się rebelii. Rebelianci podnoszą głowy w konsekwencji śmierci mojej żony. Niektórzy śmia twierdzić, że jestem odpowiedzialny za ten zgon. Że zamierzam ożenić się z królową i przejąć władzę. Królowa także jest niesłusznie oskarżana i winiona. Siły rebeliantów, katolików wiernych papieżowi i zachęcanych przez króla Filipa, korzystając z okazji, gromadzą się potajemnie. Królowa poleciła mi wezwać pod broń tysiąc ludzi i wyposażyć ich z moich zbrojowni rozsianych po Oxfordshire. To właśnie robię, bez żadnej zwłoki, gdy siły naszych wrogów maszerują już na Londyn.

— Zatem nie wolno nam cię zatrzymywać, wasza miłość — oznajmił gładko sędzia. — Niniejszym ogłaszam koniec procesu i wzywam przysięgłych do wydania wyroku o śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku. Ciało lady Dudley zostanie pochowane w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej w Oksfordzie za dwa tygodnie od dzisiaj, z wszelkimi honorami należnymi jej urodzeniu i pozycji jej dostojnego małżonka.

ROZDZIAŁ XIV

Opuściłam salę sądową, będąc pod wielkim wrażeniem sir Roberta. W moich oczach wypadł przekonująco, gdy opowiadał o rozpaczy świętej pamięci żony, wierzyłam więc bez zastrzeżeń, iż jest niewinny jej śmierci, cokolwiek twierdzili rozplotkowani dworzanie i służący.

Amy Dudley spadła ze schodów, uległa wypadkowi. Sprawa zakończona. Sędzia tak powiedział, a imponujący justycjariusz aprobował jego decyzję.

Upewniłam się o niewinności sir Roberta po tym, jak wróciłam do sypialni Amy Dudley po spakowane do koszy zasłony, czekające, by zabrać je do pałacu w Londynie.

Kiedy weszłam do komnaty, ze zdziwieniem spostrzegłam, iż sir Robert klęczy przy łożu zapłakany, ze złożonymi dłońmi, szepcząc słowa pożegnania (tak przynajmniej mi się wydawało) do zmarłej żony. Nie miał już na sobie zbroi, zdjął nagolenniki, sztywny napierśnik i naramienniki i położył je na narzutę. Klęcząc tam w samej lnianej koszuli, tak cienkiej, że niemal przejrzystej, i w miękkich, przylegających do ciała pludrach, nie tylko bez zbroi, ale nawet bez dubletu z bufiastymi rękawami i bez aksamitnej wierzchniej peleryny, którą zawsze nosił na dworze królewskim, wydawał się bezbronny w swej nieomal nagości.

Bezbronny — a przy tym silny. Nie mogłam się powstrzymać, by nie podziwiać jego umięśnionych ramion, szerokich barków i mocarnych nóg, aczkolwiek pozwoliłam sobie na podziw tylko przez krótką chwilę. I zaraz zastanowiłam się, czy to zauważył.

Albowiem podniósł wzrok, gdy przekroczyłam próg, i natychmiast zaczął ocierać łzy. Widziałam po wyrazie jego twarzy, że czuje się samotny i szczerze zasmucony. Pomyślałam, że choć w żaden sposób nie ponosił winy za śmierć swojej żony, a co więcej, starał się ją pocieszać i nieść jej pomoc, jednak czuje żal, a może nawet coś więcej niż lekkie wyrzuty sumienia.

Ujęło mnie to bardzo i me serce aż się do niego wyrывało.

— Przepraszam, że przeszkadzam, wasza miłość — powiedziałam. — Nie spodziewałam się, że ktoś tu będzie. Przyszłam po zasłony, o które prosiła królowa.

Podniósł się na nogi i usiadł na łożu. Zdawał się nie przejmować tym, iż jest odziany tylko w cienką koszulę i obcisłe pludry. Kiedy tak tam siedział, sprawiał wrażenie bardzo młodego, raczej chłopca niż dorosłego mężczyzny, zwłaszcza że bez obszernego stroju był chudy i nieco niezgrabny.

Spojrzał na mnie.

— Nie będę mógł wziąć udziału w pogrzebie, więc muszę się pożegnać teraz, najgodniej jak potrafię. Lepiej to zrobić tutaj, w domu, w którym umarła, aniżeli przy płytkim grobie wykopanym za piwiarnią, gdzie ją pochowali.

Oboje wiedzieliśmy, dlaczego z takim pośpiechem sprawiono jej pochówek w niepoświęconej ziemi, lecz żadne z nas nie poruszyło tego tematu. Gdyby Amy celowo rzuciła się ze schodów, chcąc odebrać sobie życie, nie należałoby jej się miejsce na kościelnym cmentarzu. Samobójcom odmawiano godnego pochówku. Wikariusz, świadom delikatności sprawy, zdecydował się zapewnić jej tymczasowy grób na rodzinnej ziemi, w nierzucającej się w oczy mogile.

Sir Robert przyjrzał mi się uważniej — i jego wargi rozciągnęły się w ostrożnym uśmiechu.

— Jesteś córką Franciszka Knollysa. Nawiedzasz komnaty królowej, pojawiając się i znikając, gdy biegasz na posyłki z pozostałymi dworkami.

— Nazywam się Letycja Knollys, wasza miłość.

— Wychodzisz za mąż za dziedzica rodu Devereux, zgadza się?

— Być może. Jeszcze nie doszło do zaręczyn.

— Coś mi mówi, że ten ślub nie jest po twojej myśli.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na te słowa, wszakże nie byłam pewna, czy powinnam rozmawiać o swej przyszłości ze wspomniałym sir Robertem.

Przejechał dłonią po twarzy, pozbywając się resztek łez, a przy tym pozwolił mięśniom na rozluźnienie, dzięki czemu zobaczyłam, jak wielkie brzemię go przygniata.

— Porozmawiaj ze mną, Letycjo. Pomóż mi odciągnąć moje myśli od tego przeraźliwie smutnego miejsca.

Westchnęłam, zastanawiając się, co powinnam powiedzieć. Zbierając myśli, przyciągnęłam ławę do łoża i usiadłam. Żałowałam, że nie ma z nami pani Clinkerte albo ochmistrza, albo nawet starej Pirto. Chociaż z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że sir Robert był na wpół nagi, może to i lepiej.

Przypomniałam sobie coś, co kiedyś obito mi się o uszy, mianowicie, że sir Robert spędził młodość we Włoszech. Uznałam, że będzie to dobry temat do rozmowy, przy którym żadne z nas nie poczuje się niezręcznie.

Zapytałam go więc o jego podróże po Włoszech, a on zdawał się rozchmurzyć, gdy zaczął mi opowiadać o urokach tamtejszego krajobrazu i pysznych potrawach rodem z Toskanii, o stuletnich willach, w których zamieszkiwał, o beztróskich wycieczkach po wzgórzach oraz o udanych polowaniach na bagnistych terenach bardziej na południe i bliżej Rzymu.

Sprawiało mi przyjemność słuchanie jego ciągnącej się opowieści; opuściła mnie wszelka nieśmiałość i czułam się tak, jakbyśmy znali się od lat, jakby nasza nierówna pozycja i znaczne różnice w doświadczeniu życiowym nie miały znaczenia.

— Bez wątplenia słyszałaś plotkę o tym, że przywiozłem ze sobą z Włoch truciciela — powiedział w którymś momencie i nagle padł na nas cień, zakańczając miłą pogawędkę. — Włosi słyną z trucicielskich umiejętności — dodał.

Zaczęłam go zapewniać, że nie słyszałam nic podobnego, że nie doszły mnie słuchy o trucicielu w jego domostwie, ale naraz urwałam. Oczywiście, że o tym słyszałam. I czułam silne pragnienie, by mówić mu tylko prawdę.

— Powiada się o tobie wiele strasznych rzeczy — przyznałam. — Ręczę ci jednak, że ja nie daję im wiary. Nie wierzę też, abyś miał coś wspólnego ze śmiercią swojej żony.

— Dziękuję.

Pamiętam, że wymieniliśmy wtedy takie spojrzenia, jakie jeszcze nigdy nie padły pomiędzy mną a jakimkolwiek chłopcem czy mężczyzną. Była to kwintesencja otwartości i zaufania, nieskażona flirtem ani wyrachowaniem — przynajmniej z mojej strony. Żadne z nas się nie odzywało. Trwaliśmy w zgodnym milczeniu.

W końcu przerwałam ciszę.

— Muszę już zabrać te zasłony — sięgnęłam po najbliższy stojący kosz.

— Tak, oczywiście, że musisz. Wszyscy musimy tańczyć tak, jak nam zagra królowa.

Jego sarkastyczny ton zdumiał mnie. Zdumiało mnie jeszcze bardziej, gdy położył jedną dużą, ciepłą dłoń na mojej, powstrzymując przed podniesieniem kosza. Nachylił się ku mnie i przemówił cicho.

— Pirto kłamała, mówiąc o tej akuszerce, wiesz... Nie było żadnego dziecka. Nie mogło być. Moja żona i ja nie legliśmy razem od bardzo dawna. Amy podejrzewała jałowość swego łona i nie znajdowała przyjemności w sypianiu ze mną. Była na mnie rozgniewana. Nie wpuszczała mnie do swojego łóżka. To łóżko, z tymi zasłonami, przywiozłem z Włoch.

Zrzuciwszy z serca takie brzemie wyznań, westchnął ciężko i uwolnił moją dłoń.

Zawahałam się. Ja też miałam coś do wyznania.

— Sir Robercie...

— Tak?

Milczałam, nie wiedząc, czy posłuchać intuicji czy raczej ugryźć się w język.

— O co chodzi, dziewczyno?

— Sir Robercie, chciałabym coś ci dać. Powinieneś to mieć. Pirto mi to podarowała, kiedy proces dobiegł końca, i przykazała nikomu nie pokazywać. Ona jest taka lojalna wobec swojej pani! Mimo to uważam, iż ta rzecz należy się tobie.

Wyjęłam z zanadru złożoną kartkę, którą Pirto minionego dnia ukradkiem wzięła z puzdra Amy Dudley, i podałam ją sir Robertowi.

— Nie czytałam tego — rzekłam. — Twoja żona pozostawiła to służącej, aby trafiło do twych rąk.

Sięgnął po papier, rozłożył go i odczytał napiętym z przejęcia głosem:

— „Do mojego małżonka, sir Roberta Dudleya. Nie zniosę dłużej cierpienia na tym padole. Postanowiłam się uwolnić. Żegnaj, słodki Robinie”.

Poderwał na mnie niewidzący wzrok i jak w gorączce wykrzyknął:

— Bogu niech będą dzięki!

Zeskoczył z łóżka i w pośpiechu jął nakładać zbroję.

— Trzymaj — powiedział, wręczając mi kartkę. — Zniszcz to. Stara Pirto postąpiła słusznie, dochowując tajemnicy. Każdy, kto by to przeczytał, pojąłby, że Amy była szalona. Tylko szaleńcy odbierają sobie życie.

— Szaleńcy i kobiety pogrążone w rozpacz.

— Nie, to nie to. Nie rozumiesz? Zanim pokazałaś mi ten list, byłem pewien, że to musiał być wypadek, ten upadek ze schodów, ale teraz widzę, że targnęła się na własne życie z premedytacją, nie dlatego, że nie mogła go dłużej znieść, tylko dlatego, że chciała, aby mnie oskarżono o jej śmierć! To była jej zemsta. Jej zemsta!...

— Ale czemu?...

— Była zazdrosna o królową. I o moją ambicję. Nade wszystko o moją ambicję. Uważała, że razem z Elżbietą planuję unieważnienie naszego małżeństwa. Mojego i Amy... Tak, muszę przyznać, że Elżbieta od czasu do czasu o tym wspominała. Że można by w to zaangażować sąd kościelny, udowodnić, że Amy była moją daleką kuzynką i że nasze małżeństwo nigdy nie było ważne w oczach Kościoła. Ale ja nigdy nie brałem tego poważnie. Elżbiecie bez przerwy coś się roi. No wiesz, wyobraża sobie różne rzeczy. Nic z tego nie ma naprawdę znaczenia.

— Widać dla Amy miało.

— Zresztą — ciągnął, nakładając ostatnią część zbroi i niezdarnie dopinając ją na sobie, co świadczyło, że zwykle robił to za niego giermek — chcę, by Amy miała chrześcijański pochówek. W przeciwnym razie ściągnęłyby wstyd na całą rodzinę.

Na ciebie, pomyślałam. Łatka samobójczynie ściągnęłyby wstyd na twoją głowę, pogrążyłyby twoją ambicję.

Wreszcie stanął przede mną, zakuty w lśniącą zbroję, przywrócony swojej funkcji dowódcy gwardzistów.

— Niech to pozostanie naszym sekretem, Letycjo. Ta szalona spowiedź, spisana ręką obłąkanej. Nie zdradzę się przed królową nawet słówkiem.

— Ja też nikomu nie powiem, skoro taka jest twoja wola. Z pewnością nie wygadam się przed panią Clinkerte, powiernicą wszelkich tajemnic.

— Tylko ty i ja, Letycjo — powtórzył. — Tylko my będziemy znali prawdę, na wieki wieków — zaintonował z udawaną powagą.

Jego nagła beztroska sprawiła, że zmarszczyłam brwi. Było nie było, staliśmy w komnacie sypialnej kobiety, która odebrała sobie życie — czy to z rozpaczy, czy to z chęci zemsty.

— Ja nie zapomnę jeszcze i tego, co powiedziała mi Pirto — dodałam. — Że Amy nie wyzionęła ducha od razu. Że po upadku cierpiała katusze długie godziny, nim w końcu umarła. Cokolwiek pchnęło ją do tego czynu, zapłaciła wysoką cenę.

— Zapłaciła za swój grzech śmiertelny — skwitował cicho sir Robert.

Podobnie jak ty, pomyślałam. Z tym że ty jeszcze długo będziesz zań płacił. Amy udało się wyrzec zemstę.

Sir Robert opuścił Cumnor Place, prowadząc swój tysiąc zbrojnych na południe, do Londynu, by bronić stolicy dla królowej. Na miejscu rozpoczęły się przygotowania do pogrzebu lady Dudley, któremu już nic nie stało na przeszkodzie, natomiast pani Clinkerte i ja wróciłyśmy do pałacu.

Nie zniszczyłam, jak kazał mi sir Robert, pożegnalnego listu Amy, lecz zabrałam go ze sobą na dwór królewski i dobrze schowałam. Wiedziałam, iż może udowodnić jego niewinność, w razie gdyby brzydkie oskarżenia przybrały na sile. I czułam, że chcę go chronić — jego i prawdę.

Wszakże tak jak obiecałam, nikomu nie powiedziałam o treści ukrytego listu ani w gruncie rzeczy o niczym, co wydarzyło się podczas mego krótkiego pobytu w Cumnor Place. Wiele jednak o tym wszystkim myślałam, między innymi o sir Robercie, o tym, jak wyglądał, płacząc obok łoża zmarłej żony, o jego opalonej skórze widocznej pod cienką koszulą i potężnych łydkach okrytych tylko atlasowymi pludrami. O jego ciemnoniebieskich oczach, w tamtej chwili pełnych cierpienia, a w następnej, gdy zakładał zbroję, przepełnionych determinacją, i niesłuchanie poważnych, kiedyśmy rozmawiali. O jego głosie — dźwięcznym i miłym dla ucha, i jakże ponętym, gdy mówił: „Tylko ty i ja, Letycjo. Tylko my będziemy znali prawdę, na wieki wieków”. Obracałam te słowa w głowie przez długi czas po naszym rozstaniu, aż całkiem straciły znaczenie i pozostało tylko ich głębokie, magiczne brzmienie.

ROZDZIAŁ XV

Z początku wszyscyśmy myśleli, że jest po prostu zmęczona, wycieńczona ciągłą jazdą w siodle i polowaniami, a także znużona niecichnącym zamieszaniem wokół śmierci Amy Dudley.

Rankami niechętnie podnosiła się ze swego wspaniałego łoża z cedru, niechętnie rozsuwała zasłony z pięknymi wyrazistymi haftowanymi scenkami z Ledą i Apollinem, i Adonisem. Skarżyła się na bóle głowy i słabym głosem wołała panią Clinkerte, by rozmasowała jej spięte plecy.

To było niepodobne do królowej, tak sobie pobłażać. Nawet podczas choroby, gdy stawała się bardziej cięta i wymagająca, zmuszała się do wstania rano i wykonywała swoje obowiązki, czytała i podpisywała dokumenty, spotykała się z lordem Cecilem i panami radą, trzymając nas wszystkich w strachu przed swoim niezadowoleniem.

Wszakże tym razem najwyraźniej poddała się chorobie, zapadła w letarg pod jej brzemieniem, aż trzeciego dnia zamartwiała się już całe królestwo i we wszystkich kościołach odprawiano msze w intencji Elżbiety.

Tamtego dnia pani Clinkerte, pochylona wpół, próbowała wmusić w królową trochę bulionu albo owsianki, gdy wtem krzyknęła z przerażeniem:

— Jej usta! Jej usta! Prędko! Wezwijcie lekarzy!

— Co się stało? — zapytałam, podchodząc do łoża.

— Krosty! Ma krosty! To ospa!

Odruchowo się cofnęłam. Każdy znał objawy napawającej grozą ospy: krosty, które pojawiały się najpierw na ustach, by wkrótce rozprzestrzenić się ohydną falą w dół po twarzy, szyi i ramionach. Widywałam już wcześniej takie znaki na ciele i dobrze zapamiętałam ostrzeżenia, by trzymać się z daleka, naprawdę z daleka, jeśli nie chciałam podzielić losu nieszczęsnej ofiary śmiertelnej plagi.

— Prędko! Wykąpcie ją! — zarządził lekarz, każąc sługom nanieść wrzątku do królewskiej wielkiej metalowej balii, a następnie nakłonił Elżbietę, by zanurzyła się cała w najgorętszej wodzie, jaką jest w stanie znieść, co oczywiście skończyło się tym, że zarzuciła nam wszystkim, iż chcemy ją ugotować żywcem.

Wykąpaną musiałyśmy wyprowadzić do pałacowych ogrodów, gdzie chłodny jesienny wiatr zrywał z gałęzi skrzące się w słońcu pomarańczowe i żółte liście. Wracając, kichała i pokasływała z twarzą zaczerwienioną i urywanym oddechem. Zamiast wyleczyć ją z ospy, lekarze przyprawili ją jeszcze o przeziębienie.

Lekarzy odesłano, a królową umieszczono z powrotem w łożu, gdzie doglądały jej pani Clinkerte i łagodna, mająca kojący wpływ na wszystkich Mary Sidney, ładniutka siostra sir Roberta, również jedna z zaufanych dworek.

— Jak ona się czuje? — dopytywał sir Robert po powrocie do pałacu.

Siedziałam właśnie w jednej z zewnętrznych komnat, starając się skupić na robótce, w czym jednak przeszkadzały mi troski. Moja siostra Cecylia żaliła się na złe samopoczucie, a kilka dworek i służących nosiło wyraźne ślady rozpoczynającej się ospy, podobnie jeden z lekarzy, doktor. Meadowcroft.

— Nie wstaje z łóżka — odpowiedziałam na jego pytanie. Nie uszło mojej uwagi, iż sir Robert nosi żałobę: czarny dublet i czarną pelerynę, czarne pludry i czarne trzewiki. Przecież został wdowcem, przypomniałam sobie, zaraz jednak spytałam samą siebie, czy przypadkiem nie szykuje się już do odbywania żałoby po królowej. — Majaczy — dodałam. Od pani Clinkerte w zaufaniu się dowiedziałam, iż Elżbieta przez większość czasu gorączkuje i przebywa we własnym świecie, na który w połowie składały się wspomnienia, w połowie zaś sny. Sir Robert potrząsnął głową.

— Czy doprawdy muszę być aż tak doświadczony — mówił sam do siebie — by w krótkim czasie stracić najpierw żonę, a następnie ukochaną królową? Kto będzie nosił koronę, kiedy jej zabraknie? Kto będzie pilnował ładu w królestwie?

— Sir Robercie! — Do komnaty wszedł mój ojciec, wykręcając sobie ręce, co ostatnio weszło mu w nawyk, z czołem pobrużdżonym głębokimi zmarszczkami. — Sir Robercie, królowa chce cię widzieć.

— Zapewne aby się pożegnać — zareagował sir Robert.

— Nie ma podstaw, by spodziewać się od razu najgorszego — upomniał go ojciec. — Królowa jest silna. Równie dobrze może przeżyć, ale musi być podtrzymywana na duchu, otoczona czułością. Nikt nie może się jej pokazywać w żałobnej czerni. To by ją przybiło.

— Zatem na razie do niej nie pójde — odparł natychmiast sir Robert. Wyczułam w jego tonie ulgę. Obawiał się ospy jak my wszyscy. — Moim zadaniem jest zapewnić porządek, na wypadek gdyby jednak się poddała chorobie.

— Wszyscy członkowie jej rady mają to samo zmartwienie. Już wyznaczylismy dodatkowe miejskie straże. Ta liczba powinna wystarczyć.

— Moje oddziały zgromadziły się przy moście Świętego Tomasza. Będę je trzymał pod bronią na wszelki wypadek.

— Masz je natychmiast rozbroić! W odległości dnia marszu od stolicy nie ma prawa przebywać żadna prywatna armia!

— Sprowadziłem swoje oddziały na wyraźny rozkaz królowej.

— Masz na to jakiś dowód na piśmie? — zapytał błyskawicznie mój ojciec.

— Doskonale wiesz, panie, że królowa nie zawraca sobie głowy spisywaniem swych rozkazów, szczególnie wtedy, gdy człowiek, któremu je wydaje, stoi tuż obok!

— Albo leży — mruknął pod nosem ojciec. Ignorując tę uwagę, sir Robert dodał:

— Pomimo wszystko postaram się spełnić twoją prośbę, panie. Wrócę za kilka godzin, kiedy już będę wyglądał odpowiednio, by stanąć przed obliczem naszej władczyni, i wtedy poproszę ją o rozkaz na piśmie. — To powiedziawszy, okręcił się na pięcie i wypadł na korytarz.

Wszelako nie powrócił, jak zapowiedział, ani nawet następnego dnia i jeszcze kolejnego. Tymczasem królowa zapadała się coraz głębiej w objęcia ospy, najwyraźniej tracąc resztki swojej słynnej silnej woli, gdyż zaprzestała jedzenia i odwracała głowę do ściany, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem. Jedyłą oznaką, że wciąż kołacze się w niej życie, jak donosiła zapłakana pani Clinkerte, była koścista dłoń ściskająca złoty krucyfiks. Elżbieta kciukiem gładziła twarz Chrystusa i chrapliwie szeptała słowa modlitwy.

Wszyscy omal nie oszaleli ze zgrzyoty, nawet mój ojciec, i w czarnej rozpaczycy czekali na najgorszą wiadomość z sypialni królowej.

Wówczas pojawił się sir Robert ubrany nie w żałobną czerń, lecz w dublet i pludry w zgaszonej zieleni. Przyjechał, jak się okazało, ponieważ doszły go wieści, iż jego siostra Mary ma zostać usunięta z dworu, gdyż podobnie jak wiele innych dworek doglądających królowej w chorobie zaraziła się ospą. Młody doktor Meadowcroft oddał ducha Bogu, tak samo błazen Elżbiety, Graziella, i młodziutka żona lorda Hazeltona, którą ów poślubił zaledwie przed tygodniem. Cecylia, której stan był znacznie lepszy niż Mary Sidney, została wysłana do domu rodzinnego w Rotherfield Greys, by tam wydobrzała, a sir Robert miał nadzieję, że i jego siostra odesłana na wieś wyrwie się z objęć kostuchy.

Pożegnawszy spoczywającą na wozie siostrę, wrócił do pałacu, prowadząc ze sobą duchownego.

— To jest ksiądz Lockton — powiedział do mnie. — Przywiodłem go, aby udzielił królowej namaszczenia świętym olejem w celu przyśpieszenia jej wyzdrowienia. Proszę, wprowadź nas do jej komnaty.

— Ale lekarze zabronili nam tam wchodzić...

— Chciała mnie widzieć, czyż nie? — warknął sir Robert.

— To było kilka dni temu, wasza miłość. Od tego czasu jej stan znacznie się pogorszył...

— Tym bardziej powinienem przy niej być, podobnie jak ten duchowny, by nieść jej pociechę.

Potrząsnęłam głową.

— Nie wolno mi wchodzić do jej komnaty bez pozwolenia.

Sir Robert pochylił się i wyszeptał mi prosto do ucha:

— Letycjo! Jesteśmy przyjaciółmi, mamy wspólne tajemnice! Bądź mi sprzymierzeńcem w tej sprawie! Poza tym to zaledwie kwestia czasu, zanim to mnie przysługiwać będzie prawo do wydawania zakazów i pozwoleń w tym pałacu!

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć.

— Powiedziano mi, że jej królewska mość życzy sobie otrzymać namaszczenie chorych — wtrącił ksiądz Lockton zadziwiająco wysokim głosem. — Jestem gotów sprowadzić na nią tę ulgę. — Uśmiechnął się słabo. — Proszę, zaprowadź mnie do swojej królowej.

Zamiast zrobić, o co prosił, wyszłam na korytarz, w nadziei że zobaczę tam któregoś z królewskich doradców bądź lekarzy. Ale dostrzegłam tylko trzech pacholków grających w kości pod ścianą i zausznika jednego z wielkich panów przysypiającego w kącie. Słyszałam głosy dobiegające z innych części pałacu, ale nie widziałam nikogo więcej. Odkąd królowa zapadła na zdrowiu, coraz mniej osób przebywało w pobliżu jej komnat.

— Letycjo! — zakrzyknął niecierpliwie sir Robert. — Gdzie się podziewasz? Jesteś mi potrzebna.

Do czego byłam mu potrzebna, nie miałam w tamtej chwili pojęcia, wszelako wkrótce stało się to jasne. Martwiąc się, że postępuję niewłaściwie, nagabywana przez sir Roberta w końcu uległam, nie umiając mu odmówić, mimo iż źle się z tym czułam. Kiwnęłam głową na zgodę i poprowadziłam obu mężczyzn do prywatnych apartamentów Elżbiety.

W sypialni panował zaduch, który moja bezpośrednia siostra z pewnością nazwałaby odorem śmierci. Wycieńczona chorobą, chuda i blada kobieta leżąca bez ruchu w ogromnym łożu z rzeźbionego cedru nawet nie zauważyła naszego wejścia. Wszakże gdy usłyszała, jak sir Robert zwraca się do niej: „Wasza królewska mość”, zamrugła zmęczonymi oczami i obróciła głowę. Ujrzawszy go przed sobą, wygięła wargi w słabym uśmiechu i powoli wyciągnęła ku niemu rękę.

Pochwycił ją i pochylając się nad łóżkiem, przycisnął do ust.

— Przyprowadziłem księdza Locktona, żeby udzielił ci błogosławieństwa — rzekł.

W jej oczach pojawił się strach.

— Zatem to koniec? — spytała cicho.

— Nie, najdroższa. To tylko tak na wszelki wypadek.

Nie było potrzeby dodawać, że na wypadek, gdyby umarła.

Duchowny zaczął udzielać błogosławieństwa piskliwym głosem i królowa ponownie się uśmiechnęła, tym razem rozbawiona, i przechwyciła spojrzenie sir Roberta.

— A teraz — oznajmił sir Robert, gdy modlitwa dobiegła końca — zostało nam jeszcze coś do zrobienia. Też na wszelki wypadek. — Odwrócił się do mnie. — Letycjo, sprowadź panią Clinkerte. Musi być gdzieś w pobliżu. Nikogo innego, tylko ją.

Udałam się na poszukiwania pani Clinkerte i odnalazłam ją, owiniętą w pelerynę, jak przysypiała na stercie poduszek w zewnętrznej komnacie. Potrząsnęłam nią i oznajmiłam, że jest potrzebna.

Przestraszona i rozczochrana podążyła za mną do sypialni.

— Wasza królewska mość — odezwał się sir Robert, gdyśmy stanęły obok łoża — w obecności tych dwóch świadków, Letycji Knollys i pani Clinkerte, ksiądz Lockton połączy nas węzłem małżeńskim, abys mogła pozostawić Anglię w dobrych i mocnych rękach, w razie gdyby Pan Bóg jednak powołał cię do swego królestwa.

ROZDZIAŁ XVI

— Nie!

Zachrypnięty, stłumiony głos królowej był bardzo niewyraźny, ale jedyne słowo, które wypowiedziała, nie dało się pomylić z żadnym innym.

— Nie! Tylko nie to!

Zbierając resztki sił, uniosła się do pozycji siedzącej — przy pomocy pani Clinkerte, podczas gdy ja układałam jej poduszkę pod plecami.

— Nic z tego! — dodała chrapliwie.

Sir Robert gestem oddalił księdza i przysiadł na łożu. Ponownie sięgnął po jej dłoń, którą wyrwała z jego uścisku, słysząc, iż ksiądz Lockton ma udzielić im ślubu. Teraz także ją cofnęła.

— Jesteś chora, najdroższa. Nie myślisz jasno. Pozwól mi podejmować decyzje.

— Po moim trupie! — wymamrotała. — Na razie wciąż żyję i nadal tu rządę. Zwołać moją radę!

— Ależ moje dziecko — załkała pani Clinkerte. — Nie powinnaś umierać starą panną...

— Milcz, uprzykrzona kobieto! Nie zapominaj, kim jestem i kim przy mnie jesteś ty!

Głos wydobywający się z gardła Elżbiety był tak cichy, że musiałam wyteżać słuch, by zrozumieć, co mówi, wszakże jej intonacja nie pozostawiała wątpliwości. Trzęsła się jednak przy tym na całym ciele, a zapach rozkładu z każdą chwilą zdawał się silniejszy. Podziwiałam jej siłę — tę siłę, której ojciec był tak pewien — lecz nawet wtedy zastanawiałam się, czy wysiłek włożony w odmowę sir Robertowi nie nadweręży zbytnio wycieńczonego ciała.

Obserwowałam ją. Głowa już jej opadła, ale wciąż czepiała się pomocnego ramienia pani Clinkerte. Czy zaraz nastąpi koniec?

— Letycjo! Sprowadź swego ojca — usłyszałam jej rozkaz. — Sprowadź tu całą moją radę.

— Zaczekaj, Letycjo — powstrzymał mnie sir Robert. — Zaczekaj, aż ksiądz Lockton udzieli nam ślubu.

Zawahałam się i w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy, stłamszony chorobą krzyk królowej.

— Choć śmierć ma mnie już niemal we władaniu, nie dam się zmusić do małżeństwa! Rób, jak ci każę, dziewczyno!

Bez namysłu dopadłam drzwi, przez zewnętrzną komnatę wybiegłam na korytarz, wołając ojca i lorda Cecila. Zaalarmowani słudzy wyrwali się z letargu i na własną rękę jeli poszukiwać dwu osób, które normalnie nie odstępowały królowej na krok.

— Nie żyje? — wołali do mnie z daleka.

— Nie! — krzyczałam w odpowiedzi. — Wzywa panów radę!

Wreszcie znalazłam ojca, siedzącego z dwoma dowódcami miejskiej straży przy długim stole, na którym leżały chleb i ser i była rozłożona mapa.

— Szybko, ojcze! Sir Robert próbuje przymusić królową do małżeństwa! Królowa woła ciebie i pozostałych doradców!

— Na brodę Najwyższego! — zaklął, wstając od stołu tak gwałtownie, że przewrócił dzban, i pośpiesznie wybiegł na korytarz.

Gdyśmy zjawili się w sypialni królowej, okazało się, że paru innych doradców już jest na miejscu i że sekretarz, siedząc w kącie komnaty, pisze coś wściekle, co dało się poznać po ciągłym skrzypieniu pióra.

Królowa, przerażająco wychudzona i wymizerowana, okryła ramiona pasem czerwonej materii. Sir Robert już nie siedział na łożu, tylko stał obok pod ścianą, wyglądając moim zdaniem na lekko podłamanego.

— Nie przekręć niczego — powiedziała do sekretarza, który obrócił głowę w jej stronę i przymknął oczy, aby niczego nie uronić, zanim po raz ostatni zamoczył pióro w atramencie i podjął pisanie.

— Ja, Elżbieta, królowa Anglii, ogłaszam, iż w razie mojej śmierci sir Robert Dudley... — urwała, aby nie poganiać sekretarza — iż w razie mojej śmierci sir Robert Dudley zostanie lordem protektorem królestwa i będzie mu przysługiwać pełnia władzy w moim imieniu.

— Ależ wasza królewska mość! — wykrzyknął mój ojciec.

— Zalecałbym rozagę — dodał w tej samej chwili lord Cecil.

— Milczeć! — zachrypiała królowa. — Jeszcze nie skończyłam. Jako lord protektor — dyktowała dalej — będzie otrzymywał wynagrodzenie w wysokości dwudziestu tysięcy funtów rocznie z królewskiego skarbcza.

W tym momencie sir Robert, dotąd podpierający ścianę z otwartymi ustami, uklęknął obok łoża i ujął królową za rękę.

— Dobra pani! — zdołał wykrztusić przez łzy. — Moja dobra, droga pani!... Dziękuję...

— Nie ma za co, Robinie — odszepnęła. — Jeszcze mogę cię przeżyć.

— Nie wydaje mi się, żeby królewski skarbiec zawierał dość złota, by sprostać temu zapisowi — oświadczył sucho lord Cecil.

— Zatem niech twoim zadaniem będzie go napęlić!

Sekretarz postawił ostatnią kropkę i osuszył dokument piaskiem. Zgrzytając zębami z wysiłku, królowa złapała podane jej pióro i podpisała się u dołu kartki, po czym wręczyła ją lordowi Cecilowi.

— Proszę! Wszyscy zadowoleni. A mnie tylko rozboleły plecy. Teraz dajcie mi się wyspać!

Machnięciem ręki wygoniła wszystkich z komnaty, nie licząc pani Clinkerte i mnie, któreśmy pomogły jej ułożyć się na boku, a następnie pracownicy rozmasowały jej bolące plecy.

ROZDZIAŁ XVII

Krosty na twarzy, szyi i ramionach królowej zamieniły się we wrzody, te zaś wkrótce pokryły się ohydnyymi czerwonymi strupami.

Ale Elżbieta nie umarła. Noce spędzała przy kominku, opatulona wieloma warstwami miękkiej czerwonej materii, podczas gdy doktor Burcot przynosił jej wywary do picia i znosił jej pogróżki oraz przekleństwa.

Byłam z nią niemal na okrągło. Wiele dam dworu opuściło pałac, tłumacząc się chorobą — prawdziwą bądź wymyśloną — wszakże mój ojciec nalegał, abym pozostała przy królowej i usługiwała jej w sypialni, mimo iż wiedział — wszyscyśmy wiedzieli — jak wielkie jest ryzyko zakażenia, a nawet śmierci, czego dowodem byli dworzanie i dworki, nie wyłączając Cecylii.

Otuchą napawał mnie przykład pani Clinkerte, której cera pozostała bez skazy czy choćby jednej czerwonej plamki mimo ciągłego przebywania w bezpośredniej bliskości królowej. Również sir Robert, mój ojciec i inni doradcy zdawali się zdrowi.

Dzień po dniu królowa odzyskiwała apetyt i z czasem zaczęła wołać o pigwy i zapiekanki z dziczyzną.

— Ale wasza królewska mość! Choremu na ospę nie wolno jeść takich przysmaków! — protestował doktor Burcot, na co królowa odparła:

— Wynocha! Nie mam zamiaru tego słuchać!

Wtenczas we wszystkich wstąpiła nadzieja, iż królowa jednak wydobrzeje i całkiem wróci do zdrowia. I rzeczywiście, zjadała się ulubionymi potrawami i nawet zaczęła — nieco niepewnie z początku — spacerować po komnacie. Jej głos nabrał mocy, podobnie jak kończyny, aż wreszcie znowuż była wystarczająco uparta, pełna energii i siły, by lżyć nas swoim dawnym zwyczajem.

— Nie cierpię brzydkich kobiet! — wykrzyknęła któregoś popołudnia, gdyśmy pomagały jej się ubrać.

Następnie zawołała o dzban cienkiego piwa i osuszyła go do dna z wyraźną przyjemnością. Popijając, przyglądała się uważnie naszym twarzom. Zatrzymała się przy wyjątkowo zniełubionej Cecylii, której oblicze wciąż nosiło ślady ospy, a włosy, obcięte, aby Francuz mógł zrobić perukę dla królowej, jeszcze niezupełnie odrosły. Moja siostra zawsze nosiła francuski, okrągły czepek, ale że uszy miała duże i odstające, a krótkie włosy nie były w stanie ich zakryć, nie pomagało nawet najbardziej przylegające nakrycie, spod którego odcinała się ta najmniej korzystna z cech.

— Czemu ma takie odstające uszy? — dopytywała królowa.

Nikt nie potrafił zaspokoić jej ciekawości.

— Nic na to nie poradzę, wasza królewska mość — odpowiadała Cecylia. — Nie wszystkie możemy być tak urodziwe jak ty.

Sarkazm w jej głosie nie umknął uwadze królowej, której cerę także zdobiły dzioby i blizny (aczkolwiek coraz mniej widoczne) i która nadto dobrze zdawała sobie sprawę, że jej uroda na tym cierpi. Elżbieta sięgnęła po prawie pusty dzban i cisnęła nim w Cecylię. Naczynie rozprysło się w drobny mak.

— Nie chcę cię widzieć na swoim dworze! — krzyknęła chrapliwie królowa.

Cecylia, co było do przewidzenia, rozplakała się i niezgrabnie wybiegła z komnaty. Pomimo wysiłków ojca, aby ułagodzić rozgniewaną królową, jej decyzja pozostała niezmienną: Cecylia musiała odejść. Raz jeszcze udała się do rodzinnego Rotherfield Greys, gdzie jeśli wierzyć słowom mamy, dąsała się, wzdychała i popłakiwała, obwiniając królową o niesprawiedliwość i użalając się, że jej życie jest skończone.

Jak wspomniałam, wszystkie dworki paliły się do małżeństwa — z najbogatszymi, najlepiej urodzonymi wielmożami, o jakich mogły się wystarać ich rodziny. Przypuszczam, że nie byłam wyjątkiem, z tym że jak zauważył słusznie sir Robert, niespecjalnie uśmiechało mi się pójście za mąż za Waltera Devereux, mężczyznę narajonego mi przez ojca.

— Któregoś dnia będzie nosił jakiś tytuł — prorokował mój młodszy brat Frank wkrótce po tym, jak królowa doszła do zdrowia i życie na dworze wróciło do normy.

Frank, który wyrósł na patykowatego, wesołego młodzieńca, bystrego i wygadanego, zdolnego do chłodnej oceny ludzi i sytuacji, był świadkiem, jak Walter skwapliwie pomaga naszemu ojcu układać zestawienie produktów żywnościowych koniecznych podczas letniego objazdu królestwa i wizyt u licznych wielmożów.

Każdego czerwca bowiem, kiedy robiło się ciepło, pakowaliśmy rzeczy królowej (niemal sto skrzyń zajmowały same jej suknie) i nasze własne i formując długaśny orszak, ruszaliśmy w ślimaczym tempie w drogę, zatrzymując się w kolejnych wiejskich posiadłościach. Była to istna udręka. Ciągłe pakowanie i rozpakowywanie. Rozpalanie na kominkach w wyziębłych komnatach, opędzanie się od pcheł urzędujących w nie zmienianych od miesięcy trocinach, czekanie na poboczu, kiedy zepsuł się wóz, padł koń albo jakaś służąca zaczęła niespodziewanie rodzić.

Przerażało mnie nadejście lata z powodu natłoku pracy i całego tego zamieszania, lecz Walter wypatrywał go z niecierpliwością. Czynione wraz z ojcem przygotowania do letniego objazdu sprawiały mu niemal taką przyjemność jak polowania. Lubiałam o nim myśleć jako o urodzonym „sporządzaczu zestawień”.

— Ktoś musi je sporządzać, Letycjo — odpowiadała praktycznie mama, ilekroć usłyszała, jak nazywam tak swego przyszłego męża. — Wyobraź sobie tylko letni objazd bez przygotowań! To by dopiero był chaos!

Moim zdaniem chaos towarzyszył nam za każdym razem, gdy udawaliśmy się na objazd królestwa, lecz powstrzymałam się przed poczynieniem tej uwagi na głos. Nie chciałam rozmawiać z mamą o Walterze, zdecydowanie wolałam prowadzić dyskusje na jego temat z Frankiem.

— Nikt nie potrafi lepiej jeździć na narowistym wierzchowcu ani podchodzić zwierzyny z łukiem. — Frank zachwycił się umiejętnościami łowieckimi Waltera. — Raz widziałem, jak wraca z polowania z półtuzinem królików, krzyżówką i tanią. Wszystkie ustrzelił w jedno popołudnie. No i jest jeszcze Chartley... — urwał, posyłając mi wymowne spojrzenie.

— A, Chartley...

Zamek rodu Devereux stał ponoć od trzystu lat i miał mury grube na dwanaście stóp, a wielką salę rozmiarem nie ustępującą sali tronowej. Składała się nań co najmniej setka komnat, z czego większość była ciasna i zagracona, i wietrzna, gdyż przeciągi hulały z powodu szczelin w starych ścianach. To znaczy tak wynikało z opowieści Waltera o jego dzieciństwie. Wszakże był jeszcze park łowiecki, piękny i pełen zwierzyny, a sam zamek robił wrażenie wielkością i niezaprzeczalnymi walorami obronnymi.

— Chartley to solidna kupa kamienia — dopowiadał Frank. — Prawie jak Walter. Nie zapominaj, że w przyszłości nie będzie to jego jedyna posiadłość, kiedy już przejmie majątek wraz ze skrzyniami złota i srebra i tytułami, urzędami i synekurami uzyskanymi od królowej, która wyraźnie go lubi. Jak nic uczyni go kawalerem Orderu Podwiązki. Chyba przyznasz, że Walter ma niezłą prezencję?

Musiałam przyznać, że Walter — z potężną klatką piersiową, szerokimi barkami i męską tężyzną, ciemnymi włosami i oczami, grubymi udami pewnie utrzymującymi go w siodle i wigorem łowczego — był typem mężczyzny, z jakim chętnie związałaby się każda młoda dziewczyna. Wszelako ja, patrząc na niego, widziałam, że włosy już mu rzedną jak u ojca, który nawiasem mówiąc, wcale nie należał do przystojnych, i że nos ma zbyt długi, aby jego twarz można było nazwać urodziwą, oczy zaś — małe i osadzone zbyt blisko siebie — w niczym nie przypominają ogromnych i wyrazistych oczu sir Roberta.

— Prowadzi się nienagannie — kontynuował sucho Frank, nie porzucając tematu Waltera Devereux. — Będzie z niego świetny sędzia pokoju. W dodatku nie słyszałem, żeby spędził bękartów...

Ziewnęłam, rozśmieszając Franka.

— Ale jest najnudniejszym człowiekiem na świecie! — Mój okrzyk musiał ponieść się echem aż do komnat królowej.

— Nie mogę się z tym nie zgodzić — przyznał Frank. — Mama też uważa go za nudziarza, choć nigdy nie powiedziałaaby tego głośno. Letycjo, ty urodziłaś się do zabawy. Walter Devereux to nie mężczyzna dla ciebie. — Zamilkł i w zadumie potrząsnął głową. — Ojciec nie ma innego kandydata?

— Najwyraźniej nie — odparłam z niechęcią. — Cecylia rozpuściła plotki o moim niemoralnym prowadzeniu się we Frankfurcie, a dworki przekazały je dalej swoim krewnym i znajomym. Połowa służących w pałacu słyszała o mnie niestworzone rzeczy, a druga połowa niebawem usłyszy. Mam zrujnowaną reputację. Kto zechce się teraz ze mną ożenić? Cecylia wini mnie za to, że odesłano ją z dworu królewskiego. Jest pełna złości. Jak zwykle bierze na mnie odwet, a ojciec jak zwykle nie robi nic, by ją ukarać czy choćby uciszyć. W pałacu krążą słuchy, że jestem najśmielszą z wszystkich panien, co raczej nie równa się dziewiczej cności... — Popatrzyłam na Franka przez łzy wywołane poczuciem, iż spotkała mnie niesprawiedliwość. — Gdybyż był sąd, przed którym można by oskarżyć i skazać oszczerczą plotkę!

— Nie martw się — pocieszył mnie Frank. — Bez dwóch zdań jesteś najurodziwszą i najśmielszą panną na dworze królewskim. Nieraz widziałem, jak mężczyźni zachwycają się tobą,

zarówno ci żonaci, jak i kawalerowie. Sam bym się z tobą ożenił, gdybym nie był twoim bratem... no i gdybym nie wybierał się na morze.

Najnowsza wieść o rychłym wyjeździe Franka na poły mnie zaskoczyła, na poły uradowała. Dopiął swego i spełnił swoje marzenie — lada dzień miał zamustrować się na statek. Starszawy właściciel niewielkiego statku przewożącego towary wzdłuż wybrzeża zgodził się go przyjąć na praktykę, pod warunkiem iż Frank będzie ciężko pracował i pilnie się uczył żeglarstwa.

— Staruszek powiada, że jeśli wykażę się smykałką w tym rzemiośle, któregoś dnia zajmę jego miejsce — pochwalił się mój brat, aż promieniejąc z dumy. — Coraz bardziej posuwa się w latach, a że nie ma syna, musi kogoś wyznaczyć na swego dziedzica. Ojcu to się oczywiście nie podoba, no ale ja nie jestem tobą. Nie zamierzam pozwolić, by pokierował moim życiem.

Ostatnie słowa mnie zabolęły i chociaż Frank to dostrzegł i próbował zatuszować złe wrażenie, czułam się urażona nawet wtedy, gdy już sobie poszedł, a ja w samotności rozważałam prawdę kryjącą się w jego stwierdzeniu.

Nie mylił się oczywiście. Zamierzałam postępować tak, jak chciał ojciec. Wszystkie córki tak robiły, czemu więc ja miałabym okazać się inna? Z drugiej strony... Dlaczego nie miałabym pójść własną drogą? Co mnie powstrzymywało przed wyznaniem ojcu, że nie pragnę poślubić Waltera? Że wolę poczekać na lepszą partię?

W rzeczywistości bowiem, odkąd poznałam sir Roberta, byłam pewna, iż nie zadowoli mnie nikt oprócz niego.

Kiedy byłam ze sobą szczerą, przyznawałam, iż podziwiam go, jak większość kobiet na dworze królewskim. Sir Robert prezentował się olśniewająco, przystrojony w bogate atlasowe dublety z rozcięciami na rękawach, przez które wyzierało złoto, w twarzowe berety z niebieskim piórkiem (jak nakazywała moda tego roku, w którym królowa omal nie przeniosła się na tamten świat, a my wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy stało się jasne, iż jednak będzie żyła) i kryzowe kołnierze wysadzone brylantami (Walter nigdy nie miał szans nosić czegoś podobnego), a także ozdobione szlachetnymi kamieniami pasy i trzewiki ze sprzączkami — co dzień w inny, oszałamiający kostium. Sir Robert był obiektem westchnień wszystkich dam dworu.

Należał jednak do królowej. To było jasne jak słońce. Był poza naszym zasięgiem. Żadna doń nie podchodziła ani z nim nie flirtowała, nie licząc najbezczelniejszych i najmniej ostrożnych dziewcząt i kobiet, które królowa w okamgnieniu oddalała z surowym ostrzeżeniem i zakazem zbliżania się do pałacu.

Naturalnie każdy dostrzegał wady sir Roberta. Był chwalipiętą. Był egoistą. Próżność kazała mu się przeglądać w królewskich zwierciadłach i podziwiać bogactwo stroju. Poza tym nie ucichły

wciąż szepty o tym, jak umarła lady Dudley, i podejrzenia, iż to on ją zamordował. (Takie plotki nieprędko cichną).

Pomimo wszystko jednak dał się lubić. W przeciwieństwie do Waltera! Walter był jednym z tych mężczyzn, których chce się zamknąć na klucz w najdalszej komnacie, aby swobodnie tańczyć, śmiać się i dobrze bawić. Za którymi się nie płacze, gdy zostają wysłani do obcego kraju albo przeniesieni na Orkady lub też — Boże przebaczyć, ale naprawdę przemknęło mi to przez myśl — giną na morzu.

Z chmur na ziemię ściągnął mnie ojciec, który przyszedł do mnie jakieś pół roku po wyzdrowieniu królowej i oznajmił, iż wyznaczył dzień mojego ślubu z Walterem. Wedle jego słów wesele miało się odbyć za miesiąc. Królowa łaskawie zgodziła się uświetnić uroczystość zaślubin swoją obecnością.

— A najlepsza wiadomość jest taka, że kuzyn Waltera, Roger Wilbraham, przystał na to, by jego ślub z Cecylią odbył się tego samego dnia. Wyobraź sobie tylko, Letycjo! Ty ze swoją reputacją i Cecylia ze swoją dziobatą po ospie twarzą, obie będziecie miały mężów! Dzięki niech będą Opatrzności, że moje córki nareszcie pójdą za mąż!

ROZDZIAŁ XVIII

Ślub odbył się w pałacu, w prywatnej kaplicy królowej, wczesnym rankiem — w istocie tak wcześnie, że pierwsze ptaki dopiero zaczynały śpiewać. Miałam dwadzieścia trzy lata, a Walter był nieco ode mnie młodszy — aczkolwiek nie lubił, by mu o tym przypominać.

Ceremonia była krótka, ponieważ królowa (niecierpliwa z natury) szczególnie nie lubiła ślubów, które zapewne zwracały jej uwagę na fakt, iż sama wciąż jest starą panną, a poza tym jak co dzień śpieszyła się na poranną przejażdżkę. Pani Clinkerte pomogła mi wbić się w precudną suknię, jaką mama uparła się mi sprawić, całą z jedwabiu i niesłychanie okazałą, jak nakazywała najnowsza moda, z rękawami obrębionymi srebrną nicią i haftowanymi w pączki róż. Kryza była z koronki, usztywnionej drutem, aby stała jak trzeba wokół mojej twarzy. Spódnice miałam z przedniego lnu rodem z Brugii. Jak dotąd nie nosiłam podobnych wspaniałości, kiedy więc mama zobaczyła mnie wystrojoną o świcie w dniu mojego ślubu, załkała ze wzruszenia — choć i z powodu tego piwa, które wypila minionego wieczora — powiedziała mi, że w życiu nie wyglądałam ładniej i że ma nadzieję, iż będę dla Waltera dobrą żoną.

Cecylia także dostała kosztowną suknię ślubną, która jednak nie zdołała ukryć jej pulchnych kształtów, tak że porównywano nas na każdym kroku. Jej narzeczonego, przysadzistego, a przy tym

choleryczny Roger Wilbraham, mężczyzna czterdziestopięcioletni i trzykrotny wdowiec, nie zwracał na moją siostrę większej uwagi; od Waltera wiedziałam, iż ceną za zgodę na ten ślub był urząd poborcy podatków w Salisbury oraz dodatkowa synekura zastępcy nadzorcy floty królewskiej — korzyści z obu tych ciepłych posadek miały mu przynosić co najmniej pięćdziesiąt funtów rocznie. Mój ojciec z radością dopomógł Rogerowi Wilbrahamowi w uzyskaniu tych stanowisk, czyniąc zeń stosunkowo zamożnego człowieka i zapewniając Cecylii wszelakie wygody — z wyjątkiem może świadomości, iż mąż poślubił ją dla niej samej, a nie dla pieniędzy.

Po tym jak ceremonia dobiegła końca i królowa pośpiesznie udała się na poranną przejażdżkę, zasiedliśmy do weselnego śniadania, na które składały się nadziewane kuropatwy, pasztety z dziczyzny, winne grona i gruszki z położonych na prowincji ciepłarni, a wszystko to splekiwane przednią małmazją i muszkatem. Walter poinformował nas, że dziczyzna pochodzi z łani, którą własnoręcznie ustrzelił z łuku, po czym wdał się w drobiazgową i przydługą relację z polowania, zakończoną opisem śmierci zwierzęcia — co spowodowało, iż większość biesiadników zmarkotniała.

— Ściągnąłem z Irlandii świetnych łowczych — wtrącił sir Robert z przytomnością umysłu, chcąc ożywić rozmowę.

— Może chciałbyś ich wypróbować, Walterze. Oczywiście królowa ma pierwszeństwo, wszakże ci, których odrzuci, mogą ci się przydać. — Umilkł na chwilę, po czym dodał:

— Jej królewska mość nie oszczędza swych wierzchowców ani doradców, skoro już o tym mowa.

Wszyscy roześmieli się grzecznie z dowcipu, choć widziałam, że ojca nie bawi żartobliwa uwaga sir Roberta.

— Zaledwie przed tym tygodniem tak zgoniła swego ulubieńca, Łagodnego Kasztanka, że trzeba mu było na nowo podkuwać przednie kopyta.

— Sprawileś sobie nowego ogiera, nieprawdaż? — zapytał go Walter. — Prosto z Turynu?

— Wielkiego Sabaudczyka, zgadza się. Wiążę z nim pewne nadzieje...

Brat sir Roberta, Ambroży, wznosił kielich w toaście.

— Za wszystkich ogierów i mężów w ten świąteczny dzień!

Spełniliśmy toast, ale atmosfera przy stole pozostała zwarzona — jak przypuszczałam, po części z powodu wczesnej pory i tego, że wszyscy byliśmy nieco zaspani, ale nie tylko. Nadto wyraźnie rzucało się w oczy, że Walter gędzi o swej ulubionej rozrywce — łowiectwie — zamiast podziwiać i chwalić mnie, natomiast mój nowy szwagier Roger z kamiennym zaczerwienionym obliczem pochłania ogromne porcje jedzenia i nie zwraca uwagi na nikogo z zebranych. Zanim

wniesiono trzecie danie główne, Roger zerwał się od stołu i kłaniając zdawkowo, powiedział coś o czekających nań nowych obowiązkach. Wychodząc, nawet nie pocałował mojej siostry w policzek.

Wargi Cecylii zdrząły. Obawiałam się, że zaraz wybuchnie płaczem. Zamiast tego jednak uśmiechnęła się dzielnie, kiedy sir Robert, dając znak muzykantom, by zagrali żywszą melodię, wyciągnął do niej rękę i poprowadził ją do tańca. Atmosfera momentalnie zelżała. Walter i ja dołączyliśmy do tańczących, za nami zaś ruszyli w tany rodzice i nawet pani Clinkerte, której partnerem był dziarski, acz wiekowy koniuszy Whaffer, który jak powiadano, służył jeszcze na dworze króla Henryka VIII, będąc małym chłopcem.

Wirowaliśmy więc najpierw w rytm skocznej melodii, później zaś odbyła się maskarada, podczas której sir Robert z bratem wystąpili przebrani za rycerzy poszukujących Wysp Szczęśliwych. Były to głupstwa, wszelako właśnie głupstw najbardziej wtedy potrzebowaliśmy. Śmieliśmy się i bili brawo, a ja czułam wielką wdzięczność dla sir Roberta, któremu udało się zamienić ponure weselne śniadanie w prawdziwie wesołą uroczystość.

Gdy ranek dobiegł końca, wszyscyśmy powrócili do naszych obowiązków: ja i Cecylia pośród dam dworu królowej, Walter natomiast pośród swych dokumentów i zestawień. A jednak byłam świadoma, iż z każdą uciekającą godziną coraz bardziej zbliża się moja noc poślubna. Miałam po raz pierwszy znaleźć się w łóżku z Walterem. Mieliśmy stać się jednym ciałem. Mieliśmy dzielić to, co mój ojciec nazywał grzeszną cielesnością. Zastanawiałam się, jakaż też będzie ta grzeszna cielesność?

Gdy wreszcie nadszedł wieczór i pani Clinkerte pomagała mi przebrać się w czarną satynową suknię, żołądek podjeżdżał mi do gardła, a serce waliło jak szalone. Dręczyło mnie pytanie, czy sprawię przyjemność Walterowi. (Przez całe swoje życie słyszałam, iż dziewczęta i kobiety mają sprawiać przyjemność mężczyznom; nikt nigdy się nie zająknął na temat tego, że mężczyzna powinien sprawiać przyjemność dziewczynie czy kobiecie, którą poślubił). Przyjrzałam się sobie w największym zwierciadle. Pomimo półmroku panującego w komnacie sypialnej dostrzegłam, iż czarna nocna suknia opina moje kształty kusząco, podkreślając wydatne piersi i cienkość talii, rozłożystość bioder i smukłość ud, których nie widział żaden mężczyzna, nawet mój ojciec. Skóra połyskiwała złotymi odblaskami, kręcone kasztanowe włosy, wyczesane starannie przez panią Clinkerte, lśniły całkiem jak satyna stroju, wyraziście niebieskie oczy z długimi, wyginającymi się ku górze rzęsami błyszcząły, a usta zachęcały — byłam przekonana, iż stanowią wcielenie ponętności.

Tak, powiedziałam sobie. Sprawię przyjemność Walterowi.

I w tej samej chwili niechciane pragnienie opanowało moje myśli. Otóż całym sercem pragnęłam, aby ta moja ponętność została złożona w ofierze nie Walterowi, lecz sir Robertowi.

Oczyrna wyobraźni ujrzałam, iż odziana tylko w nocny strój wypadam z komnaty sypialnej i biegnę do apartamentów sir Roberta, gdzie oddaję mu się, błagając, by odebrał mi dziewictwo.

Cóż za dziwaczna myśl! Występna myśl, jak zapewne określiłby ją mój ojciec, gdyby miał o niej pojęcie. Myśl podsunięta mi przez szatana.

Zarumieniłam się i z całych sił postarałam przegnać ją z głowy. Wszakże kiedy już leżałam i wprowadzono Waltera w samej koszuli, na widok jego szerokich barów, grubego karku i silnych ud zapowiadających potężną męską moc, na widok jego małych oczu pałających pożądaniem i upodabiających mego małżonka do ogara wietrzącego zdobycz, poczułam, jak odchodzi mnie odwaga. Mimo to uśmiechnęłam się i poddałam dotykowi męzowskiej dłoni (tylko odrobinę z niechęcią), usiłując nie spać się w sobie na czekający mnie gwałt, gwałt, który jak wiedziałam, miał zaraz nadejść i którego nie mogłam uniknąć. Wszelako w środku, tam gdzie skrywały się moje uczucia, wzdrygałam się bez końca. Na zewnątrz zachowywałam się tak, jak wypadało i jak się po mnie spodziewano: dźrzyłam ból bez słowa sprzeciwu, bez jednego krzyku, wysłuchując jęków i sapnięć Waltera, które brałam za jego przyjemność. Być może niemądrze czekałam, aż i mnie ogarnie to nieziemskie uczucie — skoro bowiem, jak twierdził zawsze mój ojciec, pożądanie jest używaniem dla szatana, satysfakcja z aktu cielesnego powinna być istic diabelska.

Nie było jednak niczego przyjemnego w mokrej lepkości pomiędzy moimi nogami ani w odorze krwi plamiącej pościel, ani nawet we wspomnieniu wilgotnych ust Waltera na moich wargach i jego rąk obejmujących mnie w pasie, kiedy wciskał się we mnie głębiej. Była tylko rana tam w dole i w moim sercu; był tylko niekochany przeze mnie mężczyzna, pogrążony w głębokim, pełnym obojętności śnie.

ROZDZIAŁ XIX

Moja piękna córka przysła na świat, zanim minął pierwszy rok naszego małżeństwa i ku niejakiemu naszemu rozczarowaniu, iż nie jest synem, którego wyczekiwał Walter. Było to pogodne, ruchliwe dziecko, pełne życia i energii niemal od chwili, gdy pierwszy raz trzymałam je w ramionach. Nadałam jej imię: Penelopa. Walterowi było wszystko jedno, jak ją nazwę, byleby nasz syn, kiedy już się narodzi, został ochrzczony po nim, Walter Devereux, i w swoim czasie mógł odziedziczyć tytuł i ziemię.

Przez pewien czas córeczka absorbowała mnie całkowicie, w co aż trudno mi było uwierzyć. Patrzyła na mnie z kołyski oczyma niewiarygodnie niebieskimi i przepelnionymi bez granic zaufaniem, a zanim się obejrzałam, już potrafiła się uśmiechać i siadać prosto, a wkrótce także

raczkować po podłodze, jeśli tylko piastunka jej na to pozwoliła. Chętnie widziałam ją w naszym łóżku — mimo iż Walter tego nie pochwalał, gdy akurat też je zajmował — a przy dobrej pogodzie towarzyszyłam jej podczas spacerów na świeżym powietrzu, do ogrodów, gdzie na chwilę kładziono ją wśród kwiatów. Piszcziała z uciechy i jak pamiętam, jednym z jej pierwszych słów była „róża”.

Do tego czasu jednak brzuch zaczął mi ponownie rosnać, a samopoczucie się pogorszyło. W drodze było kolejne dziecko. Akuszerka zapewniała mnie, iż ciągła niedyspozycja jest widowym znakiem, że drugi będzie chłopiec — to i jeszcze fakt, że bardzo przytyły mi pośladki i uda. Opowiedziałam Walterowi o tych niosących nadzieję znakach, a on uśmiechnął się i od czasu do czasu klepiąc mnie po wystającym brzuchu, zwracał się doń per „młody Walterze”. Pod koniec czułam się tak źle, iż nie mając wyjścia, zarzuciłam wszelką aktywność i po prostu leżałam w łóżku. Mama i ojciec oboje się o mnie martwili i składali mi wizyty. Sprowadzony przez ojca z dworu królewskiego lekarz nie zalecił jednak nic ponad to, abym słuchała się akuszerki.

— Też uważasz, panie, iż to będzie syn? — spytałam go, korzystając z okazji, i przytoczyłam spostrzeżone przez akuszerkę znaki.

— To wie tylko Bóg — odpowiedział. — Musisz się modlić o męskiego potomka, tak jak cała Anglia modli się o syna królowej i następcę tronu.

Albowiem królowa nadal była niezamężna, ale wszyscy się łudzili, iż w końcu wyjdzie za sir Roberta i urodzi dziecko, które obejmie po niej władanie. Wszelako czas mijał i nic takiego się nie działo.

Kiedy wreszcie zaczęły się bóle, były znacznie gorsze niż przy Penelopie. Z początku znosiłam je dzielnie, lecz po wielu godzinach męczarni siły jęły mnie opuszczać i widziałam po minie akuszerki, iż traci nadzieję na to, że zdołam wydać na świat zdrowego potomka. Nigdy nie poddawałam się łatwo czarnym myślom, wszakże po ciągnącym się drugi dzień porodzie przyszło mi do głowy, iż mogę tego nie przeżyć.

Posłałam po Waltera i po księdza z naszej parafii oraz poprosiłam, aby sprowadzono Penelopę, która by podtrzymywała mnie na duchu. Niestety Penelopa rychło się rozplakała i piastunka musiała ją zabrać. Walter zaś, w ubłoconych butach od przedzierania się przez grzęzawisko za bykiem jelenia, nie miał pojęcia, jak mnie pocieszyć. Uważał, iż rodzenie dzieci to sprawa kobiet, irytowała go więc moja niezdolność do wydania na świat jego dziecka (tym, że słabną i cierpię, bynajmniej się nie przejmował). W końcu wyrzucił wysoko ręce w geście bezradności i wyszedł, pozostawiając mi księdza, który był w stanie tylko mnie pobłogosławić i modlić się — tonem, który postawił moje przeżycie pod jeszcze większym znakiem zapytania — aby stała się wola nieba.

Palilo mnie pragnienie.

— Wina! Dajcie mi wina! — zakrzyknęłam tak głośno, jak umiałam, po czym upierałam się przy tej prośbie nawet po tym, jak akuszerka mi odmówiła, tłumacząc, że gdybym napiła się wina, wtedy na pewno urodziłabym martwe dziecko.

Zdążyłam już popaść w malignę i pamiętam tylko, że przeklinałam z całych sił służące, aż nareszcie jedna mnie usłuchała i przyniosła dzban z winem, którego zabroniłam jej rozcieńczać, gdyż chciałam wypić je mocne i tyle, ile zdołam, traktując jak leczniczą driakiew. Wzmocniona trunkiem postanowiłam zdobyć się na ostatni wysiłek i urodzić to dziecko, nawet za cenę własnego życia. Zaczęłam przeć, jak mogłam najmocniej, charcząc i jęcząc, mnąc pościel w spoconych dłoniach i wijąc się z bólu, podczas gdy akuszerka uciskała mi silnie brzuch. W życiu się tyle nie wycierpiałam. Wydawało mi się, że trwa to bez końca. Ale nagle poczułam, jak ciało mi się rozrywa, i usłyszałam — bądź tylko pomyślałam, iż słyszę — przenikliwy krzyk.

Musiałam zemdleć, albowiem kiedy się przebudziłam, było już ciemno. W świetle samotnej świecy spostrzegłam, iż stojąca przy łóżku kołyska jest pusta, i przez jedną straszną, dłużącą się chwilę myślałam, iż dziecko urodziło się martwe.

Rozplakałam się wtedy — z wyczerpania i żalości — i odgłos płaczu ściągnął do komnaty mamkę wraz z dwiema służkami. Mamka, co wprawiło mnie w radość, trzymała na ręku niemowlę.

Tylko że wcale nie wyglądała na zadowoloną, przeciwnie, była podenerwowana.

— Następna córka — rzuciła krótko.

Wyciągnęłam ramiona po moje maleństwo. Miała czerwoną twarzyczkę i zamknięte oczka. Spała. Tuliłam ją do siebie, mrużąc.

— Czy mój mąż już wie? — zapytałam.

— Owszem. I ani trochę nie jest zadowolony.

— Nic się nie martw, dziewczusko — wyszeptałam do zawiniątka, które wciąż trzymałam w objęciach. — Jestem wdzięczna za ciebie Panu Bogu, który obdarował mnie tobą w takim cierpieniu i znoju. Jestem wdzięczna, że obie żyjemy.

Zadecydowałam, iż będzie nosić imię: Dorota, które jak wiedziałam, znaczyło „dar od Boga”. Była, i wciąż jest, moim darem i nigdy nie zdołałabym wyrazić, jak bardzo ją kocham.

Jako mężatka nie byłam już dworką królowej, tylko jej damą dworu, podobnie jak Cecylia. Oczekiwano od nas, byśmy przebywały na dworze co najmniej kilka miesięcy w roku. Nie miałam nic przeciwko temu, gdyż — chociaż przyszło nam służyć zmiennej i nieprzewidywalnej pani — pobyt na dworze Elżbiety oznaczał także rozrywkę i oderwanie od codziennych spraw, udział w niewinnych flirtach, okazałych uroczystościach i rycerskich zmaganiach, które składały się na dni

i wieczory królowej, jeśli akurat nie absorbowały jej sprawy wagi państwowej czy spotkania z doradcami.

Walter także sporo czasu spędzał na dworze królewskim. Pomagał memu ojcu, a gdy wykazał się lojalnością i spolegliwością, otrzymywał samodzielne zadania, z każdą okazją coraz bardziej odpowiedzialne. Wkrótce po narodzinach Doroty królowa wysłała Waltera do Irlandii, gdzie miał dopilnować przekazania Koronie ziem zawłaszczonych przez rebeliantów. Wywiązał się z poleconego mu zadania sprawnie i bez kłopotów, co zrobiło na Elżbiecie wrażenie. Niebawem wysłała go więc z podobną misją. W sumie nie było go prawie pół roku — nasze pierwsze dłuższe rozstanie od dnia ślubu — i pod jego nieobecność ja zawiadywałam Chartley oraz innymi naszymi majątkami, co było nie lada wyzwaniem.

Wiele się podówczas nauczyłam, wypytyując zarządców i pilnie słuchając, co mają do powiedzenia o naszych gospodarstwach i sadach, o wieśniakach uprawiających nasze pola, o wymaganiach zwierząt i zbóż, o zagrożeniach takich, jak rdza żdźbłowa, susza, powodzie i w ogóle kapryśna pogoda.

Chartley, stary zamek ukryty za grubym szarym murem, nawet latem był zimnym, nękanym przeciągami domostwem. Ojciec Waltera od dawna tam nie mieszkał, preferując mniejszy, lecz przytulniejszy majątek na południu Anglii. W Chartley trzeba było palić na kominkach przez okrągły rok, a w wielkiej sali odnosiliśmy wrażenie, że jakiś sopel zaraz spadnie nam na głowy. Te niedogodności w moich oczach rekompensowało piękno ogrodów. Uwielbiałam spacerować z dziećmi po długiej, wysypanej kamykami ścieżce pomiędzy wysokimi ukwieconymi krzewami kapiącymi od rosy, na przełaj warzywnika przy kuchniach, aż do cieplarni, gdzie owoce rosły nawet w środku zimy, a róże i inne rośliny z egzotycznych miejsc kwitły, gubiły kolorowe płatki i znów kwitły.

Jesienią uwielbiałam zabierać dziewczynki do sadu, gdzie pierwsze, różowo-zielone jabłka, słodkie i soczyste, można było strącać wprost z gałęzi długimi patykami. Jeden z wieśniaków jesienną porą podtrzymywał wiecznie ogień na otwartym ognisku, gdzie mogłyśmy piec poobijane owoce naszych jabłoni w popiele, by potem jeść je posypane cynamonem. Na nasze wiejskie życie składały się takie proste, zwykłe przyjemności, którymi się zachłystywałam — siedząc na huśtawce zawieszanej pomiędzy dwoma potężnymi cisami, przyglądając się, jak cień pochłania tarczę zegara słonecznego, wysysając miód z niebieskich kwiatów szałwii rosnącej na trawniku albo zaglądając do wielkiej czarnej maciory z nowo narodzonymi prosiętami.

Upajałam się tym wszystkim, zwłaszcza w towarzystwie dzieci — lecz nie Walterem. W istocie moja awersja do niego tylko się pogłębiała.

Znienawidziłam jego owłosione knykcie prawej ręki, to, jak sterczały mu sztywno z grubych palców, kiedy odliczał monety ze wzmocnionej okuciami skrzyni, siedząc przed kominkiem. Nienawidziłam fałd różowej skóry na jego karku, sposobu, w jaki unosił głowę niczym czujny drapieżca wietrzący zdobycz, chropowatości jego głosu i głupot, które tubalnie wygadywał. Jego braku poczucia humoru. Tego, jak na mnie patrzył tymi przebiegłymi oczkami, niezadowolonym, naburmuszonym spojrzeniem dając mi do zrozumienia, że zawiodłam go jako żona.

Nie miałam wątpliwości, iż tak właśnie uważa. Nie wywiązałam się bowiem z głównego zadania, przed jakim stoi każda żona — nie dałam Walterowi zdrowych synów.

Zawiodłam go, podobnie jak Cecylia swojego męża, aczkolwiek z całkiem innych powodów. Jej małżonek, a kuzyn Waltera, Roger Wilbraham, nawet się do niej nie zbliżał. W odróżnieniu od Waltera nie zależało mu na kolejnych synach, ponieważ dwie jego pierwsze żony obdarowały go dwójką męskich potomków każda. Poza tym, co w końcu odkryła Cecylia, miał także uroczą hiszpańską kochanicę, którą zakwaterował w wiosce na swoich włościach.

Och, jakże Cecylia rozpaczała, dowiedziawszy się o tej kobiecie! Poskarżyła się naszemu ojcu, który zagroził, iż odbierze Rogerowi wszystkie przywileje i źródła dochodu, jeśli natychmiast nie odprawi tej ladacznicy. Wszakże jego groźby były bez pokrycia, skoro królowa nie brała tej sprawy poważnie. Swoim perwersyjnym zwyczajem zbagatelizowała problem, który jej nie dotyczył, i tylko zauważyła, iż wszyscy mężczyźni mają kochanice, tak więc Cecylia nie powinna się żalić na coś, czego nie jest w stanie zmienić.

— Powinna się cieszyć, że w ogóle złapała męża — brzmiała jej bezduszna replika, ilekroć ojciec ją zagadywał na ten temat. — I cierpieć, jak my wszystkie, nie stawiając żądań.

Biedna Cecylia gotowała się ze złości — i z zazdrości. Nie wierzę, aby naprawdę zależało jej na dzieciach albo na Rogerze, skoro już o tym mowa. Mój szwagier miał okropny charakter i bardzo ciężko było się u niego dopatrzeć cechy, jaka mogłaby przemówić do kobiety. Zresztą Cecylia nie miała zadatków ani na żonę, ani na matkę. Brakowało jej czułości (w gruncie rzeczy była raczej oziębła) i brakowało jej samozaparcia, aby radzić sobie z trudnym mężczyzną, oraz cierpliwości, by wychowywać najpierw małe dziatki, a następnie rozbrykanych chłopców i dziewczęta, wyprowadzając ich na ludzi. Mojej siostrze zależało wyłącznie na pozycji, jaką dałoby jej bycie żoną wielmoży i matką jego dzieci. Nie podobało jej się, iż niektórzy za plecami nazywają ją słomianą wdową i jałową klaczą. Zwłaszcza że choć niewątpliwie była zaniedbywana przez męża, nie dało się z całą pewnością stwierdzić, czy jest bezpłodna. Do tego jej grubiański małżonek, który ledwie zaszczycał ją słowem, musiałby się nią zainteresować.

Mimo iż nigdy nie powiedziałam tego głośno, w głębi ducha uważałam, iż Cecylia została przeklęta w życiu pechem. Oczywiście bardzo tego żalowałam.

Moja własna porcja szczęścia spotkała mnie w swoim czasie, i to raczej prędzej niż później. Dziewczynki były jeszcze całkiem małe, gdy kolejny raz spostrzegłam u siebie rosnący brzuch, co wzbudziło we mnie nadzieję, że nareszcie dam Walterowi syna, którego tak pragnął. Cecylia zazdrościła mi mojej radości i trzymała się ode mnie z daleka, mimo iż mieszkaliśmy zaledwie parę dni drogi od siebie. Ale mama przyjechała i została ze mną cały miesiąc, zabawiając mnie i podnosząc na duchu, a także z uśmiechem i po cichu zapewniając, iż teraz z pewnością urodzi się chłopiec.

Poród przypadł na jesień, co uznałam za dobry znak. Owoce były dojrzałe do zbioru, stary wieśniak zaczął już piec spadłe jabłka w popiele swego ogniska, a Walter — nie bez wątpliwości i obaw, ale i nadziei na upragnionego syna — zaprzestał polowań, choć sezon był w pełni i w granicach naszej posiadłości roilo się od dorodnych łani i byków.

Słyszałam, jak mój mąż przechadza się niespokojnie w zewnętrznej komnacie, podczas gdy akuszerka gładziła mnie po brzuchu i mamrotała słowa starej modlitwy.

Ulgi zaznałam dopiero przed świtem, a kiedy tylko doniesiono o tym Walterowi, zakrzyknął głośno z radości. Nareszcie zostaliśmy rodzicami syna. Był mały i słaby, nie miał siły płakać ani ssać z takim zapalem jak Penelopa i Dorota. Ale był chłopcem i tylko to się liczyło. „Młody Walter” pojawił się na zamku Chartley — dziedzic majątku i nazwiska, a ja, jego matka, nareszcie przestałam być nieudacznicą w oczach mego męża.

ROZDZIAŁ XX

Wieczór był chłodny, w powietrzu niesionym przez wiatr czuło się deszcz, zatem w komnatach królowej pojawiło się jeszcze więcej zdobionych złotą nicią tkanin, zawieszonych w oknach i na ścianach. W królewskich apartamentach nie było tłoczno, albowiem Elżbieta opuściła na parę dni swój pałac, udając się z wizytą do posiadłości Grevemere należącej do jej ulubieńca Christophera Hattona, oczywiście zabierając ze sobą większość dworek i służby.

Przenikliwy ziąb w pogrążonych w półmroku komnatach wzmagał się mimo zawieszonych zasłon i rozgrzewającego napoju dostarczonego nam z kuchni. Powodem panującego chłodu była jednak nie aura na zewnątrz, lecz kłótnia królowej z sir Robertem, do której doszło tuż przed jej nagłym wyjazdem. Sprzeczka była głośna i ostra, jak to między kochankami; oboje przemawiali do siebie napiętym, gniewnym głosem, którego niepokojące echa nadal unosiły się w powietrzu.

Sir Roberta zirytował niekończący się flirt królowej z Hattonem, którego przystojny wygląd i zabawne żarty sprawiały Elżbiecie przyjemność, ożywiając ją, i który cieszył się o wiele lepszą

reputacją niż Dudley, obarczony wiszącym nad nim widmem przeszłości. Królowa lubiła droczyć się z sir Robertem i wzbudzać w nim zazdrość, zdawało się, iż celowo pokazuje mu jednego po drugim sposobnego do żeniaczki mężczyznę, jakby chciała powiedzieć: widzisz, mogę wyjść, za kogo zechcę, wcale nie muszę wybierać ciebie.

A jednak dała mu dowód swej miłości do niego (bo że go kochała na swój sposób, nie mam najmniejszych wątpliwości), nadając mu tytuł hrabiego Leicester i darując wspaniały zamek Kenilworth w Warwickshire wraz z innymi posiadłościami i ziemiami. Zaproponowała go nawet na kandydata do ręki swej bliskiej krewnej i rywalki, Marii Stuart królowej Szkotów, która by mogła uczynić Dudleya „królem Robertem”, jak nazywano go za jego plecami. Wszakże on nadal miał nadzieję na główną wygraną, mianowicie chciał zostać mężem Elżbiety. W jego wypadku nie wchodziła w grę żadna nagroda pocieszenia. Tak więc gdy królowa wciąż go dręczyła, odmawiając swej ręki, co rusz wybuchały awantury.

Kłócili się ze sobą tym częściej, im dłużej Elżbieta zasiadała na tronie. Tamtego chłodnego wieczora — wieczora, którego nie zapomnę do końca życia — słyszałam, jak wykrzykują ostre i obraźliwe słowa, zanim królowa udała się do Grevemere, a sir Robert ją przechadzać się ciężko po jej komnacie, gotując się z wściekłości.

Gdy wreszcie wyszedł za drzwi i zobaczył mnie siedzącą samotnie i pogrążoną w lekturze, stanął jak wryty. Podniosłam spojrzenie przekonana, iż jego złość zaraz skrupi się na mnie, tymczasem zamiast oburzenia w przyglądających mi się oczach dostrzegłam udrękę. Starał się ją przede mną ukryć, nadaremno jednak.

— A niech to! — wykrzyknął we frustracji i opadł na poduszki ułożone przed kominkiem.

Przeciągnął dłonią po twarzy. Była to duża, silna dłoń, męska dłoń, lecz jakże niepodobna do dłoni Waltera o grubych palcach i owłosionych knykciach. Palce sir Roberta miały smukły kształt, jego knykcie były gładkie, a paznokcie starannie obcięte. Zawsze uważałam go za nadzwyczaj przystojnego mężczyznę, godnego pędzla najlepszego malarza. Portrety, które widziałam, nie wyłączając miniatury noszonej przez Elżbietę na łańcuchu zawieszonym na szyi, w żadnym razie nie oddawały w pełni oryginalności jego urody.

Nawet w najgorszy dzień, taki jak wtedy, prezentował się wyjątkowo dobrze.

— A niech to, Letycjo! — powtórzył, kierując swoje słowa do mnie. — Co znowu dopadło tę przeklętą kobietę?

Zamknęłam książkę. Domyślałam się, że sir Robert nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Potrzebował współczucia — i ulgi. Poczułam nagłą ochotę, by podejść do niego i opaść obok na poduszki, które jak wiedziałam, były rozgrzane od ognia kominka. Jego ramiona także z pewnością były rozgrzane... Wszelako zostałam na swoim miejscu.

— Znasz ją! Mów więc! Pomóż mi zrozumieć!... Potrząsnęłam głową z uśmiechem.

— Wy, mężczyźni, zawsze powtarzacie, jak trudno jest zrozumieć kobietę, jakkolwiek kobietę. Twierdzicie lekceważąco, że jesteśmy szalonymi istotami, działającymi impulsywnie albo za podszeptem szatana. Nie mam więc zbyt wielu złudzeń, iż uwierzysz, gdy powiem, że ona jest zwyczajnie rozpieszczona, że sprawia jej przyjemność dręczenie cię i że mimo wszystko byłaby niepokieszona, gdybyś kiedykolwiek się od niej odwrócił albo nagle znalazł poza jej zasięgiem, odległy czy oziębły. Z drugiej strony, dopóki będziesz o nią zabiegał, dopóty ma cię w garści.

Zauważyłam, że moje słowa na równi go zaintrygowały, co zdziwiły. Powoli opuścił rękę, którą przeczesał włosy.

— Wysłałaby mnie do Tower, gdybym przestał o nią zabiegać — rzekł tonem, który zdawał się mniej pewny niż jego przekonanie. Urwał na chwilę, po czym dodał już ciszej: — Bądź gdybym zaczął zabiegać o inną.

Na moment zaległa między nami cisza. Nagle Robert wyciągnął do mnie ramiona, a ja bez wahania, bez zastanowienia w nie wpadłam.

— Letycjo, Letycjo... — mówił raz po raz, gdy tuliłam się bez tchu, czując w sobie wzbierającą słodycz na to doznanie bliskości, na ciepły oddech na moim policzku, na dotyk dłoni na moim ciele, na jego intensywny zapach, zapach muszkatu, rozmarynu i wina z delikatną domieszką końskiego potu i skóry uprząży.

Było to ekscytujące, upajające przeżycie, które trwało, pókiśmy się obejmowali. Czułam się tak, jakby dzieląc się ze mną swym ciepłem, dzielił się ze mną ciepłem ogniska, chroniąc przed zimnem otaczającego nas świata. W półmroku komnaty rozjaśnionej tylko blaskiem płomieni, całkiem sami, nie niepokojeni, zatopieni w naszym pożądaniu, znaleźliśmy się w jakimś odrębnym, niepojętym miejscu. Wyjątkowym miejscu, gdzie nikt nie mógł nam przeszkodzić.

Pieścił mnie z takim zapamiętaniem, iż jedna z poduszek wpadła w płomienie. Niemal natychmiast z kominka wzniosła się chmura czarnego dymu. Rozkasłałam się.

— Zaraz wejdzie tu pacholek! — zdołałam wykrztusić, równocześnie próbując się oswobodzić z jego uścisku i wstać na nogi.

— No to go przepędzimy precz!

— Ale co będzie, jeśli powie królowej...

Robert już się zerwał ze śmiechem i gasił płonące pierze wodą z dzbana. Służący rzeczywiście się pojawili, zaalarmowani dymem, a Robert ująwszy mnie za rękę, poprowadził do innej komnaty. Na dźwięk głosów Cecylii i innych dworek, zrozumiawszy, że rychło do nas dołączą, robiłam co mogłam, by przywrócić do porządku strój i wzburzone włosy, cały czas jednak

wiedziałam, iż jest to próżny trud. Robert stał przy oknie, odsuwając grubą zasłonę, i wyglądał w ciemną noc.

— Letycjo! Coś się pali! Nie czujesz dymu? — wpadła z krzykiem Cecylia i jednym spojrzeniem ogarnęła mój nieporządną strój i rozsypane loki. Rozglądnęła się po komnacie i natychmiast wypatrzyła Roberta stojącego do nas plecami. Kiedy znów przeniosła wzrok na mnie, w jej oczach czaiła się nieufność. — Twoja suknia! Twoje włosy! Spałaś już? Dym cię obudził?

— Zdaje się, że poduszka wpadła do ognia — oznajmił obojętnym tonem Robert, nawet się nie odwracając. — Nic takiego się nie stało.

Następnie, nie patrząc na żadną z nas, z udawaną nonszalancją opuścił komnatę.

Podziwiałam jego umiejętność ukrycia pod maską obojętności owego tumultu uczuć, który przecież musiał przeżywać. Z pewnością bowiem był równie roznamiętniony przed momentem jak ja. Niemożliwe, aby nie pojał wraz ze mną — na samą tę myśl krew napłynęła mi do policzków — iż przekroczyliśmy granicę, zagłębiając się w zupełnie innym królestwie, w królestwie żarliwości tak gorącej, tak intensywnej, że zaznawszy jej, nie sposób znów być sobą.

ROZDZIAŁ XXI

Jakimś cudem królowa wyczuła zmianę w stosunkach pomiędzy mną i Robertem i nie przepuściła okazji, aby mnie ukarać.

Nigdy nie zrozumiałam, jak odkryła prawdę; być może zdradziło nas coś w jego zachowaniu, a może to Cecylia powiedziała lub zrobiła coś, co nas wydało. My z całych sił staraliśmy się zachować dyskrecję. W istocie tylko z rzadka urządzaliśmy schadзки, tak że nasze chwile sekretne szczęścia były doprawdy nieliczne, ale towarzyszące im wyjątkowe podniecenie, słodkie ich wyczekiwanie i radość będąca ich wynikiem dodawały moim oczom blasku, a policzkom kolorów, czego mógł nie zauważyć tylko ślepiec.

Królowej powiedziałam, iż powodem mego szczęścia jest fakt dania małżonkowi upragnionego syna — lecz ta wymówka wkrótce straciła rację bytu, gdy młody Walter, który od samego początku był słabym dzieckiem, przestał przybierać na wadze i rosnąć, po czym zanim ukończył trzeci miesiąc życia, został złożony w maleńkim grobie.

Skłamałabym, mówiąc, iż go opłakiwałam. Tak naprawdę nawet go nie znałam, jako że zaraz po jego narodzinach zostałam wezwana z powrotem na dwór królewski i opiekę nad nim przejęła mamka z piastunkami.

Zresztą smutek po śmierci syna przyćmiła żałoba po śmierci mej drogiej, ukochanej mamy, która rozstała się ze światem mniej więcej w tym samym czasie. Długo chorowała; jej nadmierne upodobanie do wina i piwa pozbawiło ją sił witalnych, pozostawiając słabą i kruchą. Ojciec, pokładający większą wiarę w modlitwach aniżeli w nadwornych lekarzach, nie poinformował nas, jak bardzo pogorszył się jej stan, w czego efekcie pozornie nagły zgon był dla wszystkich wielkim zaskoczeniem, a dla mnie w szczególności ciężkim ciosem.

Dodatkowych problemów przysparzał mi Walter, którego na wieść o śmierci syna ogarnął najpierw głęboki smutek, a później gniew. Winił mnie, mimo iż wiele niemowląt nie przeżywało nawet porodu, co dotyczyło również matek. Argumentem przemawiającym za moją winą był w oczach męża fakt, iż donosiłam dwie zdrowe córki i tylko jednego słabiutkiego syna. Całkiem otwarcie i z wrogością dawał upust swemu żalowi, iż w ogóle mnie poślubił, po czym — znając moje przywiązanie do Penelopy i Doroty — odwrócił się od nich dwu, na przemian je ignorując i co gorsza, wyśmiewając — na przykład Dorotę przezywał „młodym Walterem”, Penelopę zaś „swym rozczarowaniem”.

Jego złość bynajmniej nie obniżyła u niego pobudliwości. Najwyraźniej był zdecydowany spłodzić następnego syna tak szybko, jak to możliwe, i w tym celu używał sobie na mnie z wielką werwą i bez krztyny delikatności. Gdy nie zaszłam w ciążę od razu, zyskał jeszcze jeden powód do pretensji. Byłam oziębła, tłamsiłam jego pasję. Nie kochałam go tak, jak żona powinna kochać męża. Bez końca nudził o moich wyimaginowanych wadach, tylko pogarszając sytuację, ponieważ dość szybko rzeczywiście stałam się spięta i pełna skrępowania, gdyż w każdej chwili spodziewałam się jego ataku, czy to fizycznego, czy werbalnego.

Było mi przykro z powodu śmierci naszego syna, lecz w przeciwieństwie do Waltera nie wyczekiwałam z upragnieniem następnego. Ani mi było w głowie zostać matką licznej czeredki. A przynajmniej czeredki Waltera. Albowiem wszystkie moje myśli zaprzętał teraz Robert. Jak by to było, zastanawiałam się w duchu, rodzić mu synów? Lub córki? Nęciła mnie ta perspektywa i musiałam sobie przypominać, iż to tylko mrzonki. Robert nie zamierzał poślubić żadnej innej kobiety oprócz królowej. A ja miałam pozostać żoną Waltera do jego śmierci — bądź mojej.

Ku mej uldze Waltera często nie było w domu — jeździł do Irlandii i w inne miejsca z poruczenia królowej albo przebywał na prowincji, planując objazd królestwa i gromadząc niezbędne zapasy. Napawały go dumą takie zadania i czerpał wielką satysfakcję z tego, iż wywiązywał się z nich ku zadowoleniu Elżbiety. Ja z kolei często bywałam powodem niezadowolenia królowej, czego przyczyną — jak podejrzewałam — było to, iż wiedziała albo tylko się domyślała, że Robert i ja jesteśmy kochankami.

Biła mnie, gdy zajmowałam się jej sukniami z przypadkową niezgrabnością. Krzyczała na mnie, gdy nie dotrzymywałam jej kroku w tańcu — a była niestrudzoną tancerką, tańczyła od samego ranka galiardy do skocznej muzyki i kiedy melodia cichła, domagała się, by grajkwie nie przestawali, tylko płynnie przechodzili do następnej, tak że nieraz musiałyśmy wszystkie podskakiwać i wywijać nogami przez sześć albo nawet siedem melodii z rzędu. Beształa mnie za to, iż mam płaczący głos. Uderzyła mnie i oskarżyła o flirtowanie z jej faworytem Christopherem Hattonem i Thomasem Heneage'em, którego właśnie uczyniła gentlemanem prywatnych komnat i bardzo lubiła za to, iż przynosi świeże gałązki i kwiaty do komnaty rady i następnie pilnuje, aby pachołkowie przytwierdzili je do ścian. Elżbieta przepadała za zielenią, podobnie jak uwielbiała ptasie trele, które miały na nią kojący wpływ, nawet jeśli dobiegały z klatek poustawianych w jej komnacie sypialnej czy audiencyjnej.

Kochała ptaki — a jednak przy okazji któregoś z napadów podenerwowania otworzyła drzwiczki ptaszarni i wypuściła wszystkich ulubieńców na wolność, trzepocząc spódnicami i wrzeszcząc.

Jakżeż kapryśna była! Zawsze tak uważałam i tłumaczyłam sobie w duchu, iż wszyscy władcy zachowują się w sposób wzbudzający zdziwienie u osób gorzej urodzonych, jak utrzymywał mój ojciec. Wiedziałam z rozmów z innymi dworzanami, iż zarówno królowa Maria, jak i król Henryk miewali humory i nawet młody król Edward był zdolny do irytacji, mówienia przykrych rzeczy bez powodu oraz czynienia krzywdy swoim sokołom.

Zaczęłam się martwić, do czego może doprowadzić porywczy, egocentryczny charakter królowej, zwłaszcza w połączeniu z jej słabością do kordiałów, których często sobie nie żałowała. Kiedy pozwalałam myślom biec tym torem, zwłaszcza w środku nocy, gdy ze zmęczenia i troski nie umiałam zasnąć, wyobrażałam sobie, iż w przypływie gniewu Elżbieta może mnie oskarżyć o uwiedzenie Roberta, wtrącić do Tower, a być może nawet ściąć.

Tłumaczyłam sobie, iż strach ma wielkie oczy, i podśmiewałam się z siebie w duchu, iż zamieniam się w starą służkę Amy Dudley, Pirto, która także żywiła nieuzasadnione obawy. Z tym że Pirto nie żyła. Wiedziałam o tym od pani Clinkerte. Ponoć zmarła ze starości, a może pękło jej serce z żalu po swojej pani — w każdym razie zakrystian znalazł ją przy grobowcu Amy Dudley w kościele w Oksfordzie, gdzie ostatecznie złożono jej szczątki.

Pirto! Oczywiście, że w niczym jej nie przypominałam! No, może tylko w tym, iż obie miałyśmy sekrety — a ja bałam się, iż mój największy sekret, romans z Robertem Dudleyem, wyszedł na jaw i jest już znany królowej.

Był tylko jeden sposób, aby to stwierdzić. Musiałam zajrzeć do książki trzymanej przez nią obok łóżka. Do książki, na której marginesach prowadziła swój pamiętnik. Czy napisała tam o mnie i Robercie? I o tym, jak zamierza mnie ukarać?

Przysięgam, że się dowiem, jak tylko zdobędę się na odwagę.

TLR

ROZDZIAŁ XXII

Trochę to trwało, wahałam się i powstrzymywałam w pół kroku, ale w końcu udałam się do komnaty sypialnej królowej — w czasie gdy jak wiedziałam, nikt mi tam nie przeszkodzi — po czym ostrożnie otworzyłam wielką starą księgę Elżbiety spoczywającą obok łoża.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie widziałam kałamarza ani przyborów do pisania, sama księga leżała zaś zamknięta, aczkolwiek klamra ustąpiła pod najlżejszym dotykiem. Przez moment sądziłam, iż Elżbieta zaprzestała prowadzenia pamiętnika, wszakże już po przewróceniu kilku pierwszych stron zauważyłam charakterystyczne pismo królowej na szerokich marginesach woluminu. Królowa w dalszym ciągu notowała swoje przemyślenia oraz fakty, które składały się na jej dni.

Zaczęłam chciwie czytać.

Robert groził kijem mojej Czarnej Kurce — było to jedno z pieszczotliwych określeń na Heneage'a. — Co za nudziarz! Mam dość tej jego ciągłej zazdrości, tych jego napadów szału. Starzeje się. Odkryłam trzy siwe włosy w jego brodzie. Wyśmiałam go i kazałam mu zafarbować zarost. A on zaraz pobiegł i wypełnił moje polecenie. Głupiec! Czarna Kurka nigdy by tak nie postąpił. Christopher także nie, choć ten akurat za pieniądze zrobiłby wszystko. Tak, Christopher łaknie bogactwa. Natomiast Robert pragnie władzy. Och, gdzież znaleźć mężczyznę, który by nie potrzebował ani jednego, ani drugiego?...

Inni wpis głośił:

Kłótnia z R. Co za zazdrośnik z niego!

Spostrzegłam, iż Elżbieta zanotowała na marginesie swojej księgi ostatnie wydarzenia na dworze w Szkocji. Maria Stuart postanowiła wyjść za Henryka Darnleya i była z nim brzemienna. *(Ten chłopiec może zostać królem Anglii — napisała królowa, mimo iż dziecko jeszcze się nie narodziło i nie sposób było przewidzieć, czy będzie chłopcem czy dziewczynką).*

Nie możemy zabawiać się razem w moim wielkim łożu. Nie możemy dzielić się Robinem.

Te ostatnie słowa szczerze mną wstrząsnęły. Czyżby Elżbieta naprawdę wyobrażała sobie, iż Robert poślubi królową Szkotów i sprowadzi ją do Anglii, gdzie oboje będą się pławili w łasce monarchini? Czy chodziło jej o to, że mieliby przytulać się do siebie jak kocięta, czy bliscy kuzyni, na jej wielkim cedrowym łożu? Czy też raczej miała na myśli dzielenie się ciałami i pożądaniem?...

Elżbieta była bardzo dziwną kobietą, tyle wiedziałam, wszelako coś podobnego było więcej niż dziwne, przekraczało ludzkie pojęcie. Dopiero w późniejszych latach życia zaczęłam rozumieć, jak złożona jest miłość. Tamtego dnia byłam zszokowana i daleka od zrozumienia czegokolwiek.

Powróciłam więc prędko do lektury pamiętnika. Jeden fragment bardziej niż inne przyciągnął moją uwagę i wprowadził w drżenie.

R i L. Czy coś łączy ich serca? R i D. Same kłopoty.

Od razu wiedziałam, że „R i L” to Robert i ja. I że bardziej niż fakt zażyłości fizycznej interesuje ją, czy nawiązała się pomiędzy nami nic romantycznego uczucia. Podejrzewała to, lecz nie miała pewności.

Ale co oznaczało „R i D”? Kim była D? I co Elżbieta rozumiała przez „same kłopoty”?

Choć usilnie próbowałam, nie umiałam wyrzucić tych pytań z głowy. Kim była D? Kochanką Roberta? Młodą i piękną? Pozbawioną skrupułów? Moją rywalką?

Niewiele kobiecych imion rozpoczyna się od litery D. Była Dorota, tak jak miała na imię moja córka. I Diana, jak czasem nazywano córki angielskich domów, zapatrzywszy się na Francuzów. Kiedyś słyszałam o zakonnicy imieniem Deodata. Żadna z dworek ani zameźnych kobiet, które znałam, nie nosiła imienia na D innego niż Dorota. A Doroty, które przebywały na dworze, z pewnością nie zwróciłyby uwagi Roberta. Były zwyczajne albo stare, albo nieznośne, albo wszystko naraz.

Może więc litera D nie zastępowała imienia, tylko przezwisko. Jedną z rozrywek królowej było nadawanie dworzanom przezwisk. Zazwyczaj niepochlebnych, szczególnie gdy w grę wchodziły kobiety. Dziunia. Dzida. Dalila. Znalazłaby się ich cała masa.

Wtem przyszła mi do głowy pewna myśl. Obraz i wspomnienie rzadkiego imienia: Douglass. Młoda kobieta imieniem Douglass przyjeżdżała parokrotnie na dwór królewski. Dziewczęca, ładniutka, kochliwa. Dokładnie taka, na jakie zwracał uwagę Robert. Taka, jaka ja byłam przed dziesięcioma laty. Jakaś krewna Howardów. Szczupła i zgrabna, o kasztanowych włosach bardzo przypominających moje i z zadartym noskiem. Pamiętałam, że przyglądając się, jak tańczy, pomyślałam, iż robi to niemal równie dobrze jak ja.

Spytałam panią Clinkerte, co wie o tej całej Douglass.

— Żona barona Sheffielda — odpowiedziała natychmiast. — Sypia z każdym jak leci.

— Z każdym? — zdziwiłam się pozornie obojętnym tonem. — Ale chyba nie z sir Robertem?

Pani Clinkerte nie dała się zwieść.

— Z każdym — powtórzyła, nie pozostawiając mi złudzeń. — Zaczynając od pachołków, a kończąc na wielmożach. — Nieoczekiwanie zaczęła nucić melodię piosenki „Psikus króla Roberta”. — Douglass Howard jest gorsza nawet niż Katarzyna Howard swego czasu — dodała ściszym głosem. — O wyczynach Katarzyny Howard wiedzieli wszyscy z wyjątkiem króla.

— A czy teraz wie królowa? — dopytywałam.

— Oczywiście. Nie rozumiem, czemu jeszcze nie przegnała tej dziewczuchy precz. Nigdy nie powinna była pojawiać się na dworze królewskim.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Nawet Whaffer zachodzi w głowę, jak to możliwe, a on służy na tym dworze jeszcze od czasów Anny Boleyn i twojej babki, Marii Boleyn, dwu najbardziej...

— Sza, pani Clinkerte! Wiem, co się mówi o tych dwu damach.

— Bacz, aby nie ucierpiała i twoja reputacja — poradziła mi stara służka. — Z mężem daleko od domu i nudą do zabicia...

Nie musiała kończyć myśli. Doskonale wiedziałam, do czego pije.

Nie myliła się, miałam dużo wolnego czasu, w którym z radością zwracałam się do Roberta. Waltera prawie nigdy nie było, a nawet jeśli był, coraz częściej się przekonywaliśmy, iż nic nas nie łączy, nawet zwykła codzienność, która na ogół wiąże długoletnich małżonków silniej niż przysięga. Co pozostało? Niemiła bliskość, niechęć do konwersacji. W głównej mierze powstrzymywanie się.

A w moim wypadku także pogłębiająca się odraza fizyczna.

Byliśmy sobie obcy, lecz mimo to dzieliliśmy łożę i podczas którejś wizyty Waltera w Chartley poczęłam dziecko. Oboje żywiliśmy tę samą nadzieję: iż będzie to chłopiec, który zajmie miejsce utraconego syna.

Przez większość ciąży trzymałam się z dala od dworu, dogadzając sobie i odpoczywając, grubiejac od rosnącego w moim łonie dziecka — które okazało się ogromne, brzuch napęczniał mi bowiem znacznie bardziej niż przy poprzednich pociechach — oraz od zajadania się dojrzałymi śliwkami i brzoskwiniami, i pieczonymi jabłkami, które stary wieśniak jak zwykle trzymał zasypane w popiele swego ogniska. Chociaż tęskno mi było do Roberta, tylko z rzadka odwiedzającego mnie w Chartley, czułam się szczęśliwa. Szyłam ubranka i haftowałam czepki i kocyki dla niemowlęcia, mieszałam perfumy i wypróbowałam receptury na różne kordiały w warzelni, karmiłam kury i śpiewające ptaszki, które z hurgotem skrzydeł obsiadały gałęzie starego drzewa upstrzonego budkami lęgowymi. Gdy nadszedł czas, bym udała się do odosobnionej komnaty i oczekiwała przyjścia na świat dziecka, uczyniłam to z ochotą i wypełniałam wolne chwile szczerą modlitwą.

Mimo iż dziecko okazało się naprawdę duże, poród nie był ani długi, ani trudny. Miałam przy sobie sprawną akuszerkę oraz wieśniaczkę z napęczniałymi piersiami, wynajętą jako mamka. Podczas porodu pomagała akuszerce, z którą była zaprzyjaźniona; siedziała przy moim łóżku, trzymała mnie za rękę i mówiła miłe rzeczy, zapewniając, iż wszystko dobrze się skończy. Zanim rozpoczęły się bóle, przesunięto łóżko bliżej okna, abym mogła patrzeć na spadające poźółkle

liście, i później, już w trakcie porodu, skupiałam się na ich miarowym, wirowym ruchu w stronę ziemi. Bolało mnie oczywiście, lecz wszystko odbywało się w spokoju i zgodnie z planem dzięki kojącym słowom mamki i pomocnym radom akuszerki.

Przy udziale tych dwu kobiet wydałam na świat swego Roberta w listopadowy wieczór tysiąc pięćset sześćdziesiątego siódmego roku, w porze, gdy Wenus pokazywała się na zachodnim niebie. Uznałam to za znak. Znak długiego i wspaniałego życia. Mówiłam sobie, iż ten chłopiec, którego głośny płacz sprowadził do zewnętrznej komnaty wszystkich domowników chcących powitać dziedzica rodu Devereux, może zostać walecznym rycerzem albo zdobywcą trofeów podczas turniejów, albo znacznym dworzaninem, jak mój ukochany Robert, tak samo przystojnym i pełnym energii i chęci do życia.

Zapałam w sen, który przyniósł mi sceny z przyszłości, podczas gdy maleńka główka dziecka spoczywała w zgięciu mego ramienia, a mnie spowijało poczucie niewysłowionego zadowolenia.

Ogółem pozostawałam poza dworem przez ponad rok i w tym czasie wiele się wydarzyło. Gdy na wezwanie królowej powróciłam do pałacu, by podjąć obowiązki damy dworu, przekonałam się, iż Robert Dudley i Douglass Howard nie tylko byli parą, jak napisała w swym pamiętniku Elżbieta, lecz również zostali rodzicami!

Królowa była wściekła, Robert popadł w niełaskę. Douglass mieszkała z dala od Londynu, w posiadłości swego męża, wraz z bękartem. Dzieckiem mojego Roberta. Dzieckiem, które jak czułam, sprowadzi same kłopoty.

ROZDZIAŁ XXIII

Mój brat Frank zrobił nam wszystkim niespodziankę, zjawiając się w Chartley z kucykiem dla małego Roberta oraz z pięknymi naszyjnikami z pereł dla Cecylii i dla mnie i skrzynią pełną złota.

Objęłam Franka za szyję i ucałowałam w oba policzki, taka byłam uradowana jego wizytą po długiej nieobecności. Jakże przystojnie wyglądał, jakże zamożnie w atlasowym dublecie haftowanym srebrną nicią, jedwabnych pludrach i trzewikach z klamrami wysadzanych szlachetnymi kamieniami.

— Frank! Powinieneś jechać na dwór! Przyćmiłbyś wszystkich dworzan królowej, nawet nie mającego sobie równych Christophera Hattona, obnoszącego ociekające złotem peleryny, wysokie

kryzy i łańcuchy! — W duchu zaś dodałam: i nieźle byś się prezentował przy Robercie Dudleyu, ale oczywiście nie powiedziałam tego głośno.

— Mniejsza o moją wytworność, Letycjo! Pomyśl lepiej o moim złocie! — To mówiąc, kazał wnieść swoją skrzynię ze skarbami (trzeba było do tego czterech silnych mężczyzn) i otworzyć na naszych oczach. Mogłam tylko sapnąć z wrażenia, kiedy wieko odskoczyło, ujawniając zatrzęsienie błyszczących złotych monet, hiszpańskich dukatów, jak poinformował nas z dumą Frank. — To złoto z Peru — oznajmił. — Żeglowaliśmy właśnie na północ od Valparaíso, kiedy natknęliśmy się na dwa hiszpańskie statki przewożące skarbiec. Jeden już miał silny przechył, a drugi zatopiliśmy z naszych dział, ocalając wcześniej ładunek. Ileż tam było srebra! Nieprzeliczona masa! A oprócz srebra także hiszpańskie złoto. To, co tutaj widzicie, to zaledwie część mojej zdobyczy.

Ojciec akurat przebywał z wizytą w Chartley, kiedy zjawił się Frank, ja zaś czym prędzej posłałam umyślnego, by zawiadomił Cecylię rezydującą w sąsiedniej posiadłości należącej do Wilbrahama. Informowałam ją przez posłańca, iż nasz brat powrócił z podróży, i nakłaniałam do jak najszybszego przybycia.

— Zatem zostałeś piratem, synu? — spytał ojciec, obrzucając wzrokiem imponującą postać Franka i jego skrzynię ze złotem. — Czy też wciąż jesteś uczciwym człowiekiem morza?

Śmierć mamy przyśpieszyła posuwanie się ojca w latach, nie dało się tego ukryć. Wszakże starość tylko wyostrzyła jego zmysł moralny. Nikt nie przemknął się niepoddany badaniu — i ocenie.

W trakcie długich lat nieobecności Franka otrzymywałam od niego listy, w których pisał mi, że skończył z praktykowaniem i nauczył się od wiekowego kapitana, jak żeglować niewielkim statkiem wzdłuż kornwalijskiego wybrzeża, nabrał szlifów, co umożliwiło mu wyprawienie się na głębsze wody i po bogatsze zdobycze.

— Służę królowej, ojcie — odparł Frank. — Płynę tam, dokąd jej królewska mość wyśle mego kapitana, Francisa Drake'a. Wspólnie ścigaliśmy Hiszpanów na niejednych wodach.

— Czyli to złoto królowej, nie twoje — skwitował ojciec.

— To część mojej zdobyczy. Przydzielona mi przez kapitana.

— Ale to kradzione monety.

— Zdobycz wojenna, ojcie. Wygrana podczas morskiej bitwy.

Ojciec pokręcił głową.

— Te pieniądze splamiła krew. Oddaj je!

Iskra gniewu zapłonęła w ciemnych oczach Franka.

— Komu mam je oddać, ojczyźnie? Niewolnikom z Peru, którzy je wydobyli w pocie czoła, sieczeni hiszpańskim biczem? Czy morderczym Hiszpanom, którzy zatopili trzy nasze statki wraz z załogami składającymi się z dobrych Anglików, w tym z moich przyjaciół? — Zatrzasnął wieko skrzyni z głośnym hukiem. — Nie, nie wydaje mi się — podjął. — Ryzykowałem życie, aby zdobyć to złoto i resztę skarbów. Przez prawie trzy lata żeglowałem z sir Francisem. Nasza jednostka niemal zatонуła, wpadłszy na rafę na oceanie tak dalekim, że jeszcze nie nosi nazwy.

— Panu Bogu jest znany. „Albowiem — przywołał słowa Księgi Psalmów — do Pana należy ziemia i to, co ją napęlnia, świat i jego mieszkańcy”.* Ale dość o tym — zakończył, odwracając się.

* Księga Psalmów 24:1, tł. ks. Lech Stachowiak, o. Augustyn Jankowski OSB, Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.

Wzięłam Franka pod ramię i wyprowadziłam z wielkiej sali, wiodąc do komnaty dziecięcej, gdzie poznał Penelopę i Dorotę, i mojego drogiego Roberta: dorodne, uśmiechnięte, pełne życia dziecko, które gaworzyło donośnie i wymachiwało drewnianym konikiem. Frank porwał malca w ramiona i zabrał na zewnątrz, aby pokazać mu kucyka. Wraz z dziewczynkami podążyłam jego śladem; Penelopa obejmowała wujka za nogę, a Dorota nieśmiało sięgała do pół jego dubletu.

— A ty, Frank? — zapytałam go później, kiedyśmy patrzyli, jak pacholek oprowadza po dziedzińcu kucyka z usadowionym na jego grzbiecie zachwyconym Robertem, śmiejącym się i gruchającym do samego siebie, przechylającym się to w lewo, to w prawo na tyle, na ile pozwalał sznurek, którym został przytroczony do łąku. — Kiedy doczekasz się własnych synów i córek?

Frank uśmiechnął się smutno. Przez chwilę gładził siostrzenice po główkach, aż wreszcie odesłał je, aby się pobawiły, po czym podprowadził mnie do ławki i ciężko usiadł obok.

— Jestem żonaty, Letycjo — wyznał. — Poślubiłem zamożną kobietę, wdowę z Plymouth. Wierzę, iż nadal tam mieszka. Wciąż jesteśmy mężem i żoną.

— Ale nie ożeniłeś się z miłości.

— Nie. Dla pieniędzy. — Potrząsnął głową, jakby chciał strząsnąć z siebie trudy przeszłości. W jego oczach zagościł żal. — Pewnie pamiętasz, jaki byłem młody, gdy wyruszyłem na wybrzeże szkolić się na żeglarza. Przepęlniało mnie podniecenie. Uciekałem od ojca i jego religii, całej tej ponurej gadki o szatanie, piekle i potępieniu. Zyskiwałem wolność!

— Pamiętam, jak zazdrościłam ci tej wolności. Zawsze odtąd ci jej zazdrościłam.

— Byłem bez grosza — kontynuował Frank. — Ojciec zapowiedział, że jeśli odejdę z domu, będę musiał sam sobie radzić. Oznajmił, że niczym mnie nie wesprze, nawet gdybym był w wielkiej potrzebie. Przyjąłem to do wiadomości. Przyjąłem bez mrugnięcia powieką. Chciałem się sprawdzić, chciałem udowodnić ojcu, że poradzę sobie bez niego i bez jego czarnowidztwa... Przez kilka lat pracowałem w znoju i dobrze mi się wiodło. Zdobyłem wiedzę o wiatrach i pływach, o zdradzieckim zachodnim wybrzeżu ze skałami i mieliznami. Czułem się jak w domu pośród mężczyzn, prawdziwych mężczyzn, mężczyzn, którzy przeklinali i awanturowali się, którzy wdawali się w pijackie burdy w ciemnych uliczkach za podłymi oberżami. Och, w niejednej bójce sam brałem udział! Mam parę blizn, jakie mógłbym ci pokazać.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Frank wydawał się taki dumny ze swoich ran odniesionych w walce.

— Założę się, że ojciec nigdy się nie bił. — Zaśmieliśmy się oboje. — Nigdy nie szamotał się w ciemnej uliczce — dodałam — chociaż jak mi wiadomo, niemal codziennie zwiera się w walce z innymi doradcami królowej. To walka odmiennego rodzaju, lecz nie mniej zażarta. Ale proszę, opowiadaj dalej o sobie.

— Cóż, po jakimś czasie mój mentor zmarł i tak jak obiecał, zostawił mi w spadku swój statek. Nie dochował się własnego syna. Byłem taki dumny. Robiłem dalej to co on, pływałem stateczkiem od jednego portu do drugiego, a czasami także przybijałem do brzegu tam, gdzie nie było żadnego portu, w środku nocy, dostarczając wino albo oliwę, albo mydło, albo sól z Francji, i zabierałem tkaniny albo ziarno, albo ołów od miejscowych. Ojciec zbladłby, wiedząc, ile handlu odbywa się za plecami królewskich urzędników.

— On wie. Podobnie jak cały dwór. Połowa najmodniejszych kryz noszonych w pałacu przybiła do brzegu Anglii nocą i nie została oclona. Tak samo jest z winem i innymi trunkami.

— Tak więc — podjął Frank — powodziło mi się dobrze, ale było mi mało. Chciałem robić więcej. Chciałem zobaczyć więcej. Wszędzie słyszałem opowieści o kapitanie Francisie Drake'u i jego wyprawach. O tym, że żeglował nie tylko wzdłuż brzegów, ale także na otwartych morzach. O tym, że królowa go faworyzowała i dała mu swoje pozwolenie na zajmowanie zdobycznych statków po Hiszpanach i zatrzymywanie części łupu. Ale żeglowanie z nim, branie udziału w jego wyprawach wymagało bogactwa. Niemałego bogactwa. Wdowa powiedziała mi, że jeśli się z nią ożenię, jej majątek przejdzie na moją własność. No więc się ożeniłem. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, Letycjo, zrobiłem to. I od tamtej pory żałuję swojej decyzji.

— Ale nie żałujesz wypraw.

Uśmiechnął się.

— Nie, wypraw nigdy. Ani bycia angielskim piratem. Z tym że zapłaciłem za to zbyt wysoką cenę.

— Jaka?

Frank zmarszczył brwi. Długo milczał, zanim ponownie się odezwał.

— Poznałem dziewczynę... — zaczął cicho. — Urocza, ufna młoda dziewczyna o karmelowych oczach i delikatnych dłoniach. Marianna. Miała zaledwie szesnaście lat. Mieszkała razem z rodziną w gnijących resztkach jakiejś łajby. Jej ojciec z trudem wiązał koniec z końcem jako protestancki kaznodzieja, służący bandzie żeglarzy. Przepelniał go Duch. Podziwiałem go. Ale jemu zawsze brakowało grosza, żeby wykarmić osiem gąb... Kochałem ją. Przysięgam, że ją kochałem. Ale rozumiałem, że jeśli się z nią ożenię, będę musiał wykarmić ich wszystkich. Przymierali głodem. Marianna brała od marynarzy rzeczy do prania, a jej bracia przeszukiwali rżyska po żniwach, walcząc o lepsze resztki z krukami i myszami. Och, Letycjo... Wiedziałem, że jeśli się z nią ożenię, nigdy nie zobaczę świata. A za każdym razem jak spojrzałem na morze, chciałem się wyrwać z lądu, nawet z mojego stateczku. Chciałem przerwać więzy przykuwające mnie do innych ludzi. Dlatego, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, przyjąłem propozycję wdowy i jej pieniądze, sprzedałem statek po starym kapitanie i zaciągnąłem się do Drake'a. Zwróciło mi się to tysiąckrotnie, ale nigdy nie przestałem żałować utraty Marianny. Kiedy wróciłem, żeby ją odszukać, łajby już nie było. Dzieła dopełnił sztorm. Rodzinę przegnał na cztery wiatry. Słyszałem potem od kogoś, że Marianna umarła. Jeśli dorobię się znów własnego statku, ochrzczę go „Marianna”. Poświęcę resztę życia jej pamięci... — Ukrył twarz w dłoniach.

Objęłam ręką szerokie barki Franka, czując jednak, iż nie jestem w stanie zaoferować bratu żadnego pocieszenia, które by zmniejszyło jego żal po stracie. W kolejnych dniach wysłuchałam jeszcze wielu opowieści o jego zdumiewających podróżach i o Nowym Świecie. Wszakże w tle zawsze pobrzmiwał smutek. Opuścił dom w poszukiwaniu przygody i zaiste naoglądał się dziwów i cudów. Znalazł złoto. Lecz utracił coś o wiele cenniejszego, źródło ziemskiego szczęścia. Utracił swoją miłość.

ROZDZIAŁ XXIV

Jak tylko usłyszałam stukot kopyt na dziedzińcu, spięłam się w sobie. Z pobliskiej posiadłości Wilbrahama przyjechała powozem Cecylia, a choć kochałam swoją siostrę, nie sprawiało mi przyjemności znoszenie jej humorów. A w tamtym czasie była niesłychanie humorzasta.

Jej małżeństwo, co było tajemnicą poliszynela, sprowadzało się do dwóch nazwisk połączonych na dokumentach sporządzonych przez prawników. Roger Wilbraham wiódł osobne życie od dnia ich ślubu. Z powodu licznych urzędów i płynących z nich korzyści, szczególnie zaś — pozycji nadzorcy floty królewskiej (albowiem nie był już tylko zastępcą, lecz stał się samodzielnym nadzorcą), powodziło mu się doskonale i Cecylia nie mogła narzekać na wygody swego życia: w samotności. Jeden z zaufanych służących jej męża co miesiąc przywoził mieszek z monetami, które trzymała pod łóżkiem i po które sięgała, aby zaspokoić swoje potrzeby i zachcianki, a także każdorazowo upewniał się, iż jej szwaczki i perukarze, jej lekarze i zielarze, podobnie jak cała służba, są opłaceni należycie — i sownie — z zasobów Wilbrahama, pilnującego również spraw posiadłości.

Cecylii nie brakowało więc niczego oprócz zadowolenia z życia i ukontentowanego serca.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami, a ja wyszłam na zewnątrz przywitać się z siostrą. Kiedy opuszczała powóz, przechylił się cały na jedną stronę, tak silnie przeważył go ciężar Cecylii. Moja siostra zamieniła się w grubaszkę, „tłustą jak masło” wedle nieprzychylnych słów Waltera, który tylko tak się o niej wyrażał. Niewielkie oczy niemal zupełnie ginęły w okrągłej, nalanej twarzy, a korpulentne ciało, tego dnia obleczone w ściśle przylegającą elegancką suknię z haftowanego jedwabiu, zdawało się należeć do kobiety w średnim wieku, mimo iż Cecylia jeszcze nie przekroczyła trzydziestki.

Jak zwykle na głowie miała perukę, o lokach niemiłosiernie poskręcanych i upiętych w skomplikowaną koafiurę. Od pamiętnego dnia przed iluż to już laty, kiedy królowa kazała obciąć jej włosy, Cecylia ustawicznie nosiła peruki, najczęściej jaskraworude jak te, za którymi przepadała Elżbieta, i zgromadziła ich całą kolekcję w różnych stylach i odcieniach. (Z czego wszystkie, jak lubiłam jej przypominać, zostały zrobione z włosów innych ostrzyżonych nieszczęśnic). Jej własne myszowate włosy, nigdy nazbyt gęste, nie odrosły jak należy, przez co bez peruki wyglądała dziwnie — z jedną stroną głowy przerzedzoną i kłującą jak niewprawnie oskubany kurczak, drugą zaś zaopatrzoną w myszowatą grzywę, zakręconą w pierścionki, lecz tu i ówdzie odsłaniającą łyse placki.

Za to nie pogorszył się stan jej uzębienia — zęby były zawsze największą zaletą Cecylii — i chyba nawet zachowała je wszystkie (a przynajmniej lubiła się tak chwalić). Cera z kolei, nawet w młodości niezbyt zdrowa, przybrała żaloszny piaskowy odcień, na którego tle jeszcze bardziej odcinały się dzioby po ospie, bez powodzenia ukrywane pod grubą warstwą postarzającej bieliczki.

Biedna Cecylia! Domyślałam się, że ilekroć na mnie patrzy, czuje żal z tego powodu, iż kontrast pomiędzy nami, zawsze wyraźny, z biegiem lat jeszcze się pogłębił. Ja zachowałam młodzieńczy czar (wszyscy to mówili), podczas gdy jej uroda bledła coraz bardziej.

— A więc — powiedziała wprowadzona do środka i gdy już zobaczyła Franka — tu jest ten marnotrawny pirat, nareszcie nam przywrócony!

— Marynarz, Cecyljo, nie pirat. I to odnoszący sukcesy, chociaż mógłbym sobie życzyć, by odziewał się skromniej — zauważył ojciec. Nie skomentował przepychu stroju Cecylii, być może traktował go jako rekompensatę za jej nieudane małżeństwo.

Moja siostra sarknęła.

— Każdy, kto służy kapitanowi Francisowi, jest piratem, nikiem więcej! Co wcale nie przeszkadza królowej. Ale, ale... Doszły mnie słuchy o jakiejś kłótni między tobą i moim drogim małżonkiem...

Nie mogłam nie dostrzec, iż raczej się nie zanoszą na czule czy choćby uprzejme powitanie między tymi dwojgiem, mimo iż żadne nie widziało drugiego na oczy przez wiele lat. Cóż, nigdy za sobą nie przepadali i już jako małe dzieci walczyli ze sobą, tak że musiałam im służyć za rozjemczynię. Czyżby zamierzali kontynuować tę rodzinną tradycję?

— Twój drogi małżonek, Cecyljo, uczynił coś niewybaczalnego: stanął pomiędzy mną i moim statkiem.

Odpowiedzią na słowa Franka było kolejne, głośniejsze nawet sarknięcie.

— Jak niby to zrobił?

— Odmawiając mi królewskiej zgody na opuszczenie Plymouth na pokładzie mej nowej jednostki, Mewy, w ramach następnej wyprawy Drake'a.

— Jaki powód podał? — wtrącił się znów ojciec, marszcząc brwi z dezaprobatą.

— Nie podał żadnego. Ale ja dobrze wiem, o co chodzi. Drake potrzebuje tylko jednego więcej statku i Wilbraham chce, aby był to statek jego syna. Dlatego odmawia mi oficjalnej zgody poświadczonej królewską pieczęcią, uniemożliwiając wyprowadzenie Mewy z portu.

— Którego syna? — zainteresował się ojciec. — Ma ich kilku, prawda?

— Czterech. Ale jego ulubieńcem jest Sebastian, którego spłodził z hiszpańską kochanicą.

Na wzmiankę o znienawidzonej kochance męża Cecylia zacisnęła pulchne dłonie w pięści i tupnęła nogą.

— Tę kobietę należy niezwłocznie odesłać do Sewilli! Ojczy, nie możesz mu pomóc? Nie możesz kazać jej usunąć?

— Nie, moja droga. Mogę za to uczynić coś o wiele lepszego, dla ciebie i Franka. Moi szpiedzy donoszą mi, iż Roger Wilbraham marzy o tym, by wyplątać się z więzów łączących go z naszą rodziną, oczywiście nie tracąc apanaży płynących z zajmowanych przezeń urzędów.

Słyszając to, zarówno Cecylia, jak i Frank rozpromienili się.

— Nic o tym nie wiedziałem — rzekł mój brat. — Nie wspomniałeś w listach do mnie...

— Sam do niedawna nie miałem o niczym pojęcia. Doniesiono mi jednak, że Roger zwrócił się do królowej o mianowanie go zbrojmistrzem portowym w Sluys, z którą to funkcją wiąże się roczny dochód w wysokości dwustu funtów i prawo do zaopatrywania w broń wszystkich angielskich statków stojących tam na kotwicy.

Sluys leżało w Niderlandach, gdzie miejscowa ludność wciąż burzyła się przeciwko twardym rządóm króla Filipa Hiszpańskiego i gdzie jak powiadano, protestanci byli prześladowani i mordowani setkami. Wciąż nosiłam w pamięci obrazy z dzieciństwa: spalenie naszego nauczyciela Jocelyna, bezwzględne mordy na anabaptystach we Frankfurcie. Położone w Zelandii Sluys wydawało mi się więc straszliwym miejscem. Mimo to Roger pragnął tam się udać, zapewne dlatego, iż można tam było zarobić pieniądze.

— Nawet jeśli wyjedzie z Anglii, pozostanie nadal mężem Cecylii, która bez wątpienia nie będzie chciała mu towarzyszyć — stwierdziłam, przenosząc wzrok na siostrę.

— Ojciec to wie! — warknęła. — I na pewno ma już gotowe rozwiązanie, nieprawdaż, ojczec? — ciągnęła tonem zarezerwowanym wyłącznie dla niego. — Znajdziesz sposób. Wierzę, że znajdziesz.

— Jeśli tylko zdołam, córko. Powiniennem z łatwością przekonać królową, by przychyliła się do jego próśby, choć wątpię, aby zgodziła się płacić mu dwieście funtów rocznie, których Roger się domaga, nie w sytuacji, gdy otrzymuje już od niej ładną sumkę z tytułu innych sprawowanych urzędów. Niestety, Cecylio, królowa nie jest w stanie zwolnić cię z przysięgi małżeńskiej. Do tego będziemy potrzebowali pomocy Kościoła.

— Przecież królowa jest głową Kościoła — przypomniał Frank. — Na pewno może wydać jaki dekret zechce.

Ojciec zgromił go wzrokiem.

— Sądysz, że Kościół to zabawka w rękach wpływowych mężczyzn... i kobiet? Nie! Kościół to uświęcona instytucja dana nam przez Boga. Tylko On może zdecydować, co jest właściwe, a co takie nie jest. Po to właśnie są dyspensy.

Znaliśmy ojca na tyle dobrze, by nie wdawać się z nim w dyskusje na temat religii, przeszliśmy więc bez słowa do wielkiej sali na wieczerzę. Perspektywa usunięcia z obrazka znienawidzonego Rogera Wilbrahama podziałała na wszystkich kojąco, tak że spędziliśmy resztę tamtego dnia jak rodzina, z lekkością w sercu, uśmiechem na twarzy i okazując na każdym kroku więcej dobrej woli niż w niejeden rok. Cieszyłam się w duchu, iż również moje położenie może się niebawem poprawić, i liczyłam na to, że rozwiążą się moje prywatne problemy. Nie umiałam jednak pozbyć się sprzed oczu widoku mego ukochanego z inną kobietą, w dodatku matką jego

dziecka, oraz kapryśnej królowej, wszystkowiedzącej i rządzącej wszystkim, trzymającej naszą przyszłość w swych zgrabnych rękach.

TLR

ROZDZIAŁ XXV

Mimo iż bardzo się starał, ojciec nie zdołał nakłonić królowej do mianowania Rogera Wilbrahama zbrojmistrzem portu Sluys. Kiedy wspomniał o dochodzie dwustu funtów na rok, królowa cisnęła dzbanem w obwieszoną tapiseriami ścianę i wykrzyknęła:

— Na zęby Pana, diakonie — od jakiegoś czasu przezywała ojca diakonem — za kogo mnie bierzesz, za Krezusa?

Ojciec zdzierzył jej zachowanie i zrećnie się uchylił przed lecącym dzbanem, lecz później, nie przebywając już w jej dostojnej obecności, był bliski klęcia w żywy kamień.

— Ta kobieta powinna była wyjść za króla Filipa, gdy miała okazję — burczał. — Potrzebny jej mąż, który by ją przywołał do porządku.

— Ale ojcze — odezwałam się — gdyby królowa poślubiła Filipa, Anglia byłaby teraz katolickim krajem. Z pewnością byś tego nie chciał...

Wzniósł oczy do nieba i wymamrotał coś niezrozumiale. Wiedziałam, że Elżbieta niemiłosiernie nadużywa cierpliwości mego ojca. Im starsza się robiła, tym trudniej z nią było wytrzymać.

Zaczęło być jasne, iż ojcu nie uda się przeprowadzić negocjacji z moim szwagrem Rogerem Wilbrahamem, machając mu przed nosem marchewką w postaci królewskiego nadania. Postanowiłam więc wkroczyć do akcji czy też raczej poprosić Roberta, by zrobił to w moim imieniu, wybawiając z opresji moje rodzeństwo.

Robert Dudley był najpotężniejszym człowiekiem na dworze królewskim, nawet mój ojciec to przyznawał. Mimo iż królowa nieraz się nań złościła i co rusz odbierała mu zaszczyty i przywileje, by za jakiś czas ponownie obsypać go podarkami, nikt nie miał wątpliwości, iż wysoki, władczy hrabia Leicester (którym do tego czasu się stał) był pierwszy pośród wszystkich dworzan i zdolny osiągnąć każdy zamierzony cel.

Udając się do Roberta z prośbą o pomoc, czułam się z początku niezręcznie. Nasze stosunki się zmieniły, zwłaszcza z powodu jego miłości — a może tylko namiętności? — do Douglass, jak również z tej prostej przyczyny, iż widzieliśmy się raptem kilka razy na przestrzeni ostatnich lat. Czułam się dziwnie i dlatego, iż nie zwykłam go o nic prosić. Jestem dość niezależna i polegam tylko na sobie. Nigdy nie postrzegałam go inaczej niż jako swego ukochanego, nigdy nie starałam się w żaden sposób wykorzystać naszej znajomości.

Odszukałam go w zatłoczonej komnacie gościnnej, gdzie jak się spodziewałam, musiał być. Podeszłam do niego niepewna, lecz ośmielona myślą o tarapatkach brata i siostry.

— Sir Robercie... — zaczęłam z bijącym sercem — chciałabym zamienić z tobą słówko...

Jego uśmiech był tyleż olśniewający, co rozbrajający — a jednak chyba dostrzegłam w nim odbicie swojej niepewności. Kiedy stanęliśmy we wnęce okiennej, do której mnie podprowadził, aby nikt z obecnych nie podsłuchał naszej rozmowy, zwrócił się do mnie ostrożnymi słowy, wszelako w jego głosie, w tym głosie, który tak mocno pokochałam, wyczułam ciepło. Moje wątpliwości jęły topnieć.

— Droga Letycjo — rzekł tylko. I znów powtórzył: — Droga Letycjo...

— Sir Robercie — podjęłam z lekkim jękaniem — moja siostra Cecylia... to znaczy mąż Cecylii...

— Roger Wilbraham.

— Tak, on. Moja rodzina ma nadzieję... — westchnęłam i spróbowałam inaczej. — Moja rodzina ufa, iż znajdzie się sposób...

— Twój ojciec już mi przekazał żądanie Wilbrahama... gdyż jest to żądanie w ustach kogoś, kto tak jak on ma się za niezastąpionego... aby uczynić go zbrojmistrzem Sluys. I opłacać niebotycznie wysoko.

— Tak. Z tym że Cecylia chętnie się go pozbędzie. Bardzo liczy na anulowanie małżeństwa. Zmarszczki na szerokim czole Roberta pogłębiły się.

— Królowa nie dba o Rogera Wilbrahama, nigdy jednak nie uczyni nic, co by sprawiło przyjemność twojej siostrze. Żywi do niej awersję.

— Wiem. I to od dawna.

— Najlepszy sposób na Elżbietę to odwrócić jej uwagę. Wystrzelić fajerwerki, pokazać jej palcem na niebie, przykuć jej zainteresowanie, po czym gdy nie myśli o niczym innym, podsunąć jej papier do podpisania. Niezbyt wyszukana metoda, a jednak stosowana przez wszystkich członków rady królewskiej.

— A jakie tym razem będą te fajerwerki? — spytałam, radując się ognikami w oczach Roberta.

— Nie mam pojęcia. Ale dla ciebie, Letycjo, na pewno coś wymyślę.

Z tymi słowy na ustach zostawił mnie samą i wrócił na środek sali, by wmieszać się w tłum urzędników, pisarczyków, prawników i petentów zgromadzonych w komnacie gościnnej królowej.

Dopiero po kilku dniach otrzymałam od Roberta krótki list, w którym wzywał mnie do stawienia się w miejscu, w jakim nigdy jeszcze nie byłam: w Southwark, odległej części Londynu po drugiej stronie szerokiej, cuchnącej rzeki. Obiecał, iż zapewni mi eskortę.

Dlaczego właśnie tam? zastanawiałam się. Southwark miało bardzo złą reputację jako siedlisko złodziei, oszustów i aktorów. Nie mówiąc nikomu, dokąd się wybieram, narzuciłam

pelerynę i wzięłam na trzewiki ciężkie buty, po czym czekałam na pojawienie się służących Roberta.

Wieki trwało, zanim przeprawiliśmy się na drugą stronę Mostu Londyńskiego, tak gęsty był tłum otaczający nasz powóz; ze wszystkich stron cisnęli się pokrzykujący kramarze, nosiciele wody i nawet pasterze, usiłujący doprowadzić swoje owce na targ w Smithfield. Prymitywne pojazdy przed nami psuły się i musiały być naprawiane po drodze, juczne konie gubiły pakunki, a roześmiane dzieci wspinały się na stopnie powozu i zaglądały do środka przez okienka, domagając się drobnych monet.

Eskorta Roberta składała się z dwóch młodych mężczyzn w eleganckich liberiach i nieprzyzwyczajonych do zgiełku, smrodu i innych nieprzyjemności towarzyszących pokonywaniu mostu. Jeden dostał mdłości, drugi natomiast, choć pozieleniał na twarzy, zdołał zatrzymać obiad w żołądku. Ja celowo skupiałam się na widoku rzeki — kapiących od zdobień barkach wielmożów i urzędników dworskich, zgrabnych łódeczkach kupców, podskakujących w górę i w dół na targanych wiatrem falach, i wyposażonych w liczne wiosła promach przewożących chętnych z jednego brzegu na drugi przy wtórze głośniego śpiewu i pogwizdywania wioślarzy.

Woda pod mostem była ciemna i mętna. Pomyślałam o wszystkich jej ofiarach, o uciekinierach, którzy usiłowali przepłynąć rzekę, byle znaleźć się dalej od gwardzistów królewskich, a kończyli jako topielcy w wirujących odmętach. Pod mostem czekała śmierć, co do tego nie miałam wątpliwości; niestety śmierć czaiła się także na moście, w postaci szczerzących się czaszek, doczesnych szczątków skazańców zawieszonych na widoku po to, by odstraszały innych i powstrzymywały przed łamaniem praw królestwa i występowaniem przeciwko władzy panującej królowej.

Gdy wreszcie dotarliśmy na odległy drugi brzeg, odór rzeki zmieszał się z cuchnącymi woniami rynsztoków i stert gnijących wnętrzności wyrzucanych wprost na bruk z jatek. Wyczułam ledwie uchwytny zapach kwiatów pomieszany z trudnym do zniesienia, słodkawym smrodem rozkładającego się ciała. Martwe zwierzęta, martwi i umierający biedacy, nadpsute ryby i wszechobecny brud — taka była wizytówka Smithfield. Przestałam się dziwić, że sprowadzono tu niedźwiedzie, aby walczyły z mastyfami. Podobnie okrutne rozrywki pasowały do tego miejsca, gdzie nawet ludzie wiedli życie w ohydzie i tylko najprymitywniejsze, najpodlejsze zabawy miały rację bytu.

Ku memu przerażeniu powóz zatrzymał się przy arenie do walk niedźwiedzi.

— Sir Robert do nas tutaj dołączy — usłyszałam. — Powinien zjawić się niedługo.

Tymczasem los chciał, iż dołączył do nas nie Robert, tylko mój niemiły szwagier Roger Wilbraham.

Przez lata prymitywny, czerwonolicy Wilbraham nabrał ciała, lecz nie zrobił się ani trochę mniej nerwowy, pozostał cholerykiem, jakim zawsze był, i nie okazywał swojemu otoczeniu ani odrobiny uprzejmości. Przysiadł ciężko na ławie, z której miał dobry widok na arenę, po czym nawet się nie oglądając na mnie, mimo iż byłam niedaleko, rzucił w przestrzeń do nikogo w szczególności:

— Sir Robert niebawem nadejdzie.

Następnie sięgnął za pazuchę i wyjął torebkę z jakimiś słodkościami, które wkładał kolejno do ust, nie odrywając spojrzenia od areny, gdzie pacholkiwie grabili ziemię przed zbliżającą się walką.

Zrobiło mi się tak nieprzyjemnie jak rzadko i byłam bliska zabrania się stamtąd, wszakże to Robert po mnie posłał, a jemu ufałam. Zwalczyłam więc pokusę odejścia, wierząc, iż Robert dba o interes mego rodzeństwa i chce nam pomóc. Siedziałam tam bez ruchu, kiedy wyprowadzano na arenę niezgrabnego niedźwiedzia brunatnego i rozległy się pierwsze wściekłe szczeknięcia mastyfów, przybierające na sile z każdą chwilą, mimo iż psy pozostawały niewidoczne dla gromadzącego się tłumu.

Dwaj strażnicy zajęli miejsca po obu moich stronach, oddzielając mnie od napierającego tłumu, hałaśliwej zbieraniny londyńczyków i cudzoziemców, w większości mężczyzn, choć tu i ówdzie błysnął w ciżbie przybrudzony czepek kobiety niższego stanu — nigdzie nie dostrzegłam żadnej damy. Pomędzy rozochoconymi widzami przeciskali się kramarze wyśpiewujący i wykrzykujący rymowane zachęty do zakupienia ich towarów, machający różnościami i przekąskami, tanimi wachlarzami i mieszkami, w nadziei że znajdzie się klient.

Niedźwiedzia przywiązano do żelaznego pręta pośrodku areny i wpuszczono psy. Bestie na razie miały założone kagańce, ale ich opiekunowie i tak starali się trzymać poza zasięgiem uźębionych paszczy. Mimo iż znajdowałam się daleko, nieco ponad areną, i byłam odgradzona od zwierząt solidnym wysokim płotem, odruchowo się cofnęłam. Zauważyłam jednak, iż Roger Wilbraham nawet się nie wzdrygnął, przeciwnie, pochylił się ku przodowi, gdy pojawiły się psy, jak gdyby chciał wziąć większy udział w mającym się odbyć krwawym przedstawieniu.

W pewnym momencie zapanowało zamieszanie, którego powodem okazał się sir Robert wraz z towarzyszącym mu oddziałem gwardzistów i nie znanym mi mężczyzną. Człowiek ów był młody, miał szerokie czoło i szczerą, miłą twarz okoloną rudawą brodą.

W tłumie rozległy się syki. Roberta powszechnie się bano, każdy wiedział, iż Dudley to prawa ręka królowej i jako jej zausznik wiele może. A jednak go nie lubiano. Posykiwania ucichły, dopiero gdy rozejrzał się wkoło, próbując namierzyć oszczerców. Ale gdy zaczął iść w moim kierunku i przestał wodzić spojrzeniem po ciżbie, szmer rozległ się na nowo, i to jeszcze silniejszy.

Zbliżył się i powitał mnie sztywno, aczkolwiek miło, jak zawsze, podczas gdy jego gwardziści pośpieszyli opróżnić jedną ławkę z gapiów, aby zrobić miejsce dla niego i jego kompana. Roger wstał i dołączył do nas.

— Mości hrabio — odezwał się, unosząc brew. — Gdybym na własne oczy nie widział wiadomości od ciebie, wzywającej mnie do spotkania się z tobą tutaj, nigdy bym nie pomyślał, że można się na ciebie natknąć w Southwark. W dodatku w tak wybornym towarzystwie.

— Kapitan Drake mieszka nieopodal — rzekł tylko Robert.

Zatem nie znanym mi mężczyzną był marynarz i poszukiwacz przygód, cieszący się łaskami królowej osławiony Francis Drake!

— Nieopodal areny do walk niedźwiedzi? — zdziwiłam się. Nie potrafiłam uwierzyć, iż ktoś tak ceniony może mieszkać w podobnie parszywej dzielnicy.

— Kapitanie Drake — Robert przemówił, zanim ten miał okazję odpowiedzieć — mam zaszczyt przedstawić cię damie, która jest wielce ciekawa z natury. — Uśmiechnął się wyrozumiale, czule.

— Ależ to siostra Franka Knollysa, mam rację? — powiedział Drake, patrząc prosto na mnie. Trudno go było dosłyszeć pośród ogólnego harmideru, ale i tak zauważyłam wyrazisty akcent z Devonu, który nieco mnie zaskoczył. — Twój brat, pani, jest wyśmienitym żeglarzem.

— Ciesz się, iż to mówisz, panie — odkrzyknęłam. — Mój brat wielce sobie ceni możliwość żeglowania z tobą. W rzeczy samej rozmawiałam z nim niedawno i wspomniał wtedy, iż zamierza znów z tobą gdzieś popłynąć, o ile nie pojawią się przeszkody.

— Oczywiście, że się nie pojawią — wpadł mi w słowo Robert. — Mój przyjaciel Francis wie, że ja i mój mieszek jesteśmy gotowi usuwać przeszkody, zawsze i w każdy sposób. A w zamian wynagrodzi mnie... i Franka także... częścią zdobycznego złota i srebra przywiezionego w lukach statków.

Walka między groźnym niedźwiedziem i psami właśnie się rozpoczęła. Brązowy olbrzym posłał jednego mastyfa w powietrze samym machnięciem potężnej łapy. Pies skowycząc padł na ziemię, gdzie leżał i krwawił, nadaremno podejmując wysiłki stanięcia znów na czterech łapach. Lecz i niedźwiedź zaczął odnosić rany, w miarę jak psy bezlitośnie szarpały go za futro i ciało. W pewnym momencie z jego pyska wydarło się ogłuszające, gardłowe warknięcie, co spowodowało pośród tłumu wiwaty i głośnie brawa.

Roger także warknął.

— Mój syn Sebastian popłynie na następną wyprawę kapitana Drake'a. Nie będzie miejsca dla innych.

Robert ściągnął z palca pierścień z rubinem i podał go kapitanowi.

— Myślę, że da się za to kupić parę bochnów chleba i parę jardów płótna na żagle.

Drake uśmiechnął się, odbierając odeń pierścień. Nasunął go sobie na palec i odrzekł:

— Dziękuję, wasza miłość.

Roger zaczął się niezgrabnie mocować z własnym palcem, w końcu zerwał pierścień i wyciągnął go w stronę kapitana, który popatrzył nań z lekkim uśmiechem, lecz ani drgnął.

— Za pierścień hrabiego zakupię znacznie obfitsze zapasy — stwierdził tylko.

— Mam więcej pierścieni. Więcej bogactw. — Wilbraham nie ustępował. — Gdybyś pozwolił mi je zaprezentować, na przykład jutro...

Tymczasem Drake uniósł rękę, by uciszyć mego skamlącego szwagra.

— Trzeba by bogactwa, jakiego nigdy nie posiadasz, by kupić twemu synowi miejsce na mojej wyprawie... o co jak mniemam, ci chodzi.

Niedźwiedź, potrząsając łbem z rozdrażnienia i bólu, prysnął śliną i krwią dookoła, również na psy robiące bokami. Zaszczute zwierzę pozbyło się jeszcze dwóch ciemżycieli, ale słabło z każdą chwilą. Gapie zaczęli żywiej pokrzykiwać, tu i ówdzie wdając się w bójki.

— Nie rozpaczaj jednak — wtrącił Robert. — Masz coś, co możesz zaoferować zamiast złota.

— Co to takiego?

— Twoja zgoda na unieważnienie małżeństwa. Oczy Rogera się rozszerzyły.

— Coś takiego jest możliwe?

— Za sprawą królowej tak. — Robert wyczarował skądś dokument, złożony we troje i zaopatrzony w pieczęć wiszącą na sznureczku. — Kiedy to podpisze, ty i Cecylia przestaniecie być mężem i żoną.

— A podpisze?

— Jeśli ją ładnie poprosimy. Przybądź jutro do Greenwich, a przy odrobinie szczęścia wszyscy będą zadowoleni.

Powietrze rozdarł ryk, gdy wielki niedźwiedź postawił niepewny krok, zachwiał się na krótkich tylnych łapach, zamachał na próżno przednimi i przewrócił się. Pozostałe przy życiu psy ujadły wściekle, okrążając zakrwawione truchło i obnażając zęby.

Kiwając głową na zgodę, Roger Wilbraham wstał, pożegnał się z nami zdawkowo i zaczął oddalać. Mruczał przy tym pod nosem:

— Prawie wcale nie walczył. Zakład nie był wart tych pieniędzy...

Na naszych oczach odciągnięto ranne i dogorywające psy, wprowadzono i przywiązano nowego niedźwiedzia, starego zaś — owiniętego łańcuchami i sznurem — usunięto z niemałym trudem, podczas gdy pachołkowie grabili ziemię, przygotowując arenę do kolejnej walki.

ROZDZIAŁ XXVI

W apartamentach królowej huczało od plotek o tym, iż mąż Douglass Sheffield nie żyje.

— Został otruty — poinformowała resztę dworek Cecylia. Ton miała obojętny, lecz przepełniony pewnością. — I to przez twojego kochanka — dodała, spoglądając na mnie.

Nigdy jej się nie przyznałam, iż Robert i ja zostaliśmy kochankami, ale moja siostra była przebiegła, sama się tego domyśliła. Nie zaprzeczałam prawdzie ani nie potwierdzałam niczych podejrzeń. Tym razem także powiedziałam tylko:

— Na tym dworze jest stanowczo za dużo plotek. Z czego większość nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

— Twój Robert Dudley zamordował żonę, aby móc poślubić królową. Ale że go nie chciała, musiał jeszcze zamordować męża Douglass, aby się z nią ożenić! Wszyscy wiedzą, że Douglass urodziła jego dziecko, chociaż biedne maleństwo żyło nie dłużej niż kilka dni... a może było to kilka godzin?

Splodzone z Douglass dziecko Roberta, to, które moim zdaniem było uosobieniem „samych kłopotów”, rzeczywiście nie zabawiło długo na tym świecie. Nikt nie wie, jak długo dokładnie, ponieważ zarówno Douglass, jak i jej córeczka przebywały na prowincji, tak że wiadomość o zgonie dotarła do nas dopiero po paru tygodniach.

Baron Sheffield był wściekły na żonę, takie przynajmniej krążyły słuchy, za to, iż jej liczne zdrady ukoronowały narodziny bękarta. Rozmawiał z prawnikami o rozwodzie, który okryłyby hańbą zarówno samą Douglass, jak i ojca jej dziecka — prawdopodobnie Roberta — lecz nagle dopadły go niesłychanie silne bóle i przywiodły do śmierci.

— Powiadają, że koniec miał straszny — wtrącił swoje trzy grosze stary Whaffer. — Ponoć cierpiał katusze. Zrobił się cały czerwony i nie mógł zaczerpnąć tchu. W trzewiach go paliło, jakby ktoś mu wsadził rozżarzony do białości pogrzebacz w...

— Dosyć! — przerwała mu ostro jedna z kobiet. — Nie chcemy znać więcej szczegółów. Będziemy się modlić za duszę nieszczęsnego.

— I za duszę człowieka, co do tego doprowadził — dodał Whaffer. — Co sprawił, że baron Sheffield za życia znalazł się w piekle i zadusił na śmierć.

— To pewnie ten truciciel sir Roberta — oznajmiła pani Clinkerte. — Ten doktor Julio. On musiał czegoś dosypać baronowi Sheffieldowi do jedzenia.

Włoski lekarz Roberta był obwiniany o niejedną tajemniczą śmierć na dworze królewskim, mimo iż nikomu nie udało się udowodnić jego złych zamiarów. Włochów podejrzewano z zasady,

tak na wszelki wypadek. Każdy Włoch był potencjalnym złoczyńcą z tego względu, iż należał do nacji oszustów i trucicieli. W tym konkretnym wypadku jednak doktora Julio oskarżano o nieczne uczynki z powodu jego konszachtów z sir Robertem. Albowiem rozeszła się wieść, iż królowa szpieguje zarówno jego, jak i jego ludzi. Niespodziewana śmierć barona Sheffielda zdawała się uzasadniać decyzję Elżbiety.

Mimo iż bardzo się starał, Robert nigdy nie oczyścił się całkowicie z zarzutów po śmierci jego żony Amy. Brat zmarłej, John Appleyard, pogorszył tylko sprawę, rozpowszechniając pogłoskę, iż Robert zaiste odpowiadał za śmierć Amy i po fakcie opłacił go, aby nie ujawnił prawdy.

Nie dawałam wiary plotkom i otwarcie to mówiłam.

— Nie opowiadaj niestworzonych rzeczy o zaufanym doradcy królowej, Cecyliu. Pozostaw to innym, których nie brakuje — rzekłam wyniośle. — Hrabia Leicester zajmuje znaczną pozycję i jest bardzo szanowany, co zawsze wzbudza zawiść i oszczerstwa. Gdyby królowa tu była, skrzyczałaby nas za to, że kłamiemy. Poza tym jesteś ostatnią osobą, która powinna występować przeciwko sir Robertowi. Jesteś mu winna wdzięczność, albowiem uwolnił cię od małżonka i wspomógł naszego brata Franka w jego przeprawie z Wilbrahamem. Chyba nie wątpisz, iż zrobił to wszystko?

Nazajutrz po walce niedźwiedzi Robert spotkał się z Rogerem Wilbrahamem w Greenwich, jak zostało umówione, i po dalszych negocjacjach i przekupstwach ogłoszono unieważnienie małżeństwa Cecylii. Natomiast Frankowi było wolno opuścić port w Plymouth na jego Mewie, z tym że osiągnięty kompromis wymagał, aby znalazło się miejsce dla syna Wilbrahama, Sebastiana. Niewdzięcznością było nie doceniać tego wszystkiego i powiedziałam to siostrze prosto w oczy.

Byłam nieugięta, broniąc Roberta, choć po prawdzie wiadomość o zgonie barona Sheffielda wyprowadziła mnie z równowagi. Czyżbym myliła się co do ukochanego? Czy to możliwe, iż był mordercą wykorzystującym innych, takich jak John Appleyard i doktor Julio, do wprowadzania w czyn niecznych planów?

Sądziłam, iż znam Roberta lepiej niż inni. Kiedyśmy byli razem — co ostatnio zdarzało się niestety bardzo rzadko — i nasze ciała wtapiały się w siebie z taką intensywnością, iż brakowało mi tchu, miałam wrażenie, iż stajemy się jednością. Nie wyobrażałam sobie, abym mogła być z kimś bliżej niż z nim.

Czułam się tak, jakbyśmy obnażyli przed sobą najgłębszą istotę swego jestestwa. A może jednak była to tylko iluzja powstała wskutek niesłychanej namiętności, która nas połączyła? Wiedziałam bowiem, iż Robert należy do mężczyzn, jakich nigdy nie da się okiełznać; mężczyzn, których pasja nie zna granic i którzy są zdolni zerwać każde krępujące ich więzy. Była w nim jakaś

dzikość, którą nigdy się ze mną nie dzielił. Z pobytu na dworze królewskim — w tym labiryncie ułudy — wyniosłam naukę, iż wbrew samym sobie my, ludzie, jesteśmy pełni fałszu. Oszukujemy nawet samych siebie. I bardzo często wpadamy we własne splecione sidła, w sieć kłamstw i złudzeń.

Robert mnie kochał i ja kochałam jego. A mimo to szukał miłości u innych kobiet, nie tylko u Douglass Sheffield, ale i u jej siostry, jak powiadali niektórzy. Bez wątpienia było wiele innych. Nie zwodziłam się myślą, iż pozostaje mi wierny — bo też niczego podobnego mi nie przyrzekał. Dawał mi tyle swego uczucia, ile mógł, a ja wiedziałam, iż musi mi to wystarczyć.

Czy zatem był także zdolny do ukrywania przede mną prawdy o tym, iż jest mordercą?

— Jestem taki słaby, Letycjo! Taki słaby! — westchnął Robert, padając z nóg po uccie wydanej przez królową na cześć francuskiego ambasadora.

Klapnął na wyłożoną poduszkami ławę i zgrzytając zębami, odpiął wysadzaną szlachetnym kamieniem kłamrę lewego trzewika. Jęczał i krzywił się, wysuwając stopę z buta, po czym wyćwiczonym ruchem położył mi ją na kolanach.

— Rozmasuj, Letycjo — poprosił. — Tak mnie boli!

Ledwie tknęłam jego biedną obolałą stopę, a on już krzyczał:

— Auć!

Popiskiwał jak przepędzony kot przybłęda, cofając bolącą nogę.

— To pewnie przez te wszystkie tańce — stwierdziłam, czekając, aż znów ułoży stopę na moim podołku. — Muszę przyznać, iż dzisiejszego wieczora nie byłeś tak zwinny jak zazwyczaj.

— Nienawidzę tańców! Nienawidzę dworu! Nienawidzę Londynu! A niech to, Letycjo! Chcę pożegłować z Frankiem i już nigdy nie zobaczyć tego miejsca ani żadnego człowieka...

— Nawet mnie?

— Ty możesz pożegłować ze mną.

Niezwykle delikatnie, aby go nie urazić, jęłam masować stopę, zaczynając od pięty i powoli przechodząc wyżej, w kierunku miejsca, które jak wiedziałam, jest najwrażliwsze: do zaczerwienionego i napuchniętego dużego palca. Zanim doń dotarłam, usłyszałam, jak Robert wciąga ze świstem powietrze i wiedziałam, iż nie wolno mi posunąć się dalej.

— Zielarz powiada, że złe wieści zaogniają opuchliznę.

— Czy to ten sam zielarz, który sporządził dla mnie ten ohydny dekolt z ciepłych sików?

— Ten sam. Królowa za niego świadczy. Pomógł jej wyleczyć się z ospy.

— Bzdura! Sama się wyleczyła! Była zbyt rozgniewana i zadufana w sobie, aby umrzeć. W życiu nie znałam podlejszej i mniej stałej kobiety. Zgorzkniała, zawistna stara kłępa!

Wiedziałam, iż Robert, tak dalece wyprowadzony z równowagi, nie mówi tego, co naprawdę czuje do królowej, której był zawsze wierny i oddany. Bardzo cierpiał i to ten ból czynił go ciętym

i pełnym jadu. W ten sposób płacił za zabawianie gości na ucztę — po zakończonej wieczerzy wziął wraz z bratem Ambrożym udział w maskaradzie zatytułowanej „Złoto Azteków”, w której odtwarzali główne role rabusiów kradnących pokaźny skarb. Dopiero po licznych tańcach odrzucili wierzchnie kostiumy, by okazać się książętami.

— Nie jest stara — zaprotestowałam. Nie zareagowałam na jego pozostałe słowa. — Jeszcze nie.

Robert był najwyraźniej wycieńczony, a nie tylko obolały, ale dopiero gdy odchylił głowę do tyłu, przymykając okolone rudymi rzęsami oczy, uświadomiłam sobie, iż jego zmęczenie wynika z czegoś więcej niż tylko popis taneczny według skomplikowanych i wymagających kroków. Wydawał się znużony, jakby od dawna nie spał. Jego włosy i broda prosiły się o strzyżenie. Byłam skłonna przyznać rację zielarzowi, iż opuchlizna na palcu zwiększa się, ilekroć Robert otrzymuje złe wieści.

Gładziłam nabrzmiałą stopę z taką delikatnością i z takim uczuciem, na jakie mnie było stać, i domyślałam się z westchnień Roberta, iż przynoszę mu ulgę. Nagle otworzył szeroko oczy.

— Dziękuję, najdroższa Letycjo.

Wymieniliśmy uśmiechy kochanków, na co zmarszczki na jego czole nieco się wygładziły.

— Szkoda, iż nie możesz wyrwać się z dworu na jakiś czas — rozmyślałam głośno. — Szkoda, iż nie możesz udać się w jakieś miejsce, gdzie nie docierałyby wstrętne plotki.

— Nie wierzysz w nie, prawda, Letycjo? Nie wierzysz w to, co mówią o doktorze Julio i śmierci barona Sheffielda?

— O śmierci barona nic mi nie wiadomo ponad to, iż odszedł w wielkim cierpieniu.

— Ledwo go znałem — oświadczył Robert, siadając prosto i zaczynając wkładać but.

Wyrezyłam go w tym zadaniu, najpierw ostrożnie naciągając jedwabną pończochę, a później trzewik i zapinając kosztowną klamrę. Staralam się nie zwracać uwagi na grymas bólu malujący się znów na jego twarzy. Nie było nań rady. Nie mógł przecież chodzić boso po pałacu. Zresztą nawet gdyby się na to zdobył, i tak by utykał.

Popatrzyłam mu w oczy.

— Ożenisz się z Douglass? — zapytałam.

— Nie jest tą, którą bym wybrał, gdybym mógł wybierać. — Głos miał łagodny, pełen uczucia. Jego spojrzenie mówiło mi, iż to mnie faworyzuje. A jednak była jeszcze tamta...

— Zawsze myślałam, iż twoją wybranką jest królowa.

— A, królowa! Mężczyzna, który ją poślubi, będzie miał ręce pełne roboty, tyle mogę ci powiedzieć. Wiesz, że Francuzi mają na nią chrapkę? Chcą ją wydać za księcia Franciszka, dość młodego, by był jej synem! Ambasador kilkakrotnie poruszał tę sprawę z jej doradcami.

Zawahałam się, zanim spytałam:

— A czy ona jest chętna?

Robert zaklął.

— Lubi go. Pisują do siebie. Po łacinie, jak mi mówi. Czasami dopisuje coś w grece. Podoba jej się to. Ma takie małe dziwactwo, jest żadna wiedzy. Pewnie po ojcu. Uwielbia mówić i pisać w antycznych językach oraz wierszem.

Doskonale wiedziałam, iż Robert nie przejawia scholastycznych inklinacji. Najlepsze lata, które mógł przeznaczyć na naukę, spędził w Tower, co często podkreślał. W lochu raczej nie uczyłaciny ani greki.

— Och, Letycjo — westchnął ciężko. — Ciekawe, jak po łacinie będzie duży czerwony palec u nogi, który boli jak diabli. Muszę pójść i zapytać o to królową.

ROZDZIAŁ XXVII

Czterdzieste urodziny Elżbiety przypadały we wrześniu tysiąc pięćset siedemdziesiątego trzeciego roku i chociaż zaplanowano wspaniałe uroczystości z tej okazji, jak co roku, nikt nie śmiał wspomnieć o wieku królowej.

Gdyż czterdziestoletnie kobiety były stare — albo rychło miały się takimi stać. Albo też, jeśli nawet wciąż pozostawały młodzieńcze, na ogół nie mogły już mieć dzieci. Zatem powszechnie uznawano, aczkolwiek znowuż nikt nie mówił tego głośno, iż przekroczywszy czterdziestkę, Elżbieta nie będzie w stanie wydać na świat potomka, nawet gdyby zdecydowała się wyjść za mąż.

Z tego co mi było wiadomo, pani Clinkerte zachowywała w sekrecie prawdę o faktycznej dyspozycji królowej — tajemnicę o tym, iż królowa nie jest taka jak inne kobiety i nie może urodzić dziecka, zawierzyła tylko mnie przed laty, a ja od tego czasu nie podzieliłam się nią z nikim, nawet z Robertem.

Postępujące lata, bezdzietność, gderliwość — a teraz jeszcze zbliżające się czterdzieste urodziny. Doprawdy nie miałam czego zazdrościć swojej pani i monarchini.

Wszelako zaprzętały mnie inne, własne sprawy — bardzo poważne, jak mi się wtedy zdawało. Nie problemy rodzinne, na szczęście. Moje córki były zdrowe i rosły na wysokie i urocze panny: Penelopie nie brakowało ognia (ognia Boleynów, jak twierdzili niektórzy), Dorotę zaś przepelniała czułość i zdrowy rozsądek. Mój mały Robert pewnie dosiadał swego kucyka, machając biczykiem po obu jego bokach, kiedy pacholek oprowadzał ich po dziedzińcu.

Moje dzieci kwitły, ale moje małżeństwo usychało. Walter większość czasu spędzał z dala od domu, w Irlandii, gdzie jak słyszałam, utrzymywał kochankę. Za sprawą długich lat w służbie królowej — oraz wpływów Roberta — mój mąż został wyniesiony do godności hrabiego Esseksu, z którą w parze szły rozległe ziemie i majątki. Zostałam więc hrabiną Esseksu, mimo iż nigdy nie dążyłam do polepszenia swojej pozycji i ani mi było w głowie być wielką damą. Ojciec, nieufny wobec wszelakiego rodzaju ziemskich zaszczytów, był pełen dezaprobaty z powodu tego wyniesienia, a Cecylię jak zwykle zżerała zazdrość. Tyle dobrego, iż moja siostra pozbyła się niekochanego męża Rogera Wilbrahama dzięki przemyślnym machinacjom Roberta, a Frank cieszył się swobodą na morzu pod komendą kapitana Drake'a — aczkolwiek wciąż był skłócony z Wilbrahamem i jego synem z nieprawego łoża, który zabiegał o względy kapitana i dominację na wyprawie. Modliłam się, aby ta rywalizacja nie sprowadziła na nich nieszczęścia.

Niedługo przed uroczystościami obchodów urodzin Elżbiety spostrzegłam, iż Douglass, wdowa po baronie Sheffieldzie (która wskutek nacisków Roberta została dworką królowej), nosi pierścień mego ukochanego.

Rozpoznałam klejnot, jak tylko go zobaczyłam — wielki, imponujący pierścień ze złota z osadzonym błyszczącym szafirem okolonym brylancikami. Nieraz widywałam go u niego na palcu. Powiedział mi nawet, iż to jego dziedzictwo, pamiątka rodzinna po zmarłym dziadku.

To, iż teraz nosiła go Douglass, mogło znaczyć tylko jedno. To, czego obawiałam się najbardziej: że ona i mój Robert się pobrali.

— Zatem ożenił się z tobą? — Moje pytanie zaskoczyło ją, gdy wywiązywała się ze swych codziennych obowiązków w apartamentach królowej. Pozostałe dworki wycofały się dyskretnie, wyczuwając nadciągającą awanturę.

Douglass zarumieniła się, potem zwiesiła głowę.

— Zajęło mu to dwa lata, ale tak, Robert Dudley został w końcu moim mężem.

— Jak to: dwa lata?

— Dwa lata temu poprosił mnie o rękę. Teraz wreszcie mnie poślubił.

Zerknęłam na jej talię i po raz pierwszy zauważyłam wiele mówiące zgrubienie.

— Z powodu dziecka, które nosisz? Skinęła głową.

— Chyba wiesz, iż to mnie darzy miłością? Sądziłam, iż skrzywi się albo nawet wybiegnie z komnaty. Nie uczyniła jednak nic takiego.

— Wierzę, iż kocha nas obie — odparła. — Ale ty byłaś mężatką, a ja wdową.

Kiedy doprowadziłam do konfrontacji z Robertem, zaprzeczył, jakoby był żonaty z Douglass.

— Uważa tak, gdyż padły między nami słowa o małżeństwie. Ale nie było żadnego ślubu. Nie było księdza, który wysłuchał naszej przysięgi. Nie było świadków, przynajmniej wiarygodnych, bo trudno za takich uznać jej krewnych. A zresztą kto dziś umie powiedzieć, czym jest małżeństwo? Sama widziałas, z jaką łatwością królowa rozwiązała małżeństwo twojej siostry i Rogera Wilbrahama. Wystarczyło podpisać papier!

— Skoro twierdzisz, iż nie jesteś mężem Douglass, co naprawdę między wami zaszło? Dlaczego w ogóle wypowiedziałeś te słowa?

Robert potrząsnął głową.

— Letycjo! Przecież ją znasz! Nigdy by mnie nie zostawiła w spokoju! Zameęczała mnie!

Jeśli mam być szczerą, wcale nie uważałam Douglass za zmorę. Moim zdaniem była raczej uległa niż namolna. Nie sprzeczałam się jednak z Robertem. Nie stałam za nimi podczas ich prywatnej uroczystości — o ile odbyła się jakaś uroczystość.

— Zrobiłeś to z powodu dziecka?

Milczał przez chwilę. Gdy się już odezwał, powiedział:

— Pragnę syna, Letycjo, nawet jeśli będzie z nieprawego łoża.

— Poprzednie dziecko zmarło.

— To, mam nadzieję, będzie żyło.

Dziecko, które Robert spółdził, a Douglass urodziła — chłopiec imieniem Robert — przyszło na świat w aurze niepewności. Douglass nadal zarzekała się, iż jest żoną Roberta Dudleya, podczas gdy on utrzymywał, iż nigdy jej nie poślubił.

Co do mnie, byłam pewna tylko jednego: że Robert mnie kocha i że ja Kocham jego, i że nic — ani słowa wypowiedziane w obliczu niewiarygodnych świadków, ani gniew królowej, ani nieprzychylność mojej rodziny, ani nawet protesty Douglass i jej nieślubny syn — absolutnie nic nie jest w stanie nas rozdzielić.

ROZDZIAŁ XXVIII

Był najgorętszy dzień upalnego lipca, a my właśnie byliśmy w drodze do wspaniałego zamku Roberta w Kenilworth. Powóz podskakiwał i trzął się, pokonując wąski trakt, tak podziurawiony koleinami, iż równie dobrze moglibyśmy się znajdować na cuchnącej uliczce w Southwark.

— Na zęby Pana! — wykrzyknęła królowa, kiedy powóz podskoczył na wyjątkowo dużym wyboju i opadł gwałtownie, zmuszając ją do przekleństwa i złapania się za udo przez niezliczone

warstwy jedwabiu i koronki. — Jestem cała posiniaczona! Czyż ten człowiek nie umie wytyczyć równego traktu? Chwali się, ile to pieniędzy wydał na renowację zamku, który ode mnie dostał, a nie stać go, żeby zapełnić czymś dziury, w które musimy wpadać, by się tam dostać!

Robert faktycznie chwalił się każdemu, komu mógł, ile pieniędzy wydał na odnowienie Kenilworth, zdecydowanie najbardziej imponującej z wszystkich jego siedzib. W ciągu paru lat, które minęły od ostatniej wizyty królowej, przeznaczył cały dochód z lukratywnych licencji na import towarów na wybudowanie czworaków dla służby i nowych stajni zdolnych pomieścić co najmniej pięćset koni. Wiedziałałam od niego, iż same wpływy z licencji na import atlasu i oliwy, porzeczek i słodkich win wystarczyły na opłacenie robotników, natomiast wpływy z nowego podatku klepkowego (na towary wwożone w beczkach) pokryły zakup żółtego marmuru prosto z kamieniołomu i cisowego drewna do postawienia strażnicy i położenia długiego podejścia do głównych drzwi. Wszakże przerobienie kominków w setkach zamkowych komnat, dużych i małych, wymagało już zaciągnięcia pożyczek, w tym od Francisa Drake'a, który z ostatniej wyprawy na Wyspy Korzenne przywiózł nie lada fortunę w postaci sześciu ton goździków i był gotów robić za bankiera Dudleya.

Wszystko to miałam w pamięci, gdyśmy kolebali się wyboistą drogą i królowa na przemian przeklinała i wygłaszała gniewne tyrady przy każdym mocniejszym szarpnięciu i wstrząsie.

Bez względu na to jednak, jak bardzo się bogacił, Robert Dudley popadał w coraz większe długi. W niczym nie przypominał Waltera, który dokładnie oglądał każdą monetę, zanim ją wydał, a i tak rozstawał się ze swoimi pieniędzmi niechętnie, nawet jeśli wydatki były uzasadnione. Waltera układacza zestawień, prowadzącego skrzętne zapiski przychodów i rozchodów i odkładającego rejestry do specjalnej dużej skrzyni zamykanej na trudny do sforsowania zamek. Podczas gdy Robert topił fundusze w swoich posiadłościach, Walter osiągał zysk w przedsięwzięciach prowadzonych w Irlandii. Ilekroć królowa wysyłała go z misją stłumienia buntu irlandzkich wielmożów, Walter Devereux nie tylko ich pokonywał, ale także zabierał im majątki, czyniąc je swoimi. Niektóre ziemie i domy następnie sprzedawał, zawsze z zyskiem. Niektóre zatrzymywał dla siebie, uprzednio schowawszy pod kluczem akty własności zwinięte w rulon.

Latem tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego roku Robert był zadłużony po uszy. Napożyczał ogółem niewyobrażalną sumę sześćdziesięciu tysięcy funtów, aby zapewnić królowej i jej niemałemu orszakowi ciągnące się tygodniami uczyty i rozrywki. Renowacja zamku Kenilworth jeszcze się nie zakończyła; wciąż stawiano nowe kominy i wznoszono nowe mleczarnie i warzelnie piwa. Wszelako komnaty dla gości, szczególnie te przeznaczone dla królowej, były już gotowe, tak że — jak zapewniał gospodarz — nie mogło być mowy o żadnych skargach.

Dzień się dłużył, podobnie jak nasza monotonna podróż w kurzu i skwarze. Królowa często wybierała mnie na towarzyszkę, która miała usługiwać jej w powozie, najpewniej z tego powodu, iż jestem cierpliwa i potrafię być kojąca, jeśli się postaram. Tym razem jednak, zanim o zmierzchu dotarliśmy pod bramy wspaniałej posiadłości, moja cierpliwość była na wykończeniu; łaknęłam tylko dobrego posiłku i cichej komnaty z czystymi trocinami na podłodze i świeżo wypraną pościelą na łóżku.

Zamiast tego przywitała nas ogłuszająca kanonada z armaty.

Królowa, która zawsze bardzo się bała głośniejszych hałasów, zakryła uszy dłońmi i zacisnęła powieki, przegapiając oszałamiający widok czerwonych, niebieskich i białych fajerwerków, które wybuchały nad naszymi głowami w eksplozji barw i błysków, gdy w jakimś oddaleniu pokazał się zamek wraz z przylegającym doń jeziorem.

Zagrzmiały trąby i werble, kiedyśmy wjechali na most prowadzący z traktu na dziedziniec zamkowy, a spod kamiennej strażnicy jeły wyłaniać się gigantyczne postaci poprzebierane za bohaterów antycznych mitów i niosące prezenty dla jej królewskiej mości.

Nagle znaleźliśmy się w samym środku wielkiego przedstawienia. Z jednej strony bóg drzew ofiarowywał królowej zamknięte w klatkach kuliki i bączki, z drugiej — bogini ziemi podawała koszyki, z których wysypywały się gruszki i czereśnie, z jeziora wychynęła ogromna syrenka, trzymająca wyslizgujące się ryby, zaś stojący obok niej delfin zamiast wody wypluwał wersy po łacinie opiewające każdy dar z osobna.

Elżbieta odjęła dłonie od uszu i natychmiast się odnalazła, przyjmując podarki i dziękując darczyńcom. Mimo to poznać po niej było, iż jest znużona podróżą. Zanim zrzuciliśmy zakurzone stroje i przebrali się do wieczerzy, wszystkim nam oczy kleiły się ze zmęczenia.

Ale nie było dla nas litości. Wśród krzyków i radosnego harmideru całe domostwo Roberta — setki osób — przybyło powitać królową, podczas gdy mieszkańcy okolicznych wiosek zgromadzili się na brzegu jeziora, głośno skandując i piszcząc z uciechy, gdy w niebo poszybowały znowu kolorowe fajerwerki.

Elżbieta zawołała o kielich i osuszyła go do dna, po czym zawołała o kolejny, a nas tymczasem otaczała ciemność wraz ze smakowitymi woniami pieczonego mięsa i bochnów świeżo wyciągniętych z pieca, przypominając, iż to już pora wieczerzy. Dopiero wiele godzin później znalazłyśmy się w odrestaurowanych komnatach przeznaczonych specjalnie dla nas, ogromnych pomieszczeniach z wysokimi sklepieniami i przeszklonych, zapraszająco rozjaśnionych blaskiem świec.

Spaliśmy długo i wygodnie w miękkich łóżkach i rano nawet królowa musiała przyznać, iż Kenilworth zalicza się do najwspanialszych domów na wszystkich jej ziemiach.

Nazajutrz polowaliśmy w rozległym parku łowieckim, w którym roiło się od jeleni. Elżbieta, lubiąca podkreślać swoje zdolności w sztuce polowania, miała zwyczaj wyprzedzać nas wszystkich i gnać niepomna na bezpieczeństwo, nie odpoczywając, póki nie ustrzeliła pierwszej ofiary.

Gdy psy złapały trop dorodnego byczka, królowa pomknęła za nim, zdecydowana położyć go bez niczyjej pomocy. Zanim jednak zdążyła strzelić, rozkrzyczała się.

— Zostałam trafiona! — wrzasnęła, powodując, iż wszyscyśmy przyśpieszyli do galopu, aby jak najszybciej się z nią zrównać. Dyszała ciężko z jedną ręką przyciśniętą do serca. Kiedyśmy się do niej zbliżyli, podniosła drugą rękę i wykrztusiła: — Nic mi nie jest! Nic mi nie jest! Chybiony strzał!

Pośpieszne śledztwo ujawniło jedyne go możliwego zabójcę, niepozornego człowieczka w zielonym kubraku dzierżącego łuk. Gwardziści królowej pod przewodnictwem Roberta w okamgnieniu ściągnęli go z konia, pozbawili łuku i zaczęli walić gdzie popadnie, krzycząc. Zabłąkana strzała została rychło odnaleziona i przyniesiona królowej.

Elżbieta wzdrygnęła się i odwróciła.

— Myślałam, że trafiła mnie prosto w serce — powiedziała, wyraźnie blada i wstrząśnięta. — Myślałam, że wrogowie mnie wreszcie dopadli.

Robert złamał strzałę o kolano i rzucił ułamki na ziemię.

— Ten mężczyzna mówi, że nigdy by cię nie zranił, wasza wysokość. Mierzył do byka, tak jak i ty.

— I ty mu wierzysz?! — Elżbieta popatrzyła na Dudleya z niedowierzaniem. — Chyba nie jesteś aż tak naiwny?

Robert tylko wzruszył ramionami.

— Wiesz dobrze, że z chęcią oddałbym za ciebie życie, wasza wysokość. I równie chętnie odebrał życie każdemu, kto ośmieliłby się na ciebie podnieść rękę. Ale ten mężczyzna nie jest zabójcą. Widywałem go już wcześniej, jak kłusował w moim parku.

Królowa nie kryła pogardy.

— Ktoś taki idealnie nadaje się na zabójcę. Nikt by go nawet nie podejrzewał... — Odwróciła się do Williama Cecila. — Na łożę tortur z nim. Przekonajmy się, jak bardzo jest niewinny.

To powiedziawszy, dała koniowi ostrogę i popędziła dalej.

ROZDZIAŁ XXIX

Uroczystości w Kenilworth trwały, każdego dnia przynosząc turnieje rycerskie, szczucie niedźwiedzia, przedstawienia, uczyty, maskarady i inne wspaniałe rozrywki zorganizowane wielkim kosztem. Wszakże incydent w parku łowieckim rzucił niepokojący cień na całe przedsięwzięcie. A co gorsza, królowa i Robert się pokłócili.

Doszło do tego w bogato wyposażonych i udekorowanych z rozmachem apartamentach, które Robert przygotował dla Elżbiety. Siedziała właśnie przed zwierciadłem, szykując się do uczyty, podczas gdy ja z innymi dworkami jej usługiwałyśmy. Mój ojciec i William Cecil przybyli dopiero co z Londynu, przywożąc dokumenty, które królowa miała przeczytać i podpisać — albowiem rada nie zaprzestawała pracy, nawet gdy dwór się bawił. Elżbieta zirytowała się na to, iż nieoczekiwanie musi sobie zaprzętać głowę sprawami wagi państwowej. Siedziała więc z piórem w dłoni, kręcąc się na wyściełanym zydlu, mrucząc do siebie pod nosem, podpisując dokumenty i ciskając kolejne kartki, a przy tym także przekleństwa, na lewo i prawo.

Nieraz byłam świadkiem podobnego zachowania, z doświadczenia więc wiedziałam, iż w istocie zapoznaje się z treścią każdego dokumentu, co wyjdzie na jaw przy najbliższej sposobności. Równocześnie jednak okazywała swoje niezadowolenie i unieszczęśliwiała otoczenie, wykonując swoje obowiązki.

Wtem do komnaty wszedł Robert, odziany elegancko na uczytę, którą zaplanował i przygotował z taką pieczołowitością. Miał na sobie szykowny dublet, pludry z jedwabiu przetykanego srebrną nicią, ametystowe guzy i klamry u trzewików pobłyskujące w zmierzchającym świetle.

— Cóż to, jeszcze nie gotowa? — zawołał od drzwi do królowej tonem żartobliwym i wyrozumiałym. — Ileż czasu może potrzebować dziewczyna? Czyżby nie miała apetytu, gdy moi kucharze zadali sobie trud przyszykowania dla jej uciechy trzystu potraw?

— Nie jestem żadną dziewczyną — warknęła Elżbieta, nawet nie patrząc na Roberta. — Jestem twoją królową. I to, co tutaj robię, jest ważniejsze od najlepszego jedzenia.

Robert westchnął.

— Proszę, pośpiesz się, wasza wysokość, gdyż w przeciwnym razie połowa potraw pójdzie na zmarnowanie.

Wtedy na niego spojrzała groźnym wzrokiem, przesyconym niezadowoleniem.

— No i dobrze. Chyba jestem ważniejsza od twoich zapiekaneek ze słonki i połączanych cielęcych głów!

— Wasza wysokość jest ważniejsza od wszystkiego — odparł Robert z ukłonem.

— Jak pokazały ostatnie wydarzenia — rzekł sucho William Cecil. — Bardzo nas wszystkich zasmuciła wiadomość o przykrym incydencie na polowaniu. Gdyby przydarzyło się jakieś nieszczęście, nie ma kto zastąpić jej królewskiej mości.

Elżbieta odłożyła pióro.

— Zastąpić? — powtórzyła, wrząc z gniewu. — Niby dlaczego trzeba by mnie zastępować?

— Sir William miał na myśli to — wtrącił szybko mój ojciec — że w razie śmierci waszej królewskiej mości... Boże chroń królową... nie ma nikogo, kto by przejął po tobie, pani, twe obowiązki. Tego samego obawialiśmy się przed laty, gdy zachorowałaś na ospę.

— Tak — podchwycił Robert. — Tylko że wtedy, leżąc na łożu śmierci, wiedziałaś, co musisz zrobić. Kazałaś swojej radzie wyznaczyć mnie lordem protektorem.

— Ale że teraz znam cię lepiej — stwierdziła Elżbieta z ironią — nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

Robert poczerwieniał.

— Czy naprawdę musisz mnie obrażać? Nie wystarczy ci, że rujnujesz moją świętą ucztę?

Elżbieta wzruszyła ramionami.

— Mogę robić, co mi się podoba — rzekła, przyglądając się sobie w lustrze i poprawiając ciężką rudą perukę. — A tak się składa, że nie jestem głodna.

— Ale inni są — mruknął William Cecil. — Głodni władzy.

Królowa zaśmiała się pod nosem, a rozwścieczony Robert rzucił jej wyzwanie.

— Zatem taka mnie spotyka nagroda po latach wiernej służby? Po dziesiątkach tysięcy funtów, które wydałem w próżnej nadziei zaspokojenia twoich zachcianek? Upokarzasz mnie, odsuwasz na bok, traktujesz gorzej niż zwykłego sługę? Mnie, który cię kochał i służył ci bardziej lojalnie niż ktokolwiek inny?

— Zdaje się, że Kenilworth było moją nagrodą dla ciebie, mości hrabio. Coś ci się pokiełbasiło.

Zanim padły kolejne, jeszcze mniej przyjemne słowa, sir William postąpił krok w stronę królowej i odchrząknął.

— Chodzi o to, wasza wysokość, że ten wstrząsający incydent... o ile w istocie był to incydent, a nie zaplanowane działanie szpiega króla Hiszpanii, czego niestety nie można wykluczyć... otóż że ten incydent przypominał nam wszystkim to, o czym i tak ani na chwilę nie zapominamy. O pałacej potrzebie następcy tronu. Musisz wyjść za mąż, wasza wysokość. Musisz zapewnić Anglii sukcesję.

Poczułam, jak przez zgromadzone w komnacie kobiety przebiega dreszcz i jak nagle w powietrzu wzrasta napięcie. Elżbieta wstała, zniecierpliwiona i niezgrabnie, przewracając dywan, na którym siedziała, i nieomal potrącając stół, na którym miała rozłożone dokumenty.

— Nie przyjechałam tu roztrząsać swojego dziewictwa. Ani też poruszać zakazanego tematu mojego zamążpójścia bądź nie.

— Ależ musimy go kiedyś poruszyć, czy to się podoba waszej królewskiej mości czy nie — powiedział mój ojciec. — Dlaczego więc nie teraz? Kiedy wszyscy mamy w pamięci kruchość twego życia?

— Darzysz sympatią francuskiego księcia, czyż nie tak? — postawił sprawę jasno Cecil. — Zatem zaprosimy go, żebyście mogli się poznać. Unia z Francją przysłużyłaby się obu stronom. A ten książę to świetny wybór: młody, inteligentny...

Przerwał mu donośny okrzyk Roberta.

— Ja jestem świetnym wyborem! Królowa wybrała mnie już dawno temu!

— Ty jesteś żonaty — rzekła obojętnie Elżbieta. — Zdaje się, że z Douglass Sheffield, która urodziła ci chyba aż dwójkę dzieci.

— To podłe plotki! Nie jestem z nikim żonaty! — Robert uklęknął przed królową, pochylił głowę i ciągnął głosem zdławionym od wzruszenia. — Musisz wybrać mnie, jeśli zdecydujesz się na małżeństwo. Musisz! — Podniósł na nią spojrzenie. Po twarzy spływały mu gorące łzy. — Kochasz mnie. Zawsze mnie kochałaś...

Nastąpiła chwila ciszy. Przerywając ją, królowa powiedziała:

— Mój panie, zapominasz się. — Poprawiła spódnice, układając ich fałdy idealnie równo. Dostrzegłam, iż ręka jej przy tym drży, choć głos miała pewny.

Robert podniósł się z klęczek i jał przechadzać się nerwowo po komnacie.

— Choć raz w życiu nie jestem niczym mężem! Owszem, mam nieślubne dzieci. Który wielmoża w tym kraju ich nie ma? — Widziałam, że mówiąc to, unika patrzenia na mojego ojca. Mojego czystego, wiernego ojca. — Owszem, pragnęłam syna — kontynuował mój ukochany. — Poniesie dalej nazwisko Dudley, jako że w moim rodzie nikt inny nie dochował się męskiego potomka i raczej już się nie dochowa. Wszyscy moi bracia, z wyjątkiem jednego, są martwi. Moje siostry noszą nazwiska swoich mężów. Żaden z ich synów nie jest Dudleyem. A poza tym... — zawahał się. Wyraźnie nie chciał brnąć w to dalej, ale jednak się przełamał. — Poza tym królowa nie jest w stanie dać mi syna. Nikt o tym nie mówi, ale każdy to wie.

Wielu obecnych wstrzymało oddech na tę śmiałą szczerość, która sporo kosztowała Roberta. Elżbieta jednak nie zareagowała. Chociaż nadal drżała, całkowicie panowała nad sobą.

Zignorowała, w przeciwieństwie do mnie, to iż Robert zaczął utykać na zaatakowaną przez podagrę stopę. Domyślałam się, ile to mu sprawia bólu.

— Jeśli nie możesz dać mi syna — mówił, na wpół krzycząc, na wpół jęcząc — przynajmniej uczyn mnie lordem protektorem!

— Gdybym to zrobiła — parsknęła Elżbieta, dając ujście swemu ognistemu temperamentowi — i gdybyś zajął moje miejsce, co by się stało po twojej śmierci? Czy na tronie zasiadłby bękart Douglass Sheffield? Nie wydaje mi się! A teraz się wynoś... i niech diabli porwą twoją ucztę!

Wówczas Robert, zaczerwieniony na twarzy i drżący, załamującym się głosem wypalił:

— W takim razie wszystko między nami skończone! Byłaś mi towarzyszką zabaw, towarzyszką łoża, towarzyszką polowania i kompanem pod każdym względem, nie licząc prawnego! Poślubieni sobie czy nie, jesteśmy i zawsze byliśmy parą! Nie obchodzi mnie, kto to usłyszy! Mówię prawdę! Ale jeśli za mnie nie wyjdiesz, ożenię się z tą kobietą, którą dla siebie wybiorę!

Oślupiali i zażenowani doradcy królowej wraz z resztą obecnych w komnacie, szurając, jęli przesuwac się w stronę wyjścia, lecz stanęli jak wryci, kiedy królowa radosnym tonem oznajmiła:

— Cecil! Zgłodniałam nagle! Zechcesz zaprowadzić mnie na ucztę?

Sir William wyciągnął ramię i Elżbieta opuściła komnatę nieomal w podskokach, jakby już zapomniała o aroganckim potraktowaniu jej przez Roberta, który ruszył jej śladem, miotając z oczu błyskawice.

Następnego roku Walter udał się do Irlandii, jak czynił to wielokrotnie w przeszłości. Tym razem jednak poważnie się rozchorował.

— To błotna gorączka, bez dwóch zdań — zamruczała Cecylia, gdy dotarły do nas wieści o jego chorobie. — W końcu ją złapał.

Z listu od jednego z ludzi mojego męża dowiedzieliśmy się, iż został przewieziony do zamku w Dublinie, gdzie lekarze nie odstępowali jego łoża ani na krok, ordynując okłady i upuszczanie krwi. Penelopa i Dorota płakały, kiedy im o tym czytałam, a mały Robert przytulał się do mnie w próbie niesienia pociechy. Przeczytałam ze łzami w oczach o tym, jak Walter nił i poddawał się chorobie, aż w końcu oddał ducha Bogu, ściskając rękę księdza.

Uczyłam co w mojej mocy, aby pomóc dzieciom przejść przez żałobę. Co do mnie, niezbyt opłakiwałam

Waltera. Jakkolwiek spojrzeć, zostałam wdową. I miałam zaledwie trzydzieści pięć lat.

ROZDZIAŁ XXX

Ślub był cichy, nie wiedziała o nim nawet królowa. Dzięki dyskrecji udało nam się nie wzbudzić podejrzeń jej szpiegów. Złożyliśmy przysięgę małżeńską tradycyjnie, w obecności księdza, a Robert podarował mi pierścień, który kiedyś dał Douglass — odziedziczony po dziadku krąg złota z ogromnym błyszczącym szafirem. Nosiłam go z dumą, aczkolwiek nigdy na dworze królewskim, gdzie mógłby wpaść w oko królowej albo któremuś z jej szpiegów.

Staliśmy się mężem i żoną, a jednak gdy powiedziałam o tym ojcu, nie był zadowolony.

— Nie dość, że lady Sheffield twierdzi, iż była zamężna z mężczyzną, którego teraz nazywasz swoim małżonkiem — prawił mi kazanie moralizującym tonem, nie kryjąc pogardy dla Roberta — ty jeszcze pogarszasz sprawę, wymieniając parę słów w skrytości, zamiast wziąć ślub należycie, jak wymaga sakrament, z krewnymi i przyjaciółmi jako świadkami przyrzeczenia. Przez to może się wydawać, że masz coś do ukrycia.

— Ależ Douglass kłamie, ojcze! Nigdy nie była zamężna z Robertem! Dręczyła go nieubłaganie, aż w końcu się zdeklarował, ale to wszystko. Nigdy nie wymienił z nią słów przysięgi, tak jak ze mną.

— Mimo to — ciągnął ojciec z powagą — koniecznie trzeba uzyskać pisemne poświadczenie, wyjaśniające sytuację Roberta i lady Sheffield, na wypadek gdyby kiedykolwiek powstały wątpliwości co do tego, czy byli małżeństwem czy nie.

Nie przestawał prawić mi morałów i robić wycieczek pod adresem Roberta, aż wreszcie sporządzony został stosowny dokument, który musiała jeszcze podpisać Douglass. Spotkaliśmy się w położonej na uboczu altanie ogrodów otaczających pałac w Greenwich, miejscu oddalonym od zgiełku i spraw dworu królowej. Sługa Roberta przyniósł dokument w torbie, razem z kałamarzem i piórem, wyłożonymi na stół w gotowości.

Douglass była wyraźnie poruszona, jasne włosy miała w nieładzie pod pośpiesznie nałożonym czepkiem, jeden rękaw jej opadał, gdyż poluźniły się przytrzymujące go tasiemki, oczy zdawały się zaczerwienione. Wcześniej obawiałam się, iż przyprowadzi ze sobą syna, ale na szczęście nie zrobiła tego. Wzięła z blatu dokument i zaczęła czytać. Nie doszła nawet do połowy, a już podniosła błyszczące łzami spojrzenie i potrząsnęła głową.

— Nie! — rzekła. — Nie mogę! Nie mogę! Popatrzyła na Roberta, potem na mnie i na mojego ojca.

Ponownie potrząsnęła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

— Widzicie? — krzyknęła, zrywając czepek i odsłaniając dziwny widok. Pomiedzy zakręconymi blond lokami prześwitywały placki łysiny. W dodatku skóra nie była biała, tylko czerwona, intensywnie czerwona. — Widzicie? — powtórzyła. — Przyjrzyjcie się dobrze! To efekt działania trucizny! Wszyscy wiedzą, że wolno działająca trucizna powoduje wypadanie włosów! Ktoś mnie truje, a jedynym trucicielem tutaj jest mój mąż! Robert Dudley!

Z gardła Roberta wydarło się warknięcie i wyciągnął rękę, aby spoliczkować Douglass. Ojciec prędko stanął pomiędzy nimi.

— Sza, dziewczyno, rób, jak ci się każe. Wiedz, że takie jest życzenie królowej i tu zebranych.

— Nieustannie boli mnie brzuch — nie spuszczała z tonu Douglass, chwytając się za talię. — Zwracam wszystko, co zjem. Jestem chora.

— Pewnie jesteś w ciąży — zauważył Robert ostro. — I to nie ze mną! Połowa dworzan cię miała!

— Ale od śmierci męża tylko ty się ze mną ożeniłaś! A teraz próbujesz mnie zabić!

Mój ojciec zrobił krok w stronę Douglass, uchwycił ją mocno za ramię i pomógł jej usiąść przy stole.

— Lady Sheffield — zaczął, pamiętając, by nie zwrócić się do niej per „lady Dudley” — czy kochałaś swego świętej pamięci ojca i byłaś mu we wszystkim posłuszna, jak dobra córka?

— Tak.

— Gdyby był tutaj z nami, doradziłby ci to co ja. Kazałby ci podpisać ten dokument. Masz tylko złożyć podpis na papierze. To, co dzieje się z twoimi włosami i brzuchem, nie ma znaczenia.

— Ale ktoś mi podaje truciznę!

Ojciec podniósł pióro, zamoczył je w kałamarzu, otarł nadmiar atramentu, po czym wręczył Douglass. Rozpłakała się, garbiąc ramiona. Ale złożyła podpis.

Usłyszałam, jak Robert wydaje westchnienie ulgi. Następnie sięgnął za połą dubletu i wyciągnawszy stamtąd ciężką sakiewkę, przekazał ją służce.

— Masz, daj jej — mruknął.

Ani przez moment nie wątpiłam, iż w środku są monety. Pieniądze dla Douglass i jej syna. W zamian za podpis pod dokumentem, którego treść jej zdaniem mijała się z prawdą.

Jeśli chodzi o mnie, nie wiedziałam, w co wierzyć. Pragnęłam ufać Robertowi, memu najdroższemu mężowi, który był człowiekiem równie licznych cnót jak wad. Miałam gorącą nadzieję, iż łysienie Douglass i jej skurcze brzucha spowodowało coś innego niż zadana trucizna. Modliłam się o to. Modliłam się, abyśmy z Robertem mieli długie i szczęśliwe małżeństwo, pobłogosławione dziećmi, które by nas kochały tak mocno jak my je. Modliłam się za naszą

przyszłość, wiedząc doskonale, że nic na tym świecie nie jest pewne i że wychodząc za Roberta, podjęłam ryzyko.

Aby zadośćuczynić pragnieniu ojca, pobraliśmy się z Robertem drugi raz — w Wanstead, które stało się naszym ulubionym domem — w obecności mojego ojca i brata Roberta, Ambrożego, oraz innych krewnych i świadków. Ślubu udzielił nam kapelan Roberta, przestrzegający rytów sakramentu.

Zapytani świadkowie milczeli, gdy przyszło im odpowiedzieć na pytanie, czy coś stoi na przeszkodzie zawarciu przez nas małżeństwa. No ale nie było pośród nich ani Douglass Sheffield, ani królowej. Elżbieta w swoim czasie miała bardzo dużo do powiedzenia, gdy się dowiedziała, iż ja — jej rywalka — w końcu poślubiłam mężczyznę, którego od zawsze kochała.

ROZDZIAŁ XXXI

Nie dowiedziała się od razu. W istocie parę miesięcy trwało, zanim dotarły do niej wieści o naszym ślubie, a w chwili gdy to nastąpiło, znajdowała się w stanie bliskim paniki, albowiem raz jeszcze wyszła obronną ręką z próby zamachu.

Czy też wszyscy w to wierzyli.

Nigdy przedtem nie widziałam królowej tak przestraszonej jak w dniu zamachu, gdy wkrótce potem znalazła się w swojej komnacie sypialnej, przyciskając dłoń do piersi i z trudem łapiąc oddech. Jej zawsze blada cera była popielatobiała, a oczy — wielkie i przepelnione zdumieniem i cierpieniem — nie tak znów bardzo się różniły od oczu Douglass Sheffield, podpisującej dokument poświadczający, iż w rzeczywistości nigdy nie była małżonką Roberta.

Miałam na długo zapamiętać ten jej wyraz twarzy.

Zgodnie z relacją Whaffera, który zgromadził wokół siebie stadko dworek i służących w małej komnacie, gdzie nikt nam nie mógł przeszkodzić ani nas podsłuchać, do zamachu doszło, kiedy Elżbieta wchodziła na pokład królewskiej barki mającej ją powieźć w górę rzeki. Podróż nie należała do błahych, gdyż królowej towarzyszył francuski dworzanin nazwiskiem Simier, wysłannik dworu Henryka Francuskiego, mający omówić sprawę jej małżeństwa z księciem Franciszkiem.

Wtem, opowiadał Whaffer, właśnie gdy królowa miała postawić stopę na pokładzie, rozległ się głośny strzał.

Wystrzelono z arkebuza. Obsługujący baręk mężczyzna, stojący w pobliżu królowej, krzyknął i upadł. Krew tryskała z obu jego ramion. Francuski dworak Simier dał nogę, pozostawiając królową samą. Pozostali chowali się gdzie mogli, uciekali albo wołali pomocy.

Pośród tego pandemonium królowa wezwała Roberta, który w okamgnieniu wyrósł u jej boku. Whaffer zapewniał, iż hrabia Leicester osłonił jej królewską mość własnym ciałem, pośpiesznie odprowadzając w zacisze pałacu. Gdy już była bezpieczna, powrócił na przystań w otoczeniu zaufanych gwardzistów i osobiście opatrzył rany barkarza, kazać ściągnąć doktora Huicka i domagając się postawienia przed nim człowieka, który śmiał oddać strzał.

Na usta cisnęły nam się pytania. Czy zabójca został złapany? Czy wtrącono go już do Tower? Kim był?...

Przez wiele godzin nie miałyśmy na nie odpowiedzi, zajmując się zdenerwowaną królową i robiąc co w naszej mocy, aby ją uspokoić. Poiliśmy ją kordiałami. Nalegałyśmy, by się położyła i odpoczęła, mimo iż nie była w stanie zasnąć — jej oczy pozostawały szeroko otwarte i wciąż czaił się w nich strach, który wywoływał we mnie taki niepokój.

— Kto mieczem wojuje... Kto mieczem wojuje... — mruzczała raz po raz.

Niezdolna do odpoczynku przemierzała komnatę wzdłuż i wszerz, odciągając kotary przy oknach i zasłony baldachimu, a nawet zaglądając za tapiserie na ścianach, jakby tam mógł się czaić skrytobójca.

— Nie ma powodów do obaw, wasza wysokość — uspokajał ją mój ojciec. — Strzał był wymierzony nie w ciebie, tylko we Francuza Simiera. Ten Simier to przestępca, zamordował własnego brata! A wiesz dlaczego? Dlatego że ów brat sypiał z żoną Simiera! Zabójca został nasłany przez krewnych żony, a przynajmniej takie krążą słuchy.

— Czy to aby pewne? — spytała go Elżbieta. — Zamachowiec w Kenilworth nie mierzył do żadnego Francuza, tylko do mnie. Moim zdaniem to Hiszpanie nasyłają zabójców. Chcą mojej śmierci.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Francuzi są podstępni i zdolni do wszystkiego. Sama myśl, że wasza wysokość rozpatruje kandydaturę jednego z nich, sprawia, że żołądek wywraca mi się na nice, jeśli wolno mi być tak śmiałym.

— Nie wolno ci! Poza tym powinieneś wiedzieć równie dobrze jak ja, że Anglii potrzebne jest przymierze z Francją, aby powstrzymać knowania króla Filipa!

Wysłuchując tej rozmowy w towarzystwie reszty dworek, z zadowoleniem konstatowałam, iż wymiana zdań z moim ojcem przywraca królowej jej zwykłą pewność siebie i odwagę. Nadal jednak była blada i miała urywany oddech, a jej oczy rozszerzał strach.

— Czy po tym co stało się dzisiaj, zgodzisz się, wasza królewska mość, odesłać tego całego Simiera tam, skąd przyjechał, i nie podejmować negocjacji małżeńskich, zanim w pełni nie rozważysz możliwych konsekwencji związania się sojuszem z Francją?

— Nie, nie zgodzę się! Już poświęciłam tej sprawie wystarczająco wiele uwagi! Simier może i jest tchórzem i przestępcą, a już na pewno nie wykazał się dziś rycerskością wobec mnie, ale zamierzam pozwolić mu zostać na swoim dworze. Ty zaś możesz odejść.

Kłaniając się z szacunkiem, ojciec wycofał się z komnaty. Francuz Simier pozostał w Londynie, a jakiś czas potem dochodzenie wykazało, iż strzał z arkebuzy nie był dziełem zamachowca, tylko przypadku. Mężczyzna, który posłał kulę, przeprosił i nawet nie został ukarany. Taka przynajmniej była oficjalna reakcja — wszakże ja wiedziałam, iż królowa nadal jest przekonana, że to Hiszpanie życzą jej śmierci.

— Dwa prawie śmiertelne wypadki w ciągu paru tygodni? — zauważyłam w rozmowie z Robertem. — Królowa unikająca śmierci chyba tylko cudem? Trudno uznać, iż to zbieg okoliczności.

— Fatalne w skutkach wypadki zdarzają się na dworach królewskich — odpowiedział mój mąż. — Ojciec jej wysokości, król Henryk, doznał potwornego wypadku w szrankach i nieomal postradał życie. Królowa Anna Boleyn tak się przeraziła, że skończyło się to poronieniem. A ojciec francuskiego księcia Franciszka zmarł od ran odniesionych w podobnym wypadku na arenie.

Jego argumenty mnie nie przekonywały.

— Sądzisz, iż królowa poślubi tego francuskiego księcia? — zapytałam po jakimś czasie. — Mimo iż ponoć jest mały jak karzeł, słaby i straszliwie oszpecony dziobami?

— Powinna to zrobić, i to jak najszybciej. Im silniejsi stają się Hiszpanie, tym bardziej potrzebny jej sojusznik. Zresztą ów książę przypadł jej do gustu. Pisują do siebie w grece i łacinie, jak już ci mówiłem. Książę jest inteligentny, a ona lubi inteligentnych mężczyzn. Nie może się doczekać spotkania z nim, aczkolwiek podejrzewam, że myśl o małżeństwie budzi jej obawy. Elżbieta nie znosi, kiedy ktoś nią komenderuje, a przecież mąż jest głową żony, nawet jeśli jest od niej młodszy i tak jak w tym wypadku, ona jest królową.

— Zatem nie masz całkowitej pewności...

— Całkowitej? Nie, nie mam — przyznał. — Ale królowa może nas jeszcze wszystkich zaskoczyć i zakochać się w księciu, gdy się tutaj pojawi.

Nie podzielałam jego optymizmu, nic jednak wtedy nie powiedziałam.

Książę Franciszek przybył niedługo po przerażającym wypadku z arkebuzem, ale pojawił się na dworze bez pompy i został przyjęty bez wystawnych uroczystości. Widziałam go raz czy dwa podczas tej krótkiej wizyty, gdy siedział obok Elżbiety i oboje się śmieli, najwyraźniej ciesząc się

ze swego towarzystwa. Okazał się jeszcze brzydszy, niż sobie wyobrażałam na podstawie opowieści. Zaiste był najslabszy z miotu królowej Katarzyny Medycejskiej. Jej najstarszy syn, również noszący imię Franciszka, przyjaciel z lat dziecięcych, a później słabowity małżonek Marii królowej Szkotów, zmarł przed ukończeniem siedemnastego roku życia. Drugi w kolejności męski potomek, Karol, nie dożył wiele starszego wieku. Następny w kolejce do tronu, Henryk III, włożył koronę i władał do śmierci w wieku lat dwudziestu ośmiu, aczkolwiek zawsze był słabego zdrowia, zwłaszcza jeśli chodzi o płuca i serce. Zapowiadało się zatem, iż i ten książę, ulubieniec angielskiej królowej, raczej nie okaże się długowieczny ani nadmiernie zdrowy — co jak przypuszczałam, stanowiło w dużej mierze o zainteresowaniu żywotnej i wytrwałej Elżbiety. Gdyby za niego wyszła, miała szansę zostać rychło wdową, lecz taką, co w każdej chwili mogłaby wezwać na pomoc francuską armię.

Ta niesłychanie prywatna wizyta dobiegła końca po zaledwie paru dniach, kiedy to książę wrócił do Francji, pozostawiając w rękach urzędników swego królewskiego brata dalsze negocjacje kontraktu małżeńskiego. Ale angielskiego dworu nie opuścił Simier, mający dopełnić dzieła. Wiekopomnego dzieła.

Aby przekonać królową Anglii do poślubienia francuskiego księcia, Simier naopowiadał jej, iż zaiste ma rację, obawiając się śmierci z rąk Hiszpanów, a także zapewnił, iż z tego co mu wiadomo, do brzegów Wysp właśnie płyną wynajęci zabójcy z misją odebrania jej życia. A kiedy zareagowała przerażeniem, dodał, iż odtąd nie może już jak w przeszłości liczyć na ochronę Roberta, gdyż Robert ma żonę, której musi bronić — a jest nią Letycja Knollys, połączona z nim nie tylko więzami lojalności, ale i miłości.

ROZDZIAŁ XXXII

Elżbieta się bała. Nie na tyle jednak, by nie odesłać Roberta z dworu i nie wezwać mnie przed swoje oblicze. Zostałam potraktowana z tak chłodną wściekłością, iż miałam wszelkie podstawy podejrzewać rychłe wtrącenie do Tower i wyrok śmierci.

— Nigdy ci nie ufałam, wszeteczniczo — zaczęła. — Z chwilą gdy przestąpiłaś ten próg, wiedziałam, że jesteś rozwiązła i nie można ci wierzyć. Słyszałam, co stało się we Frankfurcie. Słyszałam o wstydzie, który ściągnęłaś na swoją rodzinę! Ale twój ojciec zarzekał się, że będzie cię trzymał krótko. Sądziłam, że wypełnia obietnicę. A tymczasem ty skradłaś najdroższego mi na świecie mężczyznę...

Skąd wzięłam odwagę, by odpowiedzieć jej tak, jak to uczyniłam, chyba nigdy się nie dowiem. Wszystko co wiem, wszystko co pamiętam z tamtego ranka przed iluż to już laty, to że kiedy na mnie spojrzała z zimnym gniewem w jasnych oczach, nagle pojęłam, co przez cały czas widziała.

Albowiem zniecka mnie uderzyło (gdym kątem oka dostrzegła swoje odbicie w jednym z jej zwierciadeł), iż ma przed sobą nie wszetecznicę, tylko piękną kobietę, znacznie od niej młodszą i nadal ponętą do tego stopnia, że mężczyźni wciąż ofiarowują jej wiersze i pragną malować jej portrety. (Tak, zdarzało się tak, i to całkiem nierzadko). Kobietę, o którą była zazdrosna, odkąd po raz pierwszy zjawiłam się na dworze.

Zrozumiałam, iż mój widok musi ją jątrzyć, i to nie tylko dlatego, że posiadałam urodę, której jej brakowało, lecz przede wszystkim dlatego, że z nią wygrałam. Ja, Letycja Knollys, obecnie hrabina Leicester, pławiłam się w miłości najprzystojniejszego, najbardziej godnego pożądanego i najwspanialszego mężczyzny na dworze królewskim!

Zdobyłam miłość jej życia.

Ta świadomość dodała mi sił. Wyprostowałam się. Poczułam w sobie moc. I przemówiłam.

— Gdzie mój Robert? — zapytałam, ignorując jej wymówki. — Wtrąciłaś go do lochu? Muszę się z nim widzieć. Jestem jego żoną.

Nie spuszczała ze mnie ciężkiego spojrzenia. Panowała nad sobą, nie pozwalając, by emocje wzięły nad nią górę.

— Tylko dlatego, że jesteś jego żoną, pozostajesz wciąż przy życiu. Gdybym zarządziła twoją egzekucję, nigdy by mi tego nie wybaczył.

— Wydałabyś wyrok śmierci na osobę królewskiej krwi? Na kobietę, której prawo do tronu być może jest silniejsze niż twoje? Moja matka była nieślubnym dzieckiem króla Henryka, a jeśli dać wiarę plotkom o niewierności Anny Boleyn, w twoich żyłach nie płynie nawet kropla królewskiej krwi! Jesteś córką grajka Marka Smeatona albo jakiegoś innego nisko urodzonego mężczyzny!

Uniosła dłoń, jakby przymierzała się do spoliczkowania mnie, więc się cofnęłam. Ona jednak nie rzuciła się na mnie. Zamiast tego gestem rozkazała strażnikom opuścić komnatę. Zostałyśmy same.

Przez chwilę przechadzała się niespokojnie, marszcząc czoło w zamyśleniu. W końcu stanęła.

— Opuścisz mój dwór, jak tylko odeślę cię z tej komnaty — oznajmiła. — I nigdy nie wrócisz. Najpierw jednak dojdziemy do pewnego porozumienia.

— Nie skrzywdzisz mnie ani moich dzieci, ani nikogo z mojej rodziny! — wybuchnęłam. — Nie pozbawisz Roberta jego ziem i urzędów! Jeśli to zrobisz, ujawnię wszystko, co wyczytałam w twoim pamiętniku i co wiem na temat śmierci pierwszej żony Roberta!

Spostrzegłam, iż ta ostatnia groźba ją zaskoczyła. Zrozumiałam wtedy, iż podczas gdy ja przez cały czas znałam prawdę o zgonie Amy Dudley, królowa była jej nieświadoma — a najwyraźniej bardzo by chciała ją poznać.

— Zostawisz nas w spokoju — ciągnęłam — i pozwolisz nam wieść ciche życie na prowincji.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, zamilkłam więc.

— Widać, żeś dziecko, gdy przychodzi do targowania się, wszeteczniczo. To są najtwardsze warunki, na jakie cię stać? — Uśmiechnęła się. — Póki jestem przy władzy, poty sir Robert będzie mi służył tak i tam, gdzie sobie zażyczę. Jego życie i twoje również pozostaną w moim ręku, gdyż tak przystoi wiernym poddanym. Będę mogła, jeśli przyjdzie mi ochota, zdmuchnąć je w każdej chwili. Nigdy o tym nie zapominaj. — Przerwała na chwilę i przyjrzała mi się jeszcze uważniej. — Robert być może cię kocha, z całą pewnością pożąda twego ciała. Ale te więzy, jakkolwiek silne ci się teraz wydają, z czasem osłabną. Natomiast to, co łączy go ze mną, jest trwałe, tak trwałe, że nie potrafisz sobie wyobrazić. Dlatego zawsze będziesz zajmowała drugie miejsce w jego życiu i w jego sercu. O tym także nigdy nie zapominaj. A teraz możesz odejść!

Chciałam coś powiedzieć, chciałam zaprzeczyć wszystkiemu, co usłyszałam, mimo iż w głębi duszy czułam, iż Elżbieta ma rację. Nie znalazłam jednak odpowiednich słów. Uszła ze mnie cała para. Jak tylko królowa zaczęła mówić, ogarnęła mnie fala strachu, z początku słaba, lecz przybierająca na sile z każdą chwilą. W końcu byłam wdzięczna, iż mogę odejść, i uczyniłam to skwapliwie, złożywszy najpłytszy z ukłonów.

Gdzie był Robert? Co ona z nim zrobiła?

Wypadłam na zewnątrz i zaczęłam biec, zbierając w garści fałdy spódnic i uważając, aby się nie potknąć; pędziłam przez wąskie i mroczne korytarze pałacu, ślizgałam się na gołych posadzkach, modląc się z każdym krokiem, aby królowa nie zmieniła zdania i nie wysłała za mną gwardzistów, którzy by mnie pojмали i zamknęli w najciemniejszym i najgłębszym lochu, każąc dozorczy wyrzucić klucz.

ROZDZIAŁ XXXIII

Nasz syn Robert narodził się w czerwcu tego roku, w którym kończyłam czterdzieści lat. Był dużym dzieckiem, o błękitnych oczach i rudawych włoskach, i w przeciwieństwie do swego energicznego piętnastoletniego brata imiennika, który jako niemowlę wiele płakał i marudził, zadziwiał wszystkich spokojem. Karmiłam go własną piersią, wiem więc, iż miał wyborny apetyt. Przesypiał prawie całą noc, leżąc obok nas w rzeźbionej drewnianej kołysce wyłożonej starannie obrębionym karmazynowym atłasem. Ledwie ukończył drugi miesiąc życia, Robert zamówił dlań u płatnerza maleńką zbroję i lubił — ilekroć przebywał z nami w domu — gdy ubierałam w nią chłopca i zabierałam na spacer powozem.

— No, baronie Denbigh — zwracał się do syna, używając tytułu przysługującego dziedzicowi hrabstwa Leicester — już mógłbyś bronić królowej. A jak trochę podrośniesz, nauczę cię robić mieczem.

Szczęście mojego Roberta nie znało granic. Jego twarz jaśniała z radości, ilekroć widział syna, przepadał za noszeniem go na rękę i przemawianiem doń cicho, a nawet sadzał sobie malca na barana i nie bacząc na ból chorej stopy, galopował z nim po ogrodzie, rżąc jak koń i zaśmiewając się do rozpuku. Przez całe życie, odkąd dziesięciolecia wcześniej stracił większość bliskich w krwawej łaźni będącej następstwem próby przejęcia władzy przez jego ojca, mój Robert marzył o dziedzicu. O synu, który by przeniósł na następne pokolenia nazwisko Dudley i swymi czynkami utrwalił honor rodu. Mój mąż utrzymywał, iż nie mógłby marzyć o lepszym synu niż mały Denbigh, i otwarcie ignorował jego fizyczną niedoskonałość — to, iż jedna noga była sporo krótsza od drugiej, oraz jego nieco szklisty wzrok.

Rzadko wspominał o swoim drugim synu, którego nazywał „bękartem Douglass Sheffield”, aczkolwiek ja wiedziałam, iż on także przynosi mu wiele radości. Chłopiec wychowywał się w otoczeniu piastunek i nauczycieli w wiejskim domu położonym nieopodal posiadłości matki. Gdy mały Robert przyszedł na świat, bękart miał siedem lat, był smukły i wysoki jak trzcina i przejawiał oznaki inteligencji. Mój mąż czerpał dumę z jego bystrości i choć nie odwiedzał go często, dawał odczuć swoją miłość do niego i uznanie, które dlań żywił.

Na szczęście Douglass nie prowokowała więcej problemów. Wyszła powtórnie za mąż — pokazując dobitnie, iż nigdy naprawdę nie uważała się za żonę Roberta — i nieczęsto bywała na dworze królewskim (a przynajmniej takie wieści dochodziły mnie od Cecylii i ojca). Moim zdaniem Douglass była głuptaską, kobietą samolubną i płytką. Mało dbała o kogokolwiek prócz samej siebie. Cóż, może i byłam do niej uprzedzona, zazdroszcząc jej w sekrecie tej części afektu,

którym obdarował ją Robert. Gdyż był to tylko afekt, nie miłość z prawdziwego zdarzenia, co do tego nie miałam wątpliwości. Wiedziałabym to nawet wtedy, gdyby Robert nie przysiągł mi, iż nigdy nie kochał Douglass i tylko pożył jej młodego ciała.

Moje ciało stało się pełniejsze, bardziej zmysłowe, po narodzinach małego barona Denbigh. Będąc brzemienną, nie żałowałam sobie jedzenia, często drzemałam i zażywałam niewiele ruchu, tak że koniec końców trzeba było popuścić szwy wszystkich moim sukien. Oczywiście nigdy nie stałam się gruba jak Cecylia, byłam po prostu krągłsza i bardziej kobieca. Nadal jednak podobałam się Robertowi i to było najważniejsze.

Gdy pojawił się z wizytą mój brat Frank i zajrzał do kołyski, nie mogłam nie zauważyć tęsknoty i pragnienia w jego oczach. Nie przywiódł kucyka, jak uczynił dla mego pierwszego syna, lecz przywiózł szkatułę z rzeźbionego srebra, pełną monet i szlachetnych kamieni.

— Podarki z naszej ostatniej podróży — rzekł z uśmiechem, odnosząc się do niewiarygodnej wyprawy pod wodzą kapitana Drake'a, która zawiodła mały konwój statków na kraniec świata i z powrotem. Opłynęli kulę ziemską dookoła. Był to wyczyn, jakiego nie dokonał jeszcze żaden Anglik, a może nawet żaden człowiek. — Odłóż to w bezpieczne miejsce do czasu, aż twój syn wyrośnie na mężczyznę.

Oboje z mężem podziękowaliśmy Frankowi wylewnie, gratulując mu powrotu z niebezpiecznej wyprawy i zapewniając, iż jest nazbyt hojny, aczkolwiek jak mogłam się spodziewać, Robert, który zawsze tkwił po uszy w długach i cierpiał na brak brzęczącej monety, już przemyślał, jak by tu uszczknąć co nieco ze szkatuły syna, nie wystawiając honoru na szwank. Rzecz jasna zamierzał zwrócić pożyczkę — Robert Dudley nie był złodziejem i nie wyciągał ręk po nie swoją własność — tyle że nie umiał oszczędzać i nie cechował się gospodarnością. Dlatego do przewidzenia było, iż skończy się tylko na dobrych chęciach.

— To nic takiego. — Frank zbywał nasze podziękowania. — Ledwie pieniądze, za które można kupić przedmioty. Nie miłość. To, co wy dwoje macie, jest droższe niż wszystkie skarby świata. A teraz w dodatku urodził wam się syn, dopełniając waszego uczucia.

Kiedy Frank to mówił, Robert objął mnie ramieniem i dosłownie poczułam ogień miłości i macierzyńskiej dumy. Pomyślałam nawet, iż żadna kobieta nie była nigdy szczęśliwsza niż ja w tej właśnie chwili.

Równocześnie jednak ogarnęło mnie współczucie dla Franka. Wiedziałam bowiem, iż ma w pamięci swą utraconą ukochaną. Mariannę. Spędziwszy z nami dzień czy dwa, sam o niej wspomniał, w rozmowie ze mną powtarzając, jak bardzo żałuje, iż nie poślubił jej, gdy los dał mu po temu szansę.

— A twoja zamożna żona? — spytałam. — Co z nią?

Frank potrzęsął głową.

— Zmarła przed paroma laty, gdy ja byłem na morzu. Z pewnością się zastanawiasz, więc odpowiem od razu na twoje drugie pytanie: tak, zostawiła mi w spadku swój majątek. Mimo że wcale go nie potrzebuję, bo zgromadziłem własny. Wpływając z powrotem do portu w Plymouth, mieliśmy na pokładzie niejedną skrzynię z hiszpańskimi monetami.

Robert tymczasem kazał piastunce ubrać syna w maleńką zbroję, aby mógł go zobaczyć wuj. Dziecko gruchało z uciechy, a Frank śmiał się szczerze.

— A to ci dopiero panisko! — rzekł. Potem przyjrzał się malcowi baczniej, a wyraz jego twarzy zmienił się z zachwyconego na zatroskany. — Co z jego nogą? Czy badał go lekarz? Co powiedział?

Zaczęliśmy mówić z Robertem jednocześnie, ale zamilkłam, pozwalając mężowi odpowiedzieć. Krótsza nóżka naszego syna martwiła nas niemożebnie, podobnie jak jego niezdolność skupienia na nas wzroku. Chłopiec zdawał się patrzeć w przestrzeń i nigdy nie wyciągał rączek do nas ani do kolorowych zabawek, jak czynią to inne małe dzieci. Jak czyniły to wszystkie moje pozostałe dzieci.

— Niepokoi nas ta noga — oświadczył Robert. — Sprowadziliśmy doktora Julio z Londynu i paru innych lekarzy, aby ją przebadali. Wszyscy twierdzą zgodnie, że z czasem długość obu nóg się wyrówna. Nie umieją powiedzieć, z jakiej przyczyny jeszcze tak się nie stało.

— Chcemy go zabrać na dwór królewski, aby przyjrzeli mu się lekarze Elżbiety — dodałam. — Ale królowa gniewa się na Roberta i nie chce nas tam widzieć. Nie pozwala mi się choćby zbliżyć do któregoś z jej pałacu. Nienawidzi mnie i nazywa wszeteczną.

— Słyszałem, że jest dziwna — mruknął Frank. — Ludzie powiadają, że najgorzej traktuje tych, co służą jej najwierniej.

Nachyliłam się nad kołyską i włożyłam palec między paluszki małej bledziutkiej dłoni barona Denbigh. Pochwycił mnie mocno.

— Pamiętasz, jak nasz ojciec zawsze powtarzał, iż wszyscy władcy zachowują się w sposób wzbudzający zdziwienie u osób gorzej urodzonych? — odezwałam się, spoglądając na Franka. Wymieniliśmy uśmiechy.

— Mam nadzieję, że wasz syn już niebawem będzie biegał i dokazywał jak każde inne dziecko — rzucił Frank. — Krótsza nóżka na pewno się wydłuży. Wyrośnie z tej zbroi, zanim się spostrzeżecie. Wtedy będzie mógł przystąpić do tej waszej grupy sygnatariuszy dokumentu stworzonego przez Walsinghama...

Na wzmiankę o dokumencie Walsinghama przeszedł mnie dreszcz. Nie tak dawno Robert wraz z innymi wielmożami powołał do życia akt prawny i działające na jego mocy ugrupowanie,

których głównym celem była ochrona życia królowej za wszelką cenę. Członkowie tego ugrupowania zostali zaprzysiężeni i mieli zabić każdego, kto by podniósł rękę na Elżbietę bądź tylko zlecił jej zamordowanie. W moim odczuciu zamiast występować przeciwko przemocy, w gruncie rzeczy ją szerzyli, wzniecając nienawiść i żądzę zemsty, a nawet wywołując łańcuch krwawych reperkusji. Sprzeciwiałam się temu całą sobą. Kiedy jednak podzieliłam się swoimi wątpliwościami z Robertem, spojrzał na mnie z ponurą miną i powiedział tylko, iż nadeszły czasy wymagające drastycznych środków.

— Chyba każdy widzi — oświadczył — że w łonie chrześcijaństwa trwa wojna. Król Filip Hiszpański postrzega wszystkich protestantów jako wrogów Boga. Przysięga, że zniszczy ich... zniszczy nas... jednego po drugim. Już zabrał się do eksterminacji w Holandii i Zelandii i innych protestanckich prowincjach w Niderlandach. Tysiące ludzi są wyłapywane i poddawane torturom, wtrącane do lochów i głodzone na śmierć, łamane kołem i naciągane, aż im pękają kości.

— Spotyka ich to samo co nieszczęsnych anabaptystów we Frankfurcie — wtrąciłam. — W czasach, kiedy byłam małą dziewczynką. Wiązano im ręce i nogi i wrzucano ich do rzeki, żeby się topili. I robili to nie Hiszpanie, tylko inni protestanci. Kalwini jak mój ojciec.

Nie umiałam wyrzucić z pamięci okropieństw, których byłam świadkiem, ani potworności stosu, jakie spotkały mojego nauczyciela Jocelyna, ofiarę katolickiego Kościoła królowej Marii. W całym swoim życiu nie widziałam straszniejszych rzeczy. Przekonałam się z bliska i na własne oczy, co się dzieje, gdy władcy i duchowni uznają, iż inni ludzie — nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety i niewinne dzieci — wyznają szatana zamiast jedyne prawdziwego Boga. Zdawałam sobie sprawę, iż w takich sytuacjach na bok jest odkładane człowieczeństwo i zdrowy rozsądek, a górę bierze brutalność i dzikość. A teraz usłyszałam od Roberta, iż król Filip rozszerza swoją okrutną krucjatę na wszystkich protestantów.

— Nasze ugrupowanie to dopiero początek — mówił mój mąż. — Potrzebne będą silniejsze ugrupowania, całe armie wręcz. Będziemy musieli ruszyć na własną krucjatę, aby bronić tego co nasze.

Mocne słowa. I przerażające. Często o nich myślałam w następnych dniach, siedząc przy kołysce naszego syna i dając mu do ściskania swój palec.

ROZDZIAŁ XXXIV

— To koniec świata — ogłosiła pani Clinkerte, po czym się zakrzętnęła przy świeżo upranych rzeczach mojego syna. Składała kocyki i malutkie pończochy, i czepeczki i odkładała je do skrzyni stojącej w komnacie dziecięcej. Piastunka małego Roberta, Margaret, stała beczynnie i przyglądała się wyraźnie zgaszona myślą, iż jej obowiązki wykonuje ktoś inny. — Nadchodzi koniec. Jest tuż-tuż.

Jak zwykle przeżuwała swoje zioła i jak zwykle ich zapach rozchodził się po pomieszczeniu wraz z każdym jej słowem. Mały Denbigh, który marudził z niepokoju, w końcu ucichł i zaczął zapadać w sen. Siedziałam przy kołysce zapatrzona w niego, wyczulona na każdy najlżejszy nawet ruch, na sporadyczne gwałtowne zaczerpnięcie powietrza.

— Wszyscy to mówią — ciągnęła pani Clinkerte, zerkając na mnie, kiedy nie zareagowałam na jej rewelację. — Z pewnością doszły cię słuchy nawet tutaj, w Wanstead.

— Owszem — odparłam niezobowiązująco. Nigdy nie pokładałam zbytnej wiary w prorocत्वach. Zdażyłam zauważyć, iż rzadko się spełniały.

— Powiadają, że upadnie wielkie imperium. Że trony zadrżą w posadach. Zwłaszcza jeden tron — sarknęła.

— Dziękuję, Margaret — powiedziałam do piastunki. — Zechcesz nas teraz zostawić?

Wydawało mi się, iż wymowa słów pani Clinkerte jest jasna, i nie chciałam, by służąca słyszała, jak pod moim dachem okazuje się nielojalność królowej.

Zaciętość Elżbiety w stosunku do Roberta, a także — jak mi się zdawało — do mnie na przestrzeni ostatnich miesięcy nieco stopniała. Mój mąż przebywał akurat w dworskich interesach z dala od domu, jak to często bywało, ale zanim opuścił pałac i udał się z dyplomatyczną misją, uzyskał od królowej zgodę na to, aby przysłać do mnie panią Clinkerte, która jak się spodziewałam, okazała się wielką pociechą i pomocą w obliczu trosk spowodowanych przez małego barona Denbigh. Wzięłam to za oznakę współczucia ze strony królowej, albowiem jak wiedziałam, Robert opowiedział jej szczerze o zahamowanym wzroście naszego syna i jego niezdolności do chodzenia i mowy. Chłopiec właśnie wkraczał w drugi rok życia i stawało się jasne, iż cierpi na jakąś tajemniczą przypadłość, klątwę, której natury żaden lekarz nie był w stanie przeniknąć.

Cecylia wyraziła głucho opinię, iż byłam nazbyt posunięta w latach, kiedy go rodziłam, natomiast inni utrzymywali, iż to Robert był zbyt stary i schorowany, aby spłodzić zdrowego potomka. Mój ojciec mamrotał coś o grzechu, o karze za grzech — lecz przecież on kojarzył z grzechem niemal każde zdarzenie, o jakim usłyszał; im robił się starszy, tym ciemniejsze miał

zapatrywania na życie. Zaciekawilo mnie przelotnie, co tez moze sobie myslec o tym calym gada-gadaniu na temat opatrznosci i katastrofy wiszacej nad swiatem.

— Wiele zlych rzeczy zdarzy sie w Roku Przeznaczenia — kontynuowala pani Clinkerte. — W roku Pańskim tysiac piecset osiemdziesiatym i osmym.

— Czyz wielkie imperium wlasnie nie upadlo? — zapytalam raczej po to, by sie odezwac, nizeli by wywolac sprzeczke z panią Clinkerte. — To stworzone przez Indian w Nowym Świecie?

— Phi! To bylo nic... Paru pomalowanych dzikusow tańczących wokół ogniska. Nie! Upadnie Anglia... a moze cały swiat.

Przez jakis czas w milczeniu porządkowala uprane ubranka Roberta, ja zaś przygladalam sie synowi, który w koncu zasnal. Naciagnalam wyzej kocyk i opatulilam go szczelniej. Jakze byl podobny do mojego meza! Mial takie same rudawe wlosy (chociaz te na glowie jego ojca juz zaczynaly siwiec), takie same wygięte w luk usta, takie same dlugie rzęsy...

— Królowa w to wierzy — podjela znów pani Clinkerte. — Utrzymuje, ze jest inaczej, ale przeciez widze, jaka jest nerwowa, jaka zmartwiona. Ma wielka ksiege przepowiedni i czyta ja niemal codziennie. Czasami nawet na glos, aczkolwiek tylko do siebie, pod nosem. Ja jednak ja slyszalam. Czytala o glodzie i suszy. O tym, ze wszystko zloto bedzie spalone. Ze nadejda zarazy. Calą ludzkość czeka koniec.

— Ponure prorocstwo, doprawdy. Domyslam sie, iz kazde pokolenie slyszalo cos podobnego, a jednak nadal tu jesteśmy.

— Tym razem gwiazdy sprzysięgly sie przeciwko nam. Slyszalam, jak Whaffer to mowi, a z niego zaden glupiec. Powiedzial mi, ze juz w dzieciństwie wysluchiwal opowieści o Roku Przeznaczenia. I ze ma nadzieje umrzeć, zanim on nadejdzie.

— Stary dobry Whaffer! A ja mam nadzieje, iz bedzie žyc wiecznie!

Pani Clinkerte wyrzucila w góre rece.

— Przyjdzie taki dzien, ze uwierzysz we wszystko, co ci tutaj powiedzialam. Zapamiętaj moje slowa, to koniec swiata!

Ani myslalam przejmowac sie alarmistycznymi ostrzeżeniami pani Clinkerte, która starzala sie i wraz z wiekiem robila coraz bardziej latwowierna. Nie zamierzalam dac sie porwac narastajacej fali strachu przed przeznaczeniem, której ulegalo coraz wiecej osob. Przeciež i tak mialam dość zmartwień przy moim malutkim slabujacym synu, który najwyraźniej nie chcial rosnac, i przy mojej córce Penelopie, która wkroczyła juz w taki wiek, iz dawno powinna miec przynajmniej narzeczonego, a tymczasem byla o wiele bardziej niezalezna i nieustępliwa niz ja, majac tyle lat co ona, i przy drugiej córce Dorocie, dobrej i łagodnej z natury, lecz na nieszczęście okazujacej przychylnosc prostemu zeglarzowi. Musialam obydwom wyszukać odpowiednich,

wysoko urodzonych mężów i znaleźć lekarstwo na chorobę mojego syna. Nie potrzebowałam do tego przygnębiających, smętnych myśli o końcu świata.

Wszelako gdy Robert wrócił znużony z kolejnej misji przydzielonej mu przez królową i przywiózł echa przesyconej pesymizmem wiadomości rozpowszechnianej przez panią Clinkerte, nie miałam innego wyjścia, jak dać jej posłuch.

— To szczerą prawdą, Letycjo — rzekł zmęczonym głosem, pochłaniając zimne paszteciki z nadzieją z pieczonego bażanta i dziczyzny i splukując je obficie piwem z dzbana.

Jechał nocą, aby móc spędzić ze mną cały dzień; wedle jego słów królowa nie chciała go puścić nawet na godzinę, ale on wykradł się, byle zawitać do Wanstead. Przybywszy bladym świtem, wykończony i wygłodniały, z radością powitał posiłek, z którym nań czekałam.

— Pragnąłbym, aby było inaczej, lecz przepowiednie są zbyt liczne i zbyt przekonujące, aby je ignorować — mówił dalej. — Pamiętasz to proroctwo o nadejściu Kreta, króla-potwora, który będzie mordował, mamił, a w końcu zniszczy Kościół? Nie, oczywiście, że nie pamiętasz, nie było cię wtedy na świecie. W każdym razie tamta przepowiednia się sprawdziła, mieliśmy króla Henryka, czyż nie? To on był Kretem.

Przerwał, aby upić piwa i znów się posilić, po czym kontynuował:

— A przepowiednia o tym, że ziemia zadrży i wysoka budowla upadnie nisko? Proszę bardzo: iglica katedry Świętego Pawła spłonęła do szczytu i było potężne trzęsienie ziemi, wszystko tego roku, o którym mówiło proroctwo.

— To pamiętam...

Zdaje się, iż wydarzenie miało miejsce krótko po tym, jak wróciliśmy z Frankfurtu. Albo mniej więcej w tamtym czasie. W Londynie huczało od plotek. Rzeczywiście, ziemia zadrżała i spłonęła kościelna wieża — a wraz z nią wiele okolicznych budynków.

Robert skończył jeść i służący zabrał zastawę.

— Obawiam się, że musimy szykować się na katastrofę, jakąkolwiek formę przybierze. Rok tysiąc pięćset osiemdziesiąty ósmy okrzyknięto Rokiem Przeznaczenia. Wojna, głód, susza, „zamieszanie na ziemi”, jak mówi jedno proroctwo. „Upadek imperium”.

Nagle twarz mu się rozjaśniła. Zmęczenie, widoczne w jego podkrążonych oczach i obwisłych ustach, zniknęło jak ręką odjął i na powierzchnię wychynęła przekora, którą tak u niego lubiłam.

— No dobrze! — rzekł głośniejszym głosem. — Skoro imperium musi upaść, niech upadnie! Ale niech to będzie największe imperium ze wszystkich! Niech to będzie Hiszpania!

ROZDZIAŁ XXXV

Stwierdzenie, iż byłam z Robertem szczęśliwa, stanowiłoby niedomówienie, równie odległe od prawdy jak początek od końca długiej angielskiej mili. Dla obojga z nas najbardziej liczyło się to, że mogliśmy być razem. Że czerpaliśmy z siebie nawzajem wielką radość rok po roku. Nasze uczucie nie osłabło, a wzajemne oddanie tylko wzrosło.

Wyłącznie ludzie, którzy zaznali podobnego stanu, zdołają mnie zrozumieć. I będą wiedzieć, iż żadne słowa nie są wystarczające do opisania potężnej i trwałej siły miłości.

Wszelako królowa, odwieczny wróg naszej miłości, robiła co mogła, aby nas rozdzielić, wzywając Roberta na swój dwór i przetrzymując go tam całymi miesiącami, by pełnił kluczową rolę w jej radzie, a czasem także z bardziej trywialnych powodów. Rozkazywała mu pozować do obrazu i tłumaczyła to tym, iż pragnie mieć swój portret z jego sylwetką w tle. Domagała się, aby był obecny na weselach pomniejszych dworzan i chrzcinach ich dzieci. Wysyłała go z żołnierzami na południe Anglii, gdzie chodząc od miasta do miasta, zaciągali pod broń chętnych, doglądali fortyfikacji i składali panom radzie raporty na temat stanu obronności królestwa. Zrobiłaby wszystko, byle zabrać go ode mnie i osłabić łączące nas silne więzy.

— Potrzebuje mnie — oznajmiał Robert oschle, ilekroć do Wanstead przybywał posłaniec z pałacu, przynosząc naprędce nagryzmołoną wiadomość od królowej. — Jest pełna obaw. Żąda, abym się stawił.

Po czym nieodmiennie wyjeżdżał. Wiedziałam, iż szaleństwem byłoby się skarżyć lub zwracać uwagę na prawdziwe motywy Elżbiety, tak często domagającej się jego towarzystwa. Robert Dudley był sługą królowej. Wiernym sługą. A także na pewien sposób — i o to byłam zazdrosna — kochał ją.

Kiedyś byli kochankami, wiedziałam o tym. Ich romans należał jednak do przeszłości. Ufałam, iż Robert mnie nie zdradza, i nie chciałam uczynić nic, co by naraziło na szwank owo zaufanie. Mój mąż służył królowej, ale kochał mnie. Kochał mnie w czas długich rozstań, w noc, w które za nim tęskniłam, niejednokrotnie o nim śniąc. I w dzień, w które go potrzebowałam, gdy był daleko ode mnie.

A potrzebowałam go coraz bardziej, w miarę jak mały Denbigh słabł, ja zaś nabierałam pewności, iż mój syn nigdy nie nauczy się chodzić ani mówić ani też nie wyrośnie jak inni chłopcy. Z okazji jego trzecich urodzin Robert zamówił kolejną malutką zbroję oraz kazał namalować portret ubranego w nią malca. Frank przysłał krzeselko, wspaniale rzeźbione i wyściełane czerwonym atłasem. Lecz ja już wiedziałam, iż syn mój i Roberta nigdy w nim nie zasiądzie,

albowiem w dalszym ciągu nie umiał nawet siedzieć i tylko leżał w swoim łóżeczku, niemal bez ruchu, od rana do wieczora.

Siadywałam przy nim, pełniąc wartę, odmawiając modlitwy i czytając psalmy z mojej księgi. Pani Clinkerte donosiła mi jedzenie, ale ja tylko skubałam potrawy.

Właśnie pani Clinkerte któregoś ranka — zajrzawszy do komnaty dziecięcej i zobaczywszy nieruchome ciało mego syna, jego malutką pierś ledwie się podnoszącą przy każdym oddechu — przysłała do mnie i delikatnie zaproponowała, aby posłać po sir Roberta.

Ton miała łagodny, co już samo w sobie było dziwne, jako że zazwyczaj wykazywała się stanowczością i opryskliwością. Ta jej łagodność powiedziała mi, jak ciężko chory jest mały Denbigh. Mimo iż wiedziałam, że ma rację, zapłonęłam gniewem i w pierwszym odruchu się sprzeciwiłam. Opierałam się przed przyznaniem najgorszego, opierałam się przed podzieleniem się z moim drogim Robertem tym, czego najbardziej się bałam.

W końcu jednak zrozumiałam, iż nie mam wyjścia. Musiałam osobiście mu przekazać, iż powinien wrócić do domu. Kazałam służącej przynieść pelerynę i buty do jazdy konnej i w eskorcie dwóch pachołków popędziłam co koń wyskoczy do pałacu Nonsuch, gdzie akurat przebywał dwór królowej.

Umęczona i spragniona, ponaglana przez świadomość, iż nie zostało wiele czasu, dotarłam pod bramy pałacu i tylko zwolniwszy nieco, opowiedziałam się strażom, po czym natychmiast wjechałam na wewnętrzny dziedziniec. Wkrótce wchodziłam już do budynku, z pachołkami depczącymi mi po piętach.

Znałam ten pałac dobrze, gdyż nieraz w nim mieszkałam jako dworka i dama dworu królowej. Teraz skierowałam się więc prosto do jej komnat i zatrzymałam się przed drzwiami wiodącymi do pomieszczenia, w którym zazwyczaj spotykała się rada królewska.

— Hrabina Leicester — oznajmiłam gwardzistom. — Przywożę wieści niezwyklej wagi swemu mężowi.

Jeden z gwardzistów mnie poznał i otworzył przede mną drzwi.

Wpadłam do środka i rozejrzałam się w poszukiwaniu drogiej mi twarzy.

Roberta nie było przy stole.

Zamiast niego zobaczyłam zszokowanego Williama Cecila (który tymczasem otrzymał tytuł barona Burghley), Francisa Walsinghama i własnego ojca.

— Nie, hrabino! Nie wolno ci tu być! — zakrzyknął jakiś inny doradca. — Nie wolno ci przebywać na dworze królewskim! Jej wysokość...

— Gdzie jest mój mąż? Dlaczego nie ma go pomiędzy wami? — zapytałam przejętym głosem. — Ojcze, gdzie jest Robert?

W odpowiedzi wyrzucił tylko ręce w górę i odwrócił głowę.

— O co chodzi? Czy coś się stało? Czy dowodzi swoimi żołnierzami?

Wszyscy unikali mojego wzroku. Paru wymieniało ciche uwagi.

Wtedy uderzyła mnie straszna myśl. Bez zastanowienia, zanim ktokolwiek zdążył mnie powstrzymać, wybiegłam z komnaty rady i wpadłam do prywatnych apartamentów królowej, bezpośrednio z nią sąsiadujących.

Pierwsze pomieszczenie było puste, w drugim zastałam tylko przestraszone pachole, wymiatające popiół z kominka.

Ale dalej, w niewielkiej komnacie służącej Elżbiecie za prywatną garderobę, znalazłam ich oboje.

Stałam jak wryta w progu. Próbowałam złapać oddech. Nie wierzyłam własnym oczom.

Robert klęczał przed stojącą królową, trzymając jedną rękę na jej pomarszczonej chudej nodze i przesuwając dłoń w stronę tego, co Cecylia miała w zwyczaju pogardliwie nazywać „jej królewską dziewiczością”.

Elżbieta miała na sobie tylko lekką, koronkową bieliznę. Jej starzejące się kościste ciało, uschnięte i pokryte zmarszczkami, białe niczym jadalny grzyb, było paskudne. W powietrzu wisiał ciężki zapach piżma. Piżma, którym Robert perfumował swoje mieszki na części intymne.

Trwałam w bezruchu, oszołomiona. Twarz królowej nabiegła czerwienią. Elżbieta krzyknęła na strażę. Robert, blady i wystraszony, opuścił błędzącą dłoń i podniósł się z kolan, stając przed królową, aby ochronić ją przed moim nieproszonym spojrzeniem.

Wówczas ja, nie dając gwardzistom czasu na pojawienie się w komnacie i schwytnięcie mnie, wypadłam na zewnątrz, wciąż eskortowana przez swoich pacholków, po czym zamiast skręcić w szeroki, rozjaśniony blaskiem pochodni reprezentacyjny korytarz pałacu, zagłębiłam się w wąski, ciemny, cuchnący uryną labirynt przejść dostępnych dla służby, roznoszącej bochny chleba, wiadra i cebry, drwa na opał i pościel. Przeciskałam się pośród zabieganego tłumu, oślepiona przez łzy, potykałam się na nierównych kamieniach pod stopami i z każdym bolesnym krokiem coraz bardziej chciałam krzyknąć: nie, nie, nie!

ROZDZIAŁ XXXVI

— Musisz zrozumieć. Musisz.

Słyszałam gardłowy, błagalny głos Roberta dobiegający zza grubych dębowych drzwi naszej komnaty sypialnej w Wanstead. Wróciłam do domu zraniona i smutna, czując się zdradzona, oszukana i zła — przepełniała mnie chęć wzięcia odwetu. Na moim mężu, na królowej, na całym świecie.

Lecz kiedy znalazłam się u siebie, nagle ogarnęła mnie ociężałość, jakby moje członki odlano z ołowiu. Nie byłam w stanie się ruszyć. Zdołałam zajrzeć do małego Roberta i przekonałam się, iż jego stan nie zmienił się ani trochę od czasu, kiedy go opuściłam. Trzymał się kurczowo życia, ale był niesłychanie chudy i słaby.

Wykończona udałam się do sypialni, aby się położyć i zebrać siły, i wtedy właśnie usłyszałam głos Roberta za drzwiami. Najwyraźniej wyjechał z pałacu zaraz po mnie. Serce mnie bolało, kiedy mówił:

— Proszę, Letycjo. Wpuść mnie. Pozwól mi wszystko wytłumaczyć.

Wcześniej zamknęłam drzwi na klucz i ani myślałam ich otwierać. Milczałam.

— Letycjo! — Uderzył pięścią w drzwi. — Letycjo! Zakryłam uszy dłońmi.

— Nie rozumiesz. Chyba nie sądzisz, że ja... że my...

— Idź precz! Idź precz i zostaw mnie w spokoju! Teraz to Robert milczał, ale tylko przez chwilę.

— Zostanę tutaj, aż wysłuchasz wszystkiego, co mam do powiedzenia! Elżbieta, którą widziałas, była przerażona. Nigdy nie widziałem jej tak przestraszonej. Dostała jednego z tych nerwowych ataków. Ktoś ją napadł! Znowu! Jakiś Walińczyk tym razem. Zakichany karłowaty Walińczyk z nożem. Nieomal poderzwał jej gardło! Przebrał się za strażnika. Z początku nikt nie wiedział, co się dzieje. Na szczęście udało nam się obezwładnić go w porę. Królowa zemdlała. Kiedy odzyskała przytomność, nie umiała przestać krzyczeć.

Mimo iż trzymałam ręce przy uszach, głos Roberta przedzierał się przez nie, tak że słyszałam każde jego słowo. Wyrzucał z siebie słowa gwałtownie, dysząc jakby z pośpiechu, aby czym prędzej przekazać całą wiadomość. Opowiadał mi, iż Elżbieta była bliska śmierci.

Grzmotnął w drzwi, najpierw dłonią na płask, a potem czymś metalowym. Przypuszczałam, iż użył rękojeści miecza.

— Posłuchaj mnie, Letycjo. Zastałaś nas tylko we dwoje, ponieważ królowa odesłała wszystkie dworki. Zdarła z siebie ubranie. Nie była sobą z tego strachu. Ja próbowałem tylko

doprowadzić ją do porządku. Nie chciałem, żeby... Nie zniósłbym, gdyby... — urwał, kiedy emocje wzięły nad nim górę. — Połowa tych starców dokoła niej uważa, że Elżbieta traci rozum. Nie mogłem pozwolić, aby im się pokazała półnaga.

Odjęłam dłonie od uszu. Czyżby to była prawda? Czyżbym źle odczytała scenę ujrzaną w pałacu? Robert starał się chronić królową, a nie dobierał się do niej lubieżnie?

Mogło tak być. Ale mogło też być i tak, iż zamiast prawdy mówił mi to, w co jak sądził, byłam w stanie uwierzyć. Zawahałam się.

— Wpuść mnie, Letycjo.

— Nie.

— Wpuść mnie!

Wyczerpanie. Pomieszanie. Gniew. A zarazem dokuczliwa świadomość, iż moje poczucie zdrady i bycia oszukaną ustępuje pod naporem przekonujących słów Roberta. Królowa była celem skrytobójców, i to nie raz. Często miewała ataki nerwowe. Sama odczułam niejedną na własnej skórze. Miała w zwyczaju odsyłać dworki i służki, wrzeszcząc na nie i grożąc im. I ufała Robertowi, tylko Robertowi ze wszystkich ludzi, nic dziwnego więc, iż chciała mieć go przy sobie ku pociesze i pomocy.

Robert zamilkł. Czyżby się poddał i odszedł? I czy jeszcze wróci? Próbowałam zasnąć, lecz nie potrafiłam długo utrzymać powiek zamkniętych.

Wtem dosłyszałam szurające dźwięki i męskie głosy za drzwiami. Krzyki. I metaliczny hałas.

Nagle rozległo się donośne łupnięcie i solidne, ciężkie dębowe drzwi ustąpiły. Robert wpadł do środka. Wrzasnęłam.

Znalazł się wewnątrz w okamgnieniu i natychmiast podszedł do łoża, stawiając duże i zdecydowane kroki. Chciałam skulić się pod jedwabnym przykryciem, lecz on już złapał mnie za ramiona i przygwoździł w miejscu, wisząc nade mną z marszem na czole i nie posiadając się z... no właśnie, z czego? Troski? Niepokoju? A może czegoś bardziej ponurego? Niczego nie byłam pewna.

W tamtej chwili nie był moim mężem. Był mężczyzną miotanym gwałtownymi uczuciami. Człowiekiem, który dopiero co wyłamał drzwi za pomocą tarami. I który teraz trzymał mnie w mocarnym uścisku, zdając na swoją łaskę.

Przestałam oddychać. Wiłam się pod jego ciężarem, mimo iż przez cały czas wiedziałam, że wszelki opór jest daremny. Robert był ode mnie znacznie silniejszy. Zawsze czułam się zagrożona jego mocą, jego wigorem, siłą jego namiętności, niemal zwierzęcą, pierwotną potencją. Ale z

drugiej strony właśnie ta siła mnie w nim pociągała. I nawet w chwili takiej jak ta, pomimo przerażenia, wzbudziła moje pożądanie.

— Letycjo — odezwał się. — Nie pozwolę, żebyś cierpiała, myśląc o mnie niestworzone rzeczy. Kocham cię. Jestem twoim oddanym małżonkiem, teraz i po wsze czasy. Musisz mi uwierzyć.

A potem pochylił się nad moją twarzą i pocałował mnie, i pocałunek ten bynajmniej nie smakował zdradą. Trwał przez pół nocy i przyniósł ze sobą pełną odnowę naszej miłości.

Miłość powróciła, lecz — niestety! — nadzieja odeszła.

Nasz najdroższy mały Denbigh zmarł kolejnej nocy, pośród najgłębszych ciemności przed wstającym świtem, kiedy świece się dopalają, a ptaki dopiero zaczynają się budzić w koronach drzew za oknami. Trzymałam go za rączkę. Poczułam, jak uścisk na moim palcu słabnie, a jego dłoń wiotczeje.

— Nadszedł koniec rodu Dudleyów — oświadczył uroczyście Robert.

Popatrzyliśmy na siebie z żalem, ale nic więcej nie powiedzieliśmy.

Miałam pozostałe dzieci, a Robert miał swojego bękarta. Wszelako nasz drogi chłopiec, długo wyczekiwany dziedzic, który by poniósł nazwisko mego męża w przyszłość i który zgodnie z oczekiwaniami ojca być może wżeniłby się w ród królewski, szczeł.

Został pochowany w swojej malutkiej zbroi i złożony w kosztownym grobowcu. Nagrobek miał skromny, a wyryte w kamieniu słowa opisywały go jako chłopca urodzonego ze szlachetnych rodziców i wspaniale się zapowiadającego. Ku naszemu wielkiemu smutkowi zgasł, zanim nawet wyszedł z wieku dziecięcego.

Nie mogłam dać Robertowi następnego syna. Za sobą miałam płodne lata, a nawet gdyby było inaczej, brakowało mi sił na kolejny męczący poród. Trudy położu minęły, zastąpił je trud żałoby, której nie zakończyłam prędko.

ROZDZIAŁ XXXVII

Był środek lata, nasz nowy przystojny koniuszy Chris Blount nadzorował przebudowę stajni i konstruowanie zegara słonecznego na moją prośbę. Siedziałam w ogrodzie pośród róż, w bezruchu i zatopiona w myślach, czując się bardzo samotna.

Gdy młody Chris przyniósł mi fiołki, uśmiechnęłam się i podziękowałam mu, aczkolwiek z roztargnieniem. Zatraciłam się w sobie, coś odciągało mnie od spraw tego świata, tak że ledwie byłam świadoma otoczenia. Upał nagrzewał kamienie, jaszczurki przemykały po starych murach i prażyły się w promieniach słońca z przymkniętymi oczkami, i tylko przymuszone śmigały do kryjówek pod osłoną dachu. Ryby w sadzawce szukały ukojenia od gorąca pod szerokimi mokrymi liśćmi. Wszelako ja, milcząca jak głaz i tak samo nieruchoma, nie chowałam się w cieniu. Siedziałam w jednym i tym samym miejscu do chwili, aż niebo zaciągnęło się chmurami i krople deszczu zaczęły pluskać w poidle dla ptaków. Wówczas w ogrodzie pojawiła się pani Clinkerte i cmokając, skarciła mnie za beztroskę, za to, iż pozwalałam najpierw słońcu niszczyć mi cerę, a potem deszczowi — suknię. Kręcąc głową z niezadowolenia, zaprowadziła mnie do domu.

Prawda jest taka, iż przestało mi zależeć na wyglądzie. Niegdyś błyszczące kasztanowe włosy zaczęły blednąć, a skóra, różana i zadziwiająco długo pozbawiona zmarszczek, jęła tracić blask i pokrywać się cieniutkimi liniami. Doktor Julio przywiózł mi nalewkę z dziurawca, zapewniając, iż zwalcza melancholię i pomaga w zasypianiu (albowiem podówczas cierpiałam na bezsenność), ale ja nie zauważyłam żadnej poprawy i wkrótce przestałam ją zażywać. Zresztą niechętnie sięgałam po cokolwiek zadanego ręką doktora Julio, zbyt wielu ponurych plotek się nasłuchiłam o tym, do czego w przeszłości zaprzęgał swą wiedzę.

Długo siedziałam, słuchając cichego szumu deszczu, markotnie i beczynnie. W końcu położyłam się spać i pogrążyłam w niespokojnym śnie, nawiedzanym myślami o tym, że utraciłam jakąś istotną część siebie i że jestem — cytując słowa, jakie zapadły mi w pamięć przy którymś kazaniu — „ciałem bez ducha”.

Codziennie, małe, konieczne zadania wyrywały mnie czasowo z beczynności: dawanie jałmużny wędrownym żebrakom, którzy pukali do drzwi, chudzi i bladzi, i pełni niepokoju, prosząc o coś do jedzenia (karmiłam ich zawsze przy naszym stole i odsyłałam z koszykami wyładowanymi po brzegi pieczywem i owocami); zajmowanie się starym sokolniczym z Hampton Court, który zamieszkał na naszych ziemiach schorowany i wymagający leczenia, ze skórą cienką jak pergamin i zgrzytliwym, łamiącym się głosem; rozpatrywanie kandydatury na męża dla Penelopy, z czym wiązały się liczne pytania natury prawnej dotyczące posagu, wiana i oprawy.

No i był jeszcze młody Robert, mój strzelisty, urodziwy, ciemnooki syn, który przyszedł na świat pod znakiem Wenus. Gdy umarł Denbigh, okazał mi wiele troskliwości i uwagi. Miał już osiemnaście lat, wyróżniał się w swoim kolegium w Cambridge, pozostawał kawalerem i przejawiał tyle samo ambicji co jego ojczym. Aż trudno było uwierzyć, iż ten utalentowany młodzieniec jest synem nudnego Waltera, taki urok roztaczał i tak błyszczał. Ani mu było w głowie sporządzanie mozolnych zestawień! Czuwał nade mną, przynosząc a to pelerynę, a to książkę (mimo iż nie potrafiłam się skupić nad żadnym tekstem), upewniając się, iż mam pod ręką swoją nalewkę czy kordiał, próbując wciągnąć w rozmowę, bylebym wreszcie się otrząsnęła.

Młodemu Robertowi marzyło się życie na dworze królewskim i rozślawienie swego imienia w szerokim świecie, o czym chętnie mi opowiadał, wszelako z powodu zaciętej niechęci Elżbiety do mnie nie był mile widziany w Londynie. Wszakże mój syn wykazywał się niebywałą cierpliwością, wierząc — jak podejrzewałam — iż wraz z narastającym zagrożeniem ze strony Hiszpanów królowa skwapliwiej będzie go widzieć w swoim pałacu.

W tym czasie mój mąż ciężko przeżywał własną żalobę. Wybierał się na długie samotne przechadzki, biorąc do towarzystwa tylko swego psa imieniem Boy, ulubionego ogara o pociągłym pysku równie smutnym jak twarz jego pana. Robert nie przestał utykać na opuchniętą nogę i stał się jeszcze bardziej kłótlivy, a gdy się odzywał — co nie zdarzało się często — głos miał zrzędlivy. Prawie się nie widywaliśmy przez wiele dni z rzędu, a kiedy już do mnie przychodził, czynił to zazwyczaj po to, aby powiedzieć mi, iż coraz poważniej myśli o odejściu ze służby u królowej.

— To dla mnie za dużo, Letycjo, zdecydowanie za dużo przy moim wieku i stanie zdrowia — zauważył któregoś ranka, podczas gdy zajmował się nim ceniący się nastawiacz kości z Paryża, niejaki Ezard. Siedział z uniesioną nogą i obnażoną nabrzmiałą czerwoną stopą, na której palce Ezard nakładał cuchnącą masę. — Sterty listów i raportów, jakie trzeba przeczytać... a jest ich jeszcze więcej, odkąd wzrosła liczba szpiegów i informatorów... nieustanne przepychanki z Burghleyem i jego garbatym synem, którego umieścił w radzie, i z twoim ojcem, który sprzeciwia się wszystkiemu, co powiem! I to wieczne skakanie wokół królowej, zabawianie jej, uspokajanie, staranie się, by myślała, iż każdy dobry pomysł wyszedł od niej... Och, mówię ci, to nie na siły niewolnika, a już na pewno nie na moje, takiego podstarzałego wielmoży jak ja! Robię to samo od ponad ćwierćwiecza!

Siedziałam cicho, nie przerywając mu, wiedziałam bowiem, iż musi się wygadać.

— Proszę o wybaczenie, wasza miłość — odezwał się nastawiacz kości — ale chciałbym spytać, kiedy ostatnio wzmogła się opuchlizna?

— Zrzucił mnie z siodła mój narowisty irlandzki wierzchowiec, Deresz. Od tamtej pory nie mogłem nawet wzuć buta. Czyli przez jakieś dziesięć albo piętnaście dni, zgadza się, Letycjo?

Potwierdziłam jego słowa skinieniem głowy.

— Najgorzej go boli nocami — dodałam. — Krzyczy przez sen. Ma rozgorączkowaną głowę i nie wydala wody.

— Nie wydala wody?

— Usiłuje, ale cieknie tylko strużka.

— A niech to, Letycjo, chyba mogę mówić za siebie?

— Proszę o wybaczenie, wasza miłość, ale jeśli nie umiesz... ulżyć sobie... chyba potrzebny ci chirurg.

— Nie, dziękuję! Potrzebuję tylko, żebyś zmniejszył opuchliznę na mojej stopie, dzięki czemu będę mógł włożyć buty i pojechać do Buxton. Tamtejsze łaźnie zawsze wywierały na mnie zbawienny wpływ.

Ezard zmilczał, lecz po jego minie widziałam, iż według niego Robert nazbyt lekko traktuje swoją przypadłość. Wszakże nauczona doświadczeniem trzymałam język za zębami; podobnie jak Francuz tylko zmarszczyłam czoło i znów siedziałam cicho.

Nastawiacz kości jął rozprawiać na opuchliznie koźlęcy tłuszcz, a Robert wiercił się i przeklinał.

— Jeśli wolisz, wasza miłość, mogę otworzyć żyłę. Albo przystawić pijawki...

— Nie! Smaruj dalej! Aargh! Auć!

W końcu, po półgodzinie głośnych protestów i męczarni, monsieur Ezard zakończył zabieg i wyciągnął z torby szczelnie zamknięte naczynie.

— Odrobina każdego dnia — polecił Robertowi. — Zmniejszy obrzęk i ból.

— Co to takiego?

— Rosówki, szpik z kości maciory, zioła i sekretny składnik znany tylko mnie.

— Nie będę jadł robaków — rzekł Robert głucho. — Już raz zaordynowano mi sok z rosówek.

— Tej mikstury się nie je. To balsam. I będziesz go używał. Poczujesz się od tego lepiej.

Już w trakcie mówienia wiedziałam, iż pilnując, aby Robert stosował się do zaleceń nastawiacza kości, polepszę też swoje samopoczucie. Będę miała jeszcze jedno zajęcie i mniej czasu na użalanie się i rozmyślanie.

Monsieur Ezard z ukłonem przedstawił mojemu mężowi rachunek.

— Letycjo! Gdzie moje okulary? Znalazłam je i przyniosłam.

— A to co? Trzydzieści funtów za trochę tłuszczu z kozła i parę rozgniecionych rosówek?

— Za moją fachową wiedzę i poradę, wasza miłość — poprawił nastawiacz kości.

Robert nie wydawał się przekonany, lecz zgodził się zapłacić żadaną sumę i odesłał Ezarda do swojego ochmistrza.

Monsieur Ezard uklonił się ponownie.

— Jak tylko otrzymam zapłatę, przyślę ów sekretny składnik — powiedział, wychodząc.

— Niech diabli porwą Francuzów! — warknął Robert.

— A wraz z nimi Niemców i Burgundczyków, i Walończyków, i Flamandczyków, i przede wszystkim przeklętych Hiszpanów!

Robert nie był w najlepszej ani nawet dobrej formie jako mąż, kochanek czy choćby towarzysz. Nasze małżeństwo wymagało licznych kompromisów i wiele wyrozumiałości z mojej strony i choć dotychczas stawałam na wysokości zadania bez większych problemów, w tych ponurych dniach po śmierci naszego jedyne go syna czułam, iż żąda się ode mnie za dużo.

Piszę te słowa niechętnie, lecz w rzeczywistości nieraz myślałam, że zwlekaliśmy z Robertem zbyt długo. Że mimo iż zazналиśmy ze sobą sporo szczęścia, w chwili ślubu Robert miał najlepsze lata dawno za sobą. Królowa i Douglass Sheffield spiły śmietankę, a mnie zostały ledwie resztki. Oczywiście podobne myśli nachodziły mnie tylko wtedy, gdy Robert był naprawdę nie do wytrzymania, odczuwając trudy wieku i choroby. Nigdy też nie przestałam go kochać ani być pełna poświęcenia. Mimo to coraz częściej czułam, iż jestem żoną starca, i samolubnie żałowałam, iż nie dane mi było spędzić więcej lat u boku silniejszego, zdrowszego i pogodniejszego Roberta Dudleya. Miałam zaledwie czterdzieści trzy lata, kiedy umarł mały Denbigh, a Robert był znacznie bardziej posunięty w latach.

Nie chodziło tylko o opuchniętą stopę i inne dolegliwości, za moimi niewdzięcznymi, egoistycznymi myślami kryło się coś więcej. Robert zmieniał się na wiele sposobów. Jego przystojną twarz pobruździły zmarszczki, a policzki stały się obwisłe. Często opadały mu kąciki ust, zupełnie jak u królowej, kiedy chciała okazać dezaprobatę. Tracił włosy. A jego skóra, ta sama skóra, która kiedyś była tak nadzwyczajnie miła w dotyku, gładka i zachęcająca, zrobiła się szorstka i wiotka. Brzuch, choć nigdy nie nazbyt wystający, zaokrąglił się, kończyny zaś nie były już tak jędrne jak u — dajmy na to — młodego koniuszego Chrisa, który mógł się poszczycić ciałem Adonisa.

Wiem, iż moje nielojalne myśli (jeśli można je tak nazwać) wynikały z utraty ducha, wszakże swego czasu nieustannie mnie dręczyły. Modliłam się o wybawienie z tej otchłani przygnębienia i w końcu, w dużej mierze dzięki wydarzeniom rozgrywającym się wokół mnie, odzyskałam radość życia. Także Robert stopniowo stawał się weselszy, aczkolwiek rana po naszej

wspólnej stracie spowodowanej śmiercią jego dziedzica była głęboka i nigdy się w pełni nie zagoiła u żadnego z nas.

Robert otrząsnął się ze smutku za sprawą projektu, nad którym myślał od dawna i który był bardzo bliski jego sercu.

Przez wiele lat, od czasu gdy walczył pod Saint-Quentin u boku swoich braci, Henryka i Ambrożego, i był świadkiem, jak Henryk ginie od uderzenia kuli armatniej, Roberta zaprzętała sprawa położenia weteranów wojennych, szczególnie tych, którzy odnieśli rany i nie mogli już więcej walczyć. Wielu potrzebowało pomocy i opieki, a odkąd ojciec Elżbiety rozwiązał klasztor, brakowało w Anglii zakonnych lazaretów, gdzie braciszkanie by się nimi zajęli. Mój mąż własnym sumptem wznosił w Warwick szpital, choć gwoźli prawdy nie znajdował wiele czasu, by osobiście nadzorować prace budowlane. Teraz postawił sobie za cel dokończenie budowli i zanim nastąpiła zima, wywiązał się z tego zadania.

Osiemdziesięciu starców, weteranów rozlicznych wojen, w tym niejednego taki, co walczył jeszcze pod królem Henrykiem z Francuzami w latach czterdziestych, trafiło do Robertowego szpitala, gdzie dbali o nich uzdolnieni lekarze i zielarze. Robert nazwał szpital imieniem swego świętej pamięci brata i umieścił przy bramie głaz pamiątkowy.

MOJEMU UKOCHANEMU BRATU HENRYKOWI DUDLEYOWI, KTÓREGO MĘSTWO ZNALAZŁO DOWÓD NA POLU BITWY I O KTÓRYM PAMIĘĆ NIGDY NIE ZGINIE. OBY WSZYSTKIM ŻOŁNIERZOM OKAZYWANO SZACUNEK I POMOC.

Uważałam, iż to bardzo szczytne przedsięwzięcie, i powiedziałam to Robertowi. Pomięłam milczeniem koszt budowy szpitala. Mój mąż był rozrzutny, jak zawsze. Zaciągnął pożyczki pod zastaw naszych ziem, także aby mieć z czego utrzymywać szpital w przyszłości. Czy dług miał szansę zostać kiedykolwiek spłacony? Żywiłam co do tego poważne wątpliwości. U naszych bram zawsze kręcili się wierzyciele. Jakimś cudem Robertowi i jego bankierom udawało się zaspokoić ich roszczenia — przynajmniej tymczasowo. Robert nie rozmawiał ze mną o kwestiach finansowych, a ja nauczyłam się o nic go nie pytać.

Wszelako dopiero gdy mi oznajmił, iż wybiera się do Londynu na egzekucję niedoszłego zabójcy królowej, zrozumiałam, iż na dobre porzucił żalobę i kwaśny humor.

— Powieszą zakichanego Walijczyka — obwieścił. — A ja będę tego świadkiem. Wyobrażasz sobie, Letycjo, że sam papież obiecał wynagrodzić go sownie, gdyby przeprowadził sprawę do końca i pozbawił życia naszą królową? A nawet obiecał mu rozgrzeszenie, oczywiście katolickie!

Nie sprzeciwiałam się jego wyjazdowi, przeciwnie, zachęcałam go, by jechał. Pod szafotem mieli być obecni wszyscy członkowie jego sekretnego ugrupowania. Pod bronią. Ku przestrodze

katolików w Anglii, nadal mających nadzieję, iż protestantyzm upadnie, i pokładających wiarę w kuzynce Elżbiety, Marii Stuart, w której żyłach także płynęła krew Tudorów.

Robert wyruszył więc w drogę z silną eskortą zbrojnych, a ja przyglądałam się jego plecom, podczas gdy z nieba padał deszcz, rozmiękczając i zamieniając w błoto ziemię pod kopytami wierzchowców. Zdawałam sobie sprawę, iż nic by go nie odwiodło od tej wyprawy, pomimo całej gadaniny o porzuceniu służby u królowej. Wiedziałam też — niedługo potem — jaka będzie odpowiedź mego męża na wezwanie, które nadeszło do Wanstead pod jego nieobecność:

Elżbieta mianowała go wodzem naczelnym sił wysłanych do Niderlandów w celu obrony przed zagrażającymi Koronie wojskami Hiszpanii.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Morale Roberta nie mogło być wyższe, kiedy wchodził na pokład swego okrętu flagowego mającego go powieźć do Sluys. Królowa zabroniła mi go żegnać na brzegu, wszakże ja pojechałam wbrew jej zakazowi i uściskaliśmy się i ucałowaliśmy, zanim wsiadł do barkasu i popłynął na swój statek, Triumf Albionu.

Wysyłałam go w tę podróż ze skrzynią pełną nowych lnianych koszul i nocnych czepków z czarnego jedwabiu, dzięki którym przy niskich temperaturach nie marzły mu uszy. Poza tym zabrał ze sobą także balię do kąpieli, dziesiątki miękkich ręczników i zwierciadło. Na pokładzie okrętu znalazł się nawet powóz, w którym zamierzał dokonywać objazdu obozu wojskowego i brać udział w obchodach zwycięstw.

Wysyłałam go prezentującego się godnie, w pelerynie, dublecie i pludrach z niebieskiego i purpurowego atłasu ze szkarłatną podszewką, wysokim czarnym nakryciu głowy z dobranymi pod kolor piórkami i z uperfumowanymi rękawiczkami zdobionymi czarnym jedwabiem i złotem.

Wyglądał imponująco, gdy machał mi na pożegnanie, barwne flagi i chorągiewki powiewały z masztów nad jego głową, a z okrętowych kolubryn rozlegały się salwy wstrząsające porannym powietrzem.

Donośny krzyk wydarł się z gardeł gapiów, kiedy pokazała się barka królewska, wioząca na Triumf Albionu Elżbietę mającą towarzyszyć memu mężowi w pierwszej części jego podróży, w dół rzeki do Canterbury. Na moich oczach zaprosił ją na pokład i obdarował niebiesko-purpurowymi podwiązkami stębnowanymi złotą nicią. Pokazał mi je przed opuszczeniem Wanstead ze słowami: „Spodobają jej się. Wprost szaleje za podwiązkami”. Przymierzył też wtedy jedną, żeby sprawdzić rozmiar, co doprowadziło mnie do śmiechu.

Wypatrywałam sobie oczy i machałam zawzięcie, aż okręt wpłynął za zakręt rzeki i zniknął z widoku, ustępując miejsca reszcie floty. Miałam szczerą nadzieję, iż wszystko skończy się dobrze dla Roberta i jego ludzi — pięciu tysięcy piechoty i tysiąca konnych, a zwłaszcza dla dwóch z nich, mego drogiego syna po Walterze i koniuszego Chrisa, który został przyjacielem i towarzyszem broni młodego Roberta.

Ci dwaj chłopcy — wciąż myślałam o nich jako o chłopcach — zdawali się silni i wytrzymali, kiedy wsiadali na pokład razem z wiekowym Whafferem, który zaoferował się na ich służbę i giermka. Byli w dobrych nastrojach i tryskali optymizmem, nie mieli wątpliwości co do wyniku inwazji i żartowali sobie, iż rozprawią się z Hiszpanami raz-dwa i wrócą w ciągu paru miesięcy, zanim ich zbroje zdążą zardzewieć, a konie zmierzwić grzywy.

Pomimo żartów i młodzieńczej pyszałkowatości doskonale wiedziałam, iż hiszpańskie zagrożenie jest nader realne. Mój ojciec ostrzegał przed nim od lat i przytakiwała mu większość panów rady. Król Filip zajął ogromną część globu, panował na rozległych ziemiach w Nowym Świecie, a także w Neapolu, na Sycylii i w Mediolanie. Jego dominacja w Niderlandach również była wyraźna. Wraz z ostatnim podbojem Portugalii zyskał następne niemałe tereny, umacniając swą imperialną pozycję, w czym pomogła mu wspinała flota tego kraju, na którą składali się uzdolnieni żeglarze.

Tak przynajmniej słyszałam — a do niedawna słyszałam także to, iż nasza królowa z niechęcią myśli o wojnie. Tymczasem jednak zmieniła zdanie. Postanowiła rzucić wyzwanie Filipowi w miejscu, gdzie jego pozycja była najslabsza, mianowicie w Niderlandach, które choć winne mu poddaństwo, występowały przeciwko niemu na każdym kroku. Gdyby Anglicy skutecznie wsparli rebeliantów, być może dałoby się powstrzymać hiszpańskie zagrożenie.

Przez cały miesiąc z niecierpliwością wyczekiwałam listu od Roberta, a kiedy w końcu otrzymałam wiadomość, pochłonełam ją w okamgnieniu. Rozpisywał się (zastanawiałam się, jakim cudem znalazł na to czas) o przyjaznym powitaniu, jakie zgotowali Anglikom protestanci Holendrzy. O tym, iż czuł się niemal jak Mesjasz, podczas gdy wszędzie wokół wykrzykiwano na jego cześć, adorowano go i czczono w każdym miasteczku i każdej wsi, gdzie tylko się pojawił.

— Ocal nas, ocal, hrabio Leicester! — wołali doń ludzie, powodując u niego łzy.

Płacz, jak wiedziałam, wywołany był raczej zmęczeniem niż wzruszeniem. Mój Robert jak zwykle się nie oszczędzał i dawał z siebie wszystko, zapominając, ile ma lat na karku. Taki już był i nikt nie mógł nic na to poradzić.

Wróciłam do lektury listu. Jego ton zmienił się z uniesionego na zaniepokojony. Robert opisywał podupadłe teraz prowincje — zamiast kwitnących, zazielenionych pól i zatoczek pełnych statków widział zachwaszczone ugory, zamulone zatoki, statki puste i gnijące na redzie.

Pisał:

Obawiam się, że nie jestem w stanie ich ocalić, dobrych niderlandzkich protestantów. Poszczę i modłę się, śpiewam z nimi psalmy, aby pokazać, iż całym sercem jestem po ich stronie. Wszelako oni klóć się nieustannie, nie ma między nimi zgody. Nam zaś ciągle brakuje zapasów.

Dodawał, że mój syn sprawuje się dobrze i zasłużył sobie na dowództwo, a Chris okazał się wytrzymałym i dzielnym wojownikiem (i awanturnikiem, co przemycił między wierszami), oraz że stary Whaffer pozostaje sprawny i użyteczny pomimo swojego wieku i tylko on jeden nigdy nie choruje ani na nic się nie skarży.

List od Roberta sprawił, iż zapragnęłam dołączyć do niego tam, we Flandrii, i wesprzeć go na duchu. Ale oczywiście nie starczyło mi odwagi. Nawet gdybym zdecydowała się dostać na kontynent w tajemnicy — może zabierając panią Clinkerte w charakterze służącej — moją obecność szybko odkryliby szpiedzy królowej. Wina spadłaby na Roberta. Ucierpiałby przeze mnie. Nie mogąc na to pozwolić, pozostałam w Wanstead, wyczekując następnych wieści.

Moją uwagę odwracały sprawy rodzinne. Uroczą Penelopa wyszła za porywczego i zadufanego w sobie barona Rich, wysokiego, potężnego mężczyznę o nieposkromionym apetycie, rozpychającego się łokciami i wydającego polecenia służbie takim tonem, iż echo rozlegało się we wszystkich trzydziestu pięciu komnatach naszego domu. Był bogaty jak Krezus, lecz ubogi w walory duchowe, takie jak łagodność i wspaniałomyślność. Robert także nie cenił go wysoko, lecz uważał za doskonałą partię dla mającej silną wolę Penelopy, wiedząc, iż ktoś taki zapewni mojej córce odpowiednią pozycję, a przy tym zdoła utrzymać ją w ryzach. Po paru gwałtownych protestach w końcu zgodziła się za niego wyjść i odbyło się wesele. Przed upływem dwóch lat mieli dwoje dzieci — dwóch chłopców — a Penelopa znowu była brzemienna i żałowała, iż dała się namówić na to małżeństwo.

Po drodze doszło do drugiego ślubu, raczej niespodziewanego. Moja droga młodsza córka Dorota, której słodka, spolegliwa natura tylko się pogłębiła przez lata, zadziwiła nas wszystkich, wychodząc za wieloletniego ukochanego Neda Mudge'a, prostego żeglarza bez grosza przy duszy, nie mówiąc już o majątku czy tytule lub choćby widokach na wzbogacenie się na tym padole.

Od pewnego czasu było mi wiadome, iż młodzi darzą się uczuciem. Wszelako Robert zabronił Nedowi spotykać się z Dorotą, a potem nawet się go pozbył z sąsiedztwa. Jako że Dorota nigdy więcej o nim nie wspomniała, sądziliśmy, iż zauroczenie jej przeszło. Tymczasem Ned nie wyprowadził się daleko, zaledwie do następnej wioski, tak że mogli nadal się widywać w sekrecie. Wreszcie, pośród burzliwych przygotowań do wesela Penelopy, Dorota wyslizgnęła się z Nedem do wiejskiego kościółka, gdzie współczujący ksiądz udzielił im sakramentu, ryzykując, iż ściągnie sobie na głowę gniew Roberta Dudleya.

Ów pełen odwagi, impulsywny postępek Doroty całkowicie mnie zaskoczył. Przecież to ognista Penelopa, zawsze mająca swoje zdanie, lubiła stawiać na swoim, a tu proszę, koniec końców zgodziła się na układne małżeństwo z baronem Rich, podczas gdy kładąca uszy po sobie Dorota odrzuciła konwenanse i wyszła za mąż z miłości. Jej determinacja ukorzyła mnie. Było nie było, poślubiłam Waltera, mężczyznę, którego wybrał dla mnie ojciec i którego nigdy nie kochałam. Dopiero znacznie później zdobyłam się na to, by sięgnąć po kogoś, do kogo wrywało się moje serce — a i to tylko dlatego, iż człowiek ten mnie pragnął i wszystko umożliwił. Wszelako Ned Mudge z całą pewnością nie był Robertem Dudleyem. Był za to, jak wyczuwałam, zdecydowanym, spokojnym, czułym mężczyzną, który miał zawsze trzymać stronę mojej córki i dbać o nią bez względu na warunki, w jakich przyjdzie im żyć.

Czy więc Dorota dokonała lepszego wyboru? Z biegiem lat zaczęłam w to wierzyć, aczkolwiek swego czasu napotkała wiele krytyki, ja zaś byłam obwiniana o to, iż nie zapobiegłam tragedii, jaką rzekomo miał być ich ślub.

Byłam rozczarowana i zdumiona tym, co się stało, lecz ani przez chwilę nie czułam gniewu. Wiedziałam, jak to jest: iść za głosem serca. Modliłam się jednak, aby moja córka nie pożałowała kiedyś, iż jest zwykłą panią Mudge, podczas gdy jej żarliwa i piękna siostra tytułuje się baronową Rich i mieszka we wspaniałym dworku. Na szczęście Dorota nie miała skłonności do zazdrości i kiedy wraz z Nedom stanęła przede mną, aby wyznać, co uczyniła, i poprosić o moje błogosławieństwo, kiedy wyciągnęła rękę ze skromną złotą obrączką, zobaczyłam, jak bardzo jest z siebie dumna i jak silną miłością darzy Neda, który wyraźnie odwzajemniał jej uczucie.

Przepelniały ich nadzieje na wspólne życie. Nie dla nich były ponure przepowiednie o śmierci, katastrofach i upadku imperiów. Zdawali się otoczeni ochronnym kokonem miłości — albo przynajmniej ja ich tak postrzegałam z za grubego welonu sentymentów. Wierzyłam, iż miłość pomoże im przetrwać bez względu na to, jak straszne ciemności zapanują nad światem.

Albowiem że mrok ogarniał ziemię, nie ulegało wątpliwości. Wieści docierające z Flandrii były coraz gorsze. Robert pisał o dezercji wśród żołnierzy, spowodowanej przez głód i brak ciepłej odzieży, o kłótności miejscowych i rosnących kosztach wojaczki, a także co najsmutniejsze, o licznych poległych Anglikach. Walecznych poległych, jak dodawał. Tak wielu ludzi zginęło, poświęcając życie dla najwyraźniej przegranej sprawy.

Mój mąż uważał, iż sama ziemia, poprzecinana kanałami i wijącymi się rzekami, zwróciła się przeciwko Anglikom. Że wystąpiło przeciwko nim samo niebo. Przeklinał nieustające deszcze i chłód, bagnisty grunt pod stopami, w który wierzchowce zapadały się po strzemiona — ludzie, zwierzęta i wyposażenie, wszystko mokło pod roniącymi wodę chmurami. Napisał mi:

Cholerne armaty nie chcą wypalać, Letycjo. Nie sposób ich osuszyć. Zbroje rdzewieją nam na grzbiecie, nikt nie dotrzymuje złożonych obietnic, wszędzie tylko kłamstwa, wzajemne obwinianie i zgnilizna!

Wzbierająca z każdym jego słowem gorycz niemal przepalała kartki.

Poprosił, abym przesłała mu więcej koszul i sześć par butów wysokich po uda, i ze wstydem wyznawał, iż jego wspaniały powóz ugrzązł na dobre w moczarach Sluys. Jego nieszczęsna opuchnięta stopa niezwykle silnie dawała mu się we znaki, a w dodatku skończył mu się koźlęcy tłuszcz, którym łagodził ból. (Nie wspomniał o rosówkowej miksturze monsieur Ezarda, ale też nie musiał tego robić).

Najmniej przyjemnie wyrażał się o Rogerze Wilbrahamie, który jak utrzymywał, podkopywał całe przedsięwzięcie swoją korupcją i otwartym złodziejstwem. Zamiast wykorzystywać swoją pozycję zbrojmistrza portowego w Sluys i nadzorcy floty królewskiej do zaopatrywania się w arkebuzy i piki, proch i kule armatnie, solone ryby, ryż i oliwę, ten łotr Wilbraham — jak określał go mój mąż — zatrzymywał pieniądze ze skarbcza królowej dla siebie. Przez niego ginęli kolejni ludzie i padały kolejne konie, a sprawa Niderlandów, zupełnie jak wcześniej pechowy powóz Roberta, grzęzła we wszechobecnym błocie. Co oznaczało, iż znienawidzeni Hiszpanie znów byli o krok bliżsi osiągnięcia swego celu, jakim od zawsze było podbicie Anglii.

Wszelako to nad wyraz cenny towar, jakim była saletra, czyli inaczej czarny proch, doprowadzał Roberta do szewskiej pasji. Łotr Wilbraham, wedle jego najlepszej wiedzy pozyskanej od agentów, rozprawiał się z zapasami, odsprzedając je wrogowi. Ostatnie słowo podkreślił i opatrzył podwójnym wykrzyknikiem:

Wrogowi!! Krążą słuchy, że jego syn Sebastian szmugluje saletrę do Anglii i ukrywa w jaskini gdzieś niedaleko Fowey, dokąd podpływają hiszpańskie statki, by prowadzić handel, a cały proceder kryją tamtejsi katolicy, którzy chętnie widzieliby Elżbietę zdetronizowaną i Marię królową Szkotów noszącą angielską koronę!

Och, Letycjo... Zewsząd otaczają mnie zdrajcy. Gdziekolwiek spojrzę, widzę zdradę.

Ledwie zdążyłam odpowiedzieć na jego smętny list, gdy usłyszałam szalony tętent i rychło krzyki na dziedzińcu pod moimi oknami. Kiedy wyjrzałam, spostrzegłam, iż do budynku wnoszony jest jakiś mężczyzna. Czy to Robert? pomyślałam w pierwszej chwili. Został ranny? Przywieźli go, aby skonał we własnym łóżku?

Zbiegłam po schodach do holu, gdzie natychmiast zobaczyłam, iż wnoszony przez szerokie drzwi pojękujący mężczyzna z całą pewnością nie jest Robertem.

Poczułam niesłychaną ulgę, a zaraz potem — troskę. Albowiem kiedy podeszłam bliżej, przekonałam się, iż patrzę na poszarzałą twarz młodego Chrisa Blounta. Leżał w zakrwawionej i podartej koszuli na stole i sprawiał wrażenie umierającego.

ROZDZIAŁ XXXIX

Czoło miał szerokie i wysokie, usta w kształcie serca i miękkie niczym u dziecka. Z profilu przypominał szlachetnie urodzonego Rzymianina. Oprócz tego wydatnego, garbatego nosa w jego twarzy zwracały uwagę oczy, które — gdy otworzył je trzeciego dnia od powrotu do Wanstead — były tak jak zawsze ciemnoniebieskie, tyle że tym razem jakby zamglone. Wciąż był bardzo blady, ale kolory powoli wracały na jego policzki, a głos, kiedy próbował odezwać się z trudem, nie dał się pomylić z żadnym innym. Tym samym zatroskanym głosem mówił do mnie wcześniej różne rzeczy. Czy mogę przynieść ci pelerynę, milady? Czy mam przesunąć tę ławkę bardziej do cienia, milady?

Byłam przekonana, iż umrze, lecz jego ukryta siła, siła i wigor młodości, wybawiła go od śmierci. A może, jak lubiłam często później myśleć, może po części sprawiła to moja opieka w tych krytycznych dniach.

Gdyż całkiem jak przy małym baronie Denbigh nie odchodziłam od łoża boleści, upewniając się, iż rana — straszna rana, paskudna wyrwa ziejąca w jego piersi i boku, a poczyniona przez kulę muszkietu, podeszła krwią i brocząca cuchnącym płynem — jest należycie i dość często opatrywana przez Francuza monsieur Ezarda, który zamieszkał u nas na stałe i był dostępny, ilekroć trzeba było zająć się jakimś chorym. A trzeba było to robić nierzadko, gdyż domostwo nie należało do małych — mieliśmy lekko licząc setkę służących, a oboje z Robertem wierzyliśmy, iż winni jesteśmy opiekę nie tylko im, ale także ich bliskim.

Siedziałam więc przy Chrisie, spoglądając w jego urodziwą twarz, przyciskając zwilżoną tkaninę do jego rozpalonego czoła (miał straszliwą gorączkę), i nie przestawałam się modlić. Moje modlitwy zostały wysłuchane w ów trzeci z kolei pamiętny dzień, kiedy Chris otworzył oczy i wymamrotał parę słów.

— Nie matkuj mu za bardzo — rzuciła cierpko pani Clinkerte, przechodząc przez komnatę, gdzie Chris leżał w bogato rzeźbionym dębowym łożu. — I nie zapominaj, że jesteś mężatką, nawet jeśli twój mąż przebywa daleko poza granicami Anglii.

Zbeształam ją ostro za te dwuznaczne słowa sugerujące, iż poświęcam uwagę Chrisowi z innego, bardziej emocjonalnego powodu aniżeli zwykle zainteresowanie chorym domownikiem.

Wszelako to, co powiedziała, dało mi do myślenia, gdyż znała mnie dobrze, nie mogłam się więc nie zastanawiać podczas długich bezsennych nocy, czy przypadkiem pani Clinkerte nie ma racji. Czy faktycznie poświęcałam się pacjentowi bardziej, niż wypadało? Nie, nawet Robert, będąc w domu, pochwaliby mnie za oddanie i troskę. Złożyłby dziękczynny pocałunek na moim czole, zamiast napominać mnie i insynuować, iż roztaczam nad przystojnym pacjentem nadmierną opiekę.

W następnych dniach, odzyskując siły, Chris zrobił się rozmowniejszy. Nade wszystko pragnęłam usłyszeć od niego wieści na temat mego męża i syna, domyślałam się jednak, iż wracanie myślą do wojny i jej trudów nie wyjdzie mu na dobre, a nawet może przeszkodzić w zdrowieniu. Zachęcałam go więc do opowiadania mi o rodzinie, co zdawał się czynić bez oporów.

Jego ojciec był rycerzem bez ziemi, ubogim krewnym Blountów, wśród których w przeszłości wyróżniła się Bessie Blount, kochanka króla Henryka VIII. Bessie otrzymała tytuł Matki Królewskiego Syna, jako że jej mały Henryk miał szansę zostać następcą angielskiego tronu. Niestety chłopiec zmarł przed ukończeniem dwudziestego roku życia, a jego matka odeszła w zapomnienie gdzieś na głuchej prowincji.

— Jesteśmy biedniejszą gałęzią rodu Blountów — rzekł Chris z uśmiechem, dodając informację, iż jego ojciec od dawna nie żyje, matka zaś, pozbawiona własnych źródeł utrzymania, mieszka w Exeter u dalekiego krewnego, który przyjął ją pod swój dach z dobrego serca. — Jak więc sama widzisz, nie mogę się poszczycić szlachetnym urodzeniem.

— Ale wsławiłeś się jako żołnierz na wojnie — odparłam.

— Twój małżonek, hrabia Leicester, uczynił mnie koniuszym swoich sił po bitwie pod Hondschoote. Z funkcją tą wiąże się stała pensja czy raczej będzie się wiązać, gdy wreszcie znajdą się jakieś pieniądze. Na razie nikt z nas od miesięcy nie widział żołdu.

Ostatnie słowa wymówił szeptem. Po lekturze listów Roberta zdawałam sobie sprawę, iż jego żołnierze czekają na wynagrodzenie od ponad roku, prowadząc niekończącą się batalię we Flandrii.

— Bynajmniej się nie skarżę. Ale każdemu są potrzebne pieniądze. My tam nawet nie dostajemy porządnego jedzenia.

— Czy Robert... to znaczy hrabia Leicester... bardzo wychudł?

— Z przykrością muszę stwierdzić, że tak. Dzieli z nami ciężki los. Wygląda jak kościotrup, lecz jakże żywotny i pełen energii kościotrup! Musiałabyś widzieć, jak dwoił się i troił, gdyśmy pomagali Holendrom obronić Sluys przed Hiszpanami. Wszędzie go było pełno. Żałuj, że tego nie widziałas! Prawie wcale nie sypiał, był zawsze na nogach, pilnował, żeby armaty stały we właściwych miejscach, sprawdzał zapasy, pływał po zatoce wzdłuż i wszerz, badając pływy i prądy i odnajdując mielizny, by wiedzieć, jak ich unikać w razie potrzeby. Nadzorował oznakowania głów-

nego kanału żeglownego i paru pobocznych. Nic mu nie umykało. Interesował się nawet stanem naszych niebiesko-purpurowych mundurów, a także...

Powstrzymałam ten potok słów, kładąc lekko dłoń na rękę Chrisa. Nie chciałam, aby się przeforsował. Tymczasem gdy musnęłam jego skórę, ledwie opanowałam sapnięcie. Poczułam takie gorąco, jakby liznął mnie płomień świecy. Szybko odjęłam dłoń i przybrałam twarz w obojętny uśmiech.

— Wiem, iż byłabym zeń dumna — powiedziałam cicho. — Zawsze przepelniała go nie-
spożyta energia.

Chris patrzył na mnie w oszołomieniu. Zyskałam pewność, iż on także poczuł tę falę gorąca, która zalała nas oboje. Oczy miał szeroko otwarte. Pomyślałam, iż być może nie rozumie jej znaczenia. Albo czuje się zagubiony.

Aby nie przedłużyć tej niezręcznej chwili, wstałam z krzesła i zakrzętnęłam się przy papierach leżących na stole, mimo iż wcześniej nie miałam takiego zamiaru.

— Robert często do mnie pisze — oznajmiłam. — I nieraz daje do zrozumienia, że skarbnicy są nieuczciwi... — Odwróciłam się do Chrisa i zobaczyłam, iż kiwa głową twierdząco. — Zatem dobrze. Zgromadzę, jakie zdołam, fundusze i każę je komuś zawieźć do Sluys. Aby załatać dziurę w zaległych żołdach...

— Nie do Sluys — wpadł mi w słowo. — Straciliśmy Sluys. Tak samo jak Antwerpię i Zutphen, i tuzin innych miast, których mieliśmy bronić.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Utrata Sluys oznaczała przegraną całej kampanii. Sluys było najważniejszym portem Flandrii, miastem, które należało utrzymać za wszelką cenę, jeśli hiszpańska nawała miała zostać pohamowana.

Jeszcze przed wyjazdem Robert powiedział mi, iż właśnie w Sluys będzie się gromadzić hiszpańska armada, tamże zamustrują się tysiące żołnierzy i zostaną uzupełnione zapasy. I stamtąd, chroniona przez galeony, statki kupieckie i mniejsze jednostki Hiszpanów i Portugalczyków, wroga armia króla Filipa pokona Kanał Angielski, by wylądować bezpiecznie na drugim brzegu wśród ryku kolubryn floty strażniczej.

Wizja była przerażająca, zwiastowała katastrofę. W dodatku taką, jakiej nic nie mogło zapobiec.

ROZDZIAŁ XL

Chris natychmiast dostrzegł moje poruszenie.

— Poszło o białego orła — wyjaśnił konfidencyjnym tonem. — Ale wciąż jest nadzieja, że nawet z utraconymi większymi miastami możemy wygrać główną batalię.

— Nie rozumiem.

— Nie, oczywiście, że nie. Pozwól, że wytłumaczę, w jakich okolicznościach straciliśmy port, a wtedy wszystko stanie się dla ciebie jasne.

— Jesteś pewien, iż to nie nadweręży zbytnio twoich sił? Po co przechodzić przez to wszystko jeszcze raz?

Ale on tylko się uśmiechnął.

— Zaprawieni w boju żołnierze uwielbiają opowiadać, jak odnieśli rany. Nawet jeśli mają niecałe trzydzieści dwa lata.

A zatem w takim jest wieku, pomyślałam. Mnie się wydawał o wiele młodszy. Miałam czterdzieści pięć lat i zaczynałam czuć każdy przeżyty rok. Aczkolwiek w obecności Chrisa młodziłam.

— No więc jak wspominałem, poszło o składnik czarnego prochu, niezwykle cenną substancję, dzięki której dochodzi do eksplozji.

— O saletrę, jak rozumiem. — Słyszałam o saletrze od Roberta, który bez przerwy mówił o niej ze swoimi oficerami.

— My wolimy nazywać ją białym orłem, gdyż podgrzana zamienia się w obłoczek białego dymu i odlatuje, jakby miała skrzydła. Na wojnie nigdy jej dość, szybko się kończy, a jej ceny osiągają zawrotną wysokość... to diabelstwo kosztuje tyle co brylanty, lubi powtarzać hrabia Leicester. I właśnie on odkrył, że łotr Wilbraham położył łapę na większości naszych obozowych zapasów i zamierzał je odsprzedać Hiszpanom.

— Co takiego?! — Z powrotem usiadłam i przysłuchiwałam się opowieści Chrisa.

— Broniliśmy wód i moczarów dokoła Sluys całymi miesiącami i już nieomal zapobiegliśmy wpadnięciu portu w ręce Hiszpanów, ale okazało się, że straciliśmy nazbyt wielu ludzi, z których część zdezerterowała z powodu głodu i niewypłacania żołdu, i nasz koniec był bliski. W mieście panował chaos, do obrony stanęli nawet miejscowi kupcy i paru walońskich ochotników. Nie mogliśmy pilnować całej zatoki, na to mieliśmy za mało statków, a poza tym nie brakowało zdrajców i rzezimieszków. Mieszkańcy biegali po ulicach i nabrzeżu, kradnąc, co tylko się dało, i ukrywając w piwnicach i dziurach wykopanych w ziemi. Z trudem odróżnialiśmy żołnierzy od cywi-

łów. Wokół panował zgiełk, przypominało to ruchawkę! Naprawdę był to straszny widok... Wtem usłyszeliśmy, jak ktoś krzyczy: „Pali się! Pali się!”, i zaraz dojrzeliliśmy ogień wystrzelający z miejskich murów. Rozpętało się pandemonium, jakby połowa mieszczan wyległa naraz na ulice, usiłując się ratować przed płomieniami, wszyscy trzymali naręcza dobytku, za większością ciągnęły płaczące dzieci. Och, powiadam ci, Sluys było zgubione. Gdy zapadła noc, hrabia Leicester z oficerami przebywał na pokładzie Triumfu Albionu. Byłem tam z młodym Robertem. Nagle obserwator z bocianiego gniazda zasygnalizował, że galeota Sebastiana Wilbrahama wypływa z bocznego kanału. Poruszała się ciężko, zanurzona ponad miarę. Wszyscy wiedzieli, że syn tego łotra Wilbrahama szmugluje towary ze Sluys na angielskie wybrzeże. Z początku myśleliśmy, że pomaga nam, opłacany przez agentów królowej. Później jednak hrabia Leicester dowiedział się od swoich szpiegów, że Sebastian jest zdrajcą, zupełnie jak jego ojciec. Dostawał pieniądze od Hiszpanów w zamian za to, że kradł nasze zapasy i przewoził je do Anglii, gdzie ukryte w jaskiniach czekały, aż rozpakują je katoliccy zdrajcykowie...

— Przygotowują inwazję — dokończyłam za niego. — Inwazję króla Filipa Hiszpańskiego. Chris potaknął skinieniem.

— A biały orzeł, jak nazywasz saletrę, także został sprzedany Hiszpanom i zmagazynowany na wybrzeżu Anglii, aby przydać się armii wroga podczas ataku.

— Hrabia Leicester nie miał wątpliwości, że galeota jest tak ociążała, ponieważ ładownie ma pełne skradzionej saletry. Postanowił dogonić statek Sebastiana i odzyskać cenną substancję. Robiliśmy co w naszej mocy, ale było ciemno i woda z każdą chwilą przybierała, tak że czuliśmy się jak wrzuceni do sagana z kotłującym się wrzątkiem. Wielkie fale, niektóre nie ustępujące wysokością naszym masztom, nacierały na nas ze wszech stron. A na domiar złego się rozpadało. Deszcz jakby się uwziął i nie zamierzał ustać. Takie ulewy mają chyba tylko we Flandrii... Całkiem jakby wszystkie śluzy na świecie otwarły się naraz...

— Co było potem?

Chris uniósł brwi i potrząsnął głową, jak gdyby sam nie wierzył we wspomnienie chaosu tamtej nocy.

— Znienacka Hiszpanie byli wszędzie. Wszędzie wokół. Jakby na nas tam czekali. Słyszeliśmy grzmoty ich artylerii, mimo że niemożliwością wydawało się ładowanie armat wśród tych kaskad wody... Staraliśmy się odpowiedzieć im ogniem. Robert, twój waleczny syn, pomagał wtaczać kule do kolubryn i celować, chociaż Hiszpanie nie przestawali mierzyć w jego stronę. Wokół jego głowy świszczały pociski. Wokół nas także. Hałas, deszcz, dym... wszyscyśmy się krztusili i pluli. Jeśli chodzi o mnie, ostatnie co pamiętam, to że pomagam kanonierowi unieść kulę i w tej samej

chwili pierś rozdziera mi rozgrzana do białości pochodnia. Chyba straciłem przytomność. Obudziłem się dopiero tutaj, w Wanstead.

Posłał mi spojrzenie pełne wdzięczności i ciepła, i nie dającego się z niczym pomylić podziwu.

— Pod twoją opieką — dodał.

— Tak bardzo się cieszę, iż przetrwałeś to wszystko — rzekłam i nie przerywając, ciągnęłam: — Robert także niezmiernie się ucieszy, widząc cię w domu. Właśnie wraca do Anglii. Królowa go wezwała. Mianowała go lordem stewardem i przybocznym jej królewskiej mości do spraw obrony przed najeźdźcą.

— Doprawdy imponujący tytuł.

— Przede wszystkim wielka odpowiedzialność. Od tej pory bezpieczeństwo Anglii będzie spoczywać w rękach mojego męża.

ROZDZIAŁ XLI

Rok Przeznaczenia nadciągnął niczym nawałnica, wywołując larum nad całym królestwem. Krzyki niesły się od Milfordu, iż do brzegów przybili Hiszpanie w sile paru tysięcy ludzi i wciągają swoje śmiertcionośne armaty na walijskie wzgórza, skąd na Londyn maszerują żądni krwi żołdacy.

Z północy docierały wieści, że okolice Yorku ogarnięte są rewoltą i że katolicy przymierzają się do obalenia królowej, mimo iż ich ulubienica Maria Stuart w końcu została skrócona o głowę, uwalniając kraj od swojej podstępnej obecności. Ze stolicy donoszono, iż Elżbieta nie żyje i całe miasto ogarnęły płomienie.

Nie wiedzieliśmy, w co wierzyć. Czy Hiszpanie pozbawili życia królową czy udało jej się uciec? Czy ludzkość czekał koniec, jak zapowiadano od wielu już lat? Czy wkrótce pokaże się, jak mówiły prorocstwa, znak z niebios: kolejne zaćmienie księżyca, świadczące, iż koniec jest bliski?

W Wanstead wśród służby huczało od plotek i opowieści znoszonych z okolicznych wiosek, ja jednak robiłam co w mej mocy, aby zachować spokój i zdrowy rozsądek i rozciągnąć nastrój cierpliwego oczekiwania na domowników. Niestety pomimo moich wysiłków domostwo zaczęło pustoszeć — pacholki i służące dziesiątkami uciekali z posiadłości i kryli się gdzie popadnie, w położonych na uboczu osadach, a nawet w jaskiniach, od których roiło się na otaczających nas wzgórzach; wszyscy byli przekonani, iż będą tym bezpieczniejsi, im dalej się znajdą od innych, a zwłaszcza od dworu królewskiego i Londynu.

Gdy w pobliskiej wsi przyszło na świat zdeformowane dziecko, przez służbę przeszła kolejna fala strachu. Niemowlę miało dwie głowy i po cztery nogi i ręce — widząc to, przerażona akuszerka zabrała je do parafialnego kościoła, skąd na cmentarny dziedziniec wysypali się wierni, rzucając się w pył i modląc zawzięcie.

— To znak! — obwieszczała pani Clinkerte każdemu, kto się nawinął. Jej oczy rozszerzały strach. — Koniec nadchodzi!

Z całą pewnością nadchodził wróg. Było nie było, holenderskie wybrzeże znajdowało się za ledwie parę godzin żeglugi od plaż Anglii, a Hiszpanie zebrali się na nim gromadnie, gotowi tysiącami mustrować się na pokłady okrętów i jak powiadano, pokonać Kanał Angielski w ciągu jednej nocy. Po naszej stronie wyszkolone oddziały żołnierzy i straży zbroiły się i odbywały ćwiczenia każdego dnia, mężczyźni zaopatrywali się w arkebuzy i miecze, zbroje i proch strzelniczy (oczywiście ceny wszystkich towarów znacznie wzrosły), a każdy kto zgromadził trochę złota, próbował je ukryć, przewidując grabieże i chaos.

W tamtych dniach cierpiałam na bezsenność. Nawet powietrze zdawało się nabrzmiące od zgrozy. Ludzie się zmienili. Unikali wzajemnych spojrzeń, mało mówili, zachowywali się tak, jakby już znaleźli się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Zapanował ogólny niepokój.

Nawet żywioły dawały nam do zrozumienia, iż nic nie jest takie jak kiedyś. Nietypowe dla tej pory roku zjawiska przybrały jeszcze na sile: burze z piorunami, ulewy, gwałtowne wiatry niszczyły budzącą się do życia przyrodę, uniemożliwiając jej wiosenny rozkwit. Drzewa w sadach straszły ogołoconymi gałęziami. Spodziewałam się, iż gdy nadejdzie czas zbiorów, nie będzie ani zbóż, ani owoców. Nic, co można by zmagazynować w stodołach i piwnicach. Z drugiej strony nie można było mieć pewności, iż sezon żniw w ogóle nadejdzie, jako że wszystko zapowiadało, iż czas stanie raz na zawsze w miejscu i nasza egzystencja na ziemi dobiegnie końca.

Starłam się trzymać blisko domu, gdyż pochłaniała mnie opieka nad wracającym do zdrowia Chrisem i przejęłam obowiązki gospodarza, pilnując spraw gospodarstwa i majątku. Wszakże gdy opuszczałam dworek, widziałam, iż trakty zapchane są wozami, konnymi i pieszymi, z których jedni przemykali z ponurymi minami, inni zaś sprawiali wrażenie zagubionych i snuli się jakby bez celu. Przenosiły się całe rodziny, dobytek umieszcwszy na grzbietach jucznych zwierząt i pousadzawszy małe dzieci na idących noga za nogą chabetach. Niektórzy pukali do naszych bram, a ja dawałam im tyle, ile mogłam, starając się rozproszyć ich obawy i wiedząc, iż mój wysiłek pójdzie na marne.

Robert powrócił z Flandrii przed paroma miesiącami, silnie utykając i moim zdaniem sprawiając wrażenie znacznie starszego. Przepelniało go rozgoryczenie, które łagodził tylko przyznany mu przez królową wspaniały tytuł lorda stewarda i przybocznego jej królewskiej mości do spraw

obrony przed najeźdźcą. Narzekał jednak, że choć tytuł brzmi szumnie, niesie ze sobą niewiele więcej znaczenia niż przyznany przed paroma laty temu żabojadowi, konkurentowi do jej ręki, Franciszkowi, którego nazwała obrońcą wolności Niderlandów przed hiszpańską tyranią. Elżbieta nadawała tytuły, żalił się, lecz były one puste, bez pokrycia w bogactwie, jakie winno się z nimi wiązać.

Przede wszystkim Robert czuł się dotknięty — w gruncie rzeczy głęboko urażony — przez coś, co nazywał wielką zdradą Elżbiety. Ku swemu szokowi odkrył bowiem, iż przez cały czas, kiedy on walczył ze swoimi ludźmi przeciwko Hiszpanom we Flandrii, ona za jego plecami negocjowała z wrogiem. Prowadziła negocjacje z zamiarem zakończenia działań wojennych, kupcząc życiem angielskich żołnierzy w daremnej próbie osiągnięcia porozumienia. Podkopywała wszystkie jego starania i każde poświęcenie jego bohaterskich żołnierzy i marynarzy. Świadomość, iż zniweczyła jego wysiłki, była dla Roberta niczym rapier wrażony prosto w brzuch, takiego sformułowania użył. Dla mnie było jasne, iż Elżbieta wykorzystwała próżność Roberta — iż wciąż ją wykorzystywała — równocześnie odbierając mu chwałę, której tak łaknął, chwałę zwycięstwa.

Pozostawiła go wydrażonym w środku, odartym z ufności i zżeranym przez frustrację.

Nie musiałam mu przypominać, iż umysł królowej i jej strategia były od zawsze tajemnicą dla nas wszystkich i składały się z niepojętych subtelności. Nie musiałam także mówić, iż to układanie się — podstępne, zdradzieckie układanie się — należało do jej największych uzdolnień. Robert wiedział o tym równie dobrze jak ja, a jednak kiedy zrozumiał, iż on, głównodowodzący armii królowej, był w rzeczywistości nikim więcej niż pionkiem na królewskiej szachownicy — doznał załamania.

Winił Elżbietę, nie swoje braki w wiedzy wojskowej i umiejętnościach dowodzenia, za przegraną kampanii. Nawet gdy szykował się do mającej nadejść krwawej rozprawy z przeważającymi siłami najeźdźcy, jego rozżalenie dawało o sobie znać, tak że poświęcał o wiele mniej uwagi, niżby należało, zarówno mnie, jak i sprawom posiadłości i poddanym. Otrzymał zadanie zorganizowania kwatery głównej sił królewskich w Tilbury nad Tamizą, na południe od Londynu, i odkąd nastąpiła wiosna, spędzał tam większość czasu, doglądając zamiany chaotycznego obozowiska zbrojnych oddziałów w obóz wojskowy z prawdziwego zdarzenia i wyposażając zbrojownię — między innymi w skarb, na który składało się dwieście osiemdziesiąt łuków należących niegdyś do jego ojca, a odkrytych przy okazji przypadkowego przeglądania zbiorów w jednym z zapomnianych magazynów.

— Gdybyśmy tylko je mieli w Zutphen — mruczał. — Moglibyśmy wygrać, przechylając szalę na naszą stronę.

Znałam go na tyle dobrze, by powstrzymywać się przed nękaniami go prozaicznymi sprawami czy choćby zakłócaniem jego rozmyślań. Zostawiałam go więc w spokoju, pozwalając namyślać się do woli, i nie mogę powiedzieć, aby było mi specjalnie przykro, kiedy udawał się do Tilbury. Jego ponura obecność przytłaczała domową atmosferę i czyniła pozostałe trudności jeszcze cięższymi do zniesienia.

Mój brat Frank walczył u boku Roberta we Flandrii, zawiadując własnym okrętem, który faktycznie ochrzcił Marianną, a kupił za zdobyczne hiszpańskie złoto. W czas tego kryzysu Robert wyznaczył mu za zadanie nadzór nad obroną wybrzeża. Zanim Frank udał się wywiązać z nałożonego nań obowiązku, przyjechał do Wanstead zobaczyć się ze mną.

Wysoki, żyłasty i władczy już na pierwszy rzut oka, z ciemnymi włosami przyprószonymi płatkami siwizny, mój drogi brat prezentował się godnie niczym admirał, przechodząc przez szerokie drzwi wejściowe dworku. Francis Drake w istocie uczynił go kontradmirałem, co było honorem zarezerwowanym dla nielicznych. Byłam z niego bardzo dumna i bez wahania powiedziałam mu o tym, gdyśmy się obejmowali na powitanie. Chris, w tamtym czasie najwyraźniej rzadko odstępujący mnie choćby na krok, pozdrowił Franka, którego znał jeszcze z Flandrii. Dostrzegłam szybkie spojrzenie, którym brat obrzucił najpierw mnie, a potem swego kompana — spojrzenie pełne nie wyrażonych na głos przypuszczeń. Czy to możliwe, żeby Frank już wtedy odgadł, iż Chris jest dla mnie kimś więcej niż tylko gościem i bliskim przyjacielem mego syna?

— Domyślam się, że umierasz z głodu — zaprosiłam go dalej, biorąc za rękę i prowadząc do długiego dębowego stołu.

Zająwszy miejsce, westchnął ciężko.

— Rzeczywiście, podróż była męcząca — przyznał. — Nie odmówię odrobiny jedzenia ani dzbanka twego przedniego piwa.

Chris bąknął jakąś wymówkę i zostawił nas samych, byśmy mogli porozmawiać.

— Letycjo, przysyła mnie ojciec. Przebywa w Tilbury z Robertem, zbierając tam całą rodzinę. Jego zdaniem najbezpieczniejsza będziesz pod ochroną żołnierzy. Gdybyś zechciała spakować najpotrzebniejsze rzeczy, moglibyśmy udać się w drogę, jak tylko nieco się posilę.

Zastanowiłam się i przyznałam rację jego słowom. Poszłam poszukać pani Clinkerte, którą poprosiłam o spakowanie naszych rzeczy. Sama natomiast przebrałam się w strój jeździecki i wysokie buty.

— Ale co będzie ze służbą? — zapytałam, powróciwszy do jadalni. — To znaczy z tymi, którzy zostali... Wielu odeszło, niektórzy, by zaciągnąć się do straży, większość jednak zwyczajnie uciekła.

— Chris zostanie tutaj, prawda? Oczywiście, jeśli zdołasz się z nim rozstać. — Frank mru-gnął do mnie.

— Chris już dawno byłby w Tilbury, gdyby nie jego rany — odrzekłam sztywno. — Nie-omal zginął na pokładzie Triumfu Albionu, gdy Robert ścigał tego zdrajcę Wilbrahama. Jak za-pewne wiesz.

— Wiem to, co wiem — odparł enigmatycznie mój brat.

Ku mej wielkiej uldze nie poruszał więcej tego tematu i zabrał się do posiłku, jedząc z entu-zjazmem i pośpiesznie, jakby chciał jak najszybciej wrócić na trakt. Wkrótce siedzieliśmy już w siodłach i jechaliśmy w otoczeniu eskorty Franka, na którą składali się żołnierze i żeglarze. Po dro-dze Frank opowiadał mi najświeższe wieści o hiszpańskiej armadzie, z czego większość była dla mnie nowiną, jako że byliśmy pozbawieni wiadomości, odkąd Robert udał się do Tilbury.

— Zaczailiśmy się nieopodal Plymouth, w sile niemal całego szwadronu Drake'a, kiedy do-tarły do nas słuchy, że wielka armada, jak mówią o swej flocie Hiszpanie, została zoczona przez obserwatorów z portu Penzance. Niebawem i my spostrzegliśmy łunę z ognisk rozpalonych wzdłuż brzegu i wskazujących wrogowi drogę. Zaczekaliśmy, aż statki podpłyną bliżej, po czym je zaata-kowaliśmy. Ależ się bili! Szczególnie Portugalczycy na swych wspaniałych karakach, zgrabnych i wysokich, kołyszących się na każdej fali. Tak, portugalskie statki były najlepsze, nie chciały się poddać, mimo iż posiekliśmy je kulami niemal w drzazgi. A ich wraki... na powierzchni morza unosiły się połamane maszty i poszarpane żagle. I ciała, ciała także, chociaż ci marynarze zbierali swoich rozbitków i wielu udało im się ocalić. Główne jednostki wrogiej floty były cięższe od na-szych, ale nasze były zwinniejsze, a że trzymaliśmy ich zawsze pod wiatr, nie byli w stanie dobić do brzegu, nawet na małych łodziach żaglowych. Ścigaliśmy ich po Kanale i starliśmy się znów w walce przy Portland Bill, a potem jeszcze raz nieopodal wyspy Wight. Drake na swojej Zemście był szybki i wściekły, ale Marianna często wysuwała się na czoło. Zawczasu wyposażyłem ją w kolubryny zdolne miotać dziewiętnastofuntowe kule i trafiać z odległości tysiąca jardów. Zaczęli zmykać do francuskiego wybrzeża, ale my nie odpuszczaliśmy i dopadliśmy ich ponownie na wy-sokości Gravelines. Powiadam ci, Letycjo, to był wielki dzień! Zatopiliśmy całe mnóstwo jedno-stek i bylibyśmy wzięli wspaniałe przyzy, ale nadszedł sztorm, zmienił się wiatr i wymknęli się nam, zanim zdążyliśmy ich zepchnąć na skały. Mieli szczęście! Sprowadziłem Mariannę na po-łudnie, zgodnie z rozkazami, wszakże wielu ze szwadronu pomknęło na północ, nie zaprzestając pogoni. Na Kanale wciąż roi się od okrętów, ale wielka armada znacznie ucierpiała, tyle mogę ci powiedzieć na pewno.

Przyglądałam się Frankowi, pragnąc powtórzyć, jak bardzo jestem z niego dumna, wiedzia-łam jednak, iż tylko by machnął ręką na moje pochwały. W przeciwieństwie do Roberta nie łaknął

chwały zwycięstwa ani sukcesów, pragnął tylko wywiązać się z zadania, i to najlepiej jak się dało, niczego nie zaniehbując. Pomyślałam wtedy, nie po raz pierwszy zresztą, iż mój brat wyrósł na wspaniałego człowieka. Wszelako nawet gdy przywoływał wspomnienia zwycięskiej bitwy morskiej, dostrzegałam w jego rysach ślad dawnego smutku. Zastarzałego żalu z lat młodości, z którego dotąd się nie otrząsnął. Był wdowcem, lecz nigdy nie kochał swojej żony; połączył ich związek oparty wyłącznie na interesach, interesach mających wiele wspólnego z morzem. Serce Franka na zawsze należało do dziewczyny, od której nazwę wziął jego okręt; do jego dawno utraconej Marianny.

— Z tego co mówisz, wynika, iż pogoniliście ich jak ogar zająca — zauważyłam. — Ale co z setkami barek, które jak mówił mi Robert, miały przewieźć piechotę króla Filipa? Czy i je widziano na Kanale?

Frank potrząsnął głową.

— Jak dotąd nie, nie ma po nich ani śladu. Ale kiedy się pojawiają, napotkają silny odpór ze strony wojsk zgromadzonych w obozie w Tilbury.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. W końcu Frank znów przerwał ciszę.

— Zanim odstawię cię pod skrzydła naszego ojca — rzekł — muszę zboczyć do Rundle Head. Obiecałem rozpuścić wici wśród tamtejszych szczurów lądowych, żeby wypatrywali żagli na horyzoncie i przekazywali wieści hrabiemu Leicester.

Zjechaliśmy nad sam brzeg i pieszo wspięliśmy się na zbocze, pozostawiając wierzchowce i eskortę czekającą na nas u podnóża. Frank nie miał trudności ze wspinaczką, mnie pokonywanie pochyłości szło nieco gorzej i wolniej.

— Wybacz, ale muszę się śpieszyć — rzucił w pewnym momencie Frank. — Już jestem spóźniony wiele godzin.

Kiwnęłam tylko głową na zgodę.

Sierpniowy dzień był słoneczny, gorące promienie paliły mnie w plecy, gdy kontynuowałam wspinaczkę na Rundle Head. Kiedy w końcu osiągnęłam wierzchołek, stanęłam i zapatrzyłam się na rozległą powierzchnię granatowej wody, podczas gdy wiatr unosił mi spódnice i groził zerwaniem nakrycia głowy, które na szczęście mocowała na miejscu tasiemka zawiązana pod brodą. Jednolity granat pstrzyły tu i ówdzie białe bałwany — tarpany, jak je nazywaliśmy, będąc dziećmi — które w dole, u podstawy klifu, gnane fala za falą rozbijały się o skały, rozpryskując wodną mgiełkę wysoko w powietrze. Zapach morza był tam intensywny i świeży. Oddychałam głęboko, napęlniając płuca miłą ochłodą, zadowolona, iż wreszcie mogę odpocząć.

Spojrzawszy nieco w bok, dostrzegłam skrawek plaży i coś, co wyglądało na chatkę wzniesioną tuż przy skałach, z dala od linii przyływu. Samotna postać stała przed chatą — kobieta w

czerni, unosząca jedną rękę do oczu, aby ochronić je przed rażącym słońcem. Tak jak ja patrzyła w stronę horyzontu.

Zwróciwszy znów spojrzenie na bezmiar niebieskości łączącej się w oddali cienką kreską, zorientowałam się, iż w polu widzenia pojawiła się sylwetka żaglowca, unoszącego się i opadającego na grzywaczach, z płótnem żagli wydętym przez wiatr. Jeden z żagli był w strzępach, które wiatr rozwiewał niczym chorągiewki.

Wtem usłyszałam krzyki i zobaczyłam Franka z paroma innymi mężczyznami. Wszyscy oni spoglądali w stronę statku. Na naszych oczach pojawiła się druga jednostka, mniejsza i szybsza od pierwszej, i rychło ją doścignęła. Rozległ się grzmot wystrzału armatniego. Ale czy dobiegał od okrętów, nie byłam w stanie stwierdzić.

W tym samym czasie moją uwagę znowuż przykuła postać kobiety na plaży. Zaczęła bowiem iść w stronę kamienistego brzegu. Przemknęło mi przez myśl, iż kobieta zamierza dać jakiś sygnał statkom. Ale dlaczego? Czyżby była hiszpańskim szpiegiem? A może raczej chciała je zważyć na kamienistą mieliznę?

Mrużąc powieki, ledwie wyłowiłam niewyraźną sylwetkę człowieka opierającego się o reling rufowy na okręcie mającym bliżej do lądu. W dostrzeżeniu szczegółów przeszkodził mi rozprysk morskiej piany, przesłaniającej widok.

Nad Kanałem płynęły białe chmury. Przepatrywałam horyzont w poszukiwaniu większej liczby żaglowców, ale nie ujrzałam już żadnego. Za to Frank machał do mnie i zaraz jął się wspinać z powrotem.

Z trudem łapiąc oddech, gdy koło mnie stanął, zdołał wykrztusić:

— Tam, widzisz, to ogromny Biskajczyk! Zatopiłem jego bliźniaczą jednostkę przy wyspie Wight! Ten drugi to jego statek transportowy. Przyjrzyj się, jak lekko płynie! To dlatego, że jest prawie pusty. Znaczy to, że Biskajczyk ma mało broni i zapasów. Przy braku prochu, pocisków i jedzenia flota musi się albo zaopatrzyć, albo wrócić do macierzystego portu. Trzeba koniecznie powiedzieć o tym Robertowi... ojcu... królowej.

Złapał mnie za rękę. W chwili gdy odwracałam się, aby podążyć za nim w dół zbocza, zerknęłam ostatni raz na plażę i zobaczyłam, jak odziana na czarno kobieta rzuca się w fale.

Wciągnęłam powietrze.

— Frank! Tamta kobieta! Ona utonie!

— Jaka kobieta? — zapytał gburliwie.

— Ta, którą widziałam wcześniej. Szła po piasku. Sądziłam, iż będzie dawać znaki statkom.

Ale ona rzuciła się do morza.

— Pewnie jest szalona.

— Nie, Frank, nie.

Zaczęłam schodzić z przeciwnej strony, kierując się ku plaży w dole. Spod stóp umykały mi kamienie. Skoro Frank nie chciał jej pomóc, postanowiłam, iż ja to zrobię.

— Letycjo! Nie ma na to czasu! Musimy jak najszybciej dostać się do Tilbury, przekazać dobre wiadomości!

Ja jednak parłam naprzód, na poły ześlizgując się, na poły zbiegając ze stromego klifu, czując, iż zniecierpliwiony brat idzie w moje ślady. Brakowało mi tchu w piersi, kiedyśmy oboje zeskoczyli, nieomal tracąc równowagę, na mokry żółty piasek.

ROZDZIAŁ XLII

Znalazłam się na plaży pierwsza i niemal od razu ugrzęzłam w mokrym piachu. Frank krzyczał coś, biegnąc za mną, ale ja już od dłuższej chwili widziałam rozpaczliwe wymachy ramion tonącej. Kobieta walczyła z nacierającymi na nią falami i robiła co mogła, aby utrzymać się na powierzchni. Nie była daleko — plaża na tamtym odcinku nie miała więcej niż paręnaście jardów — wszakże zdradliwy piasek utrudniał mi poruszanie się; odnosiłam wrażenie, iż przemieszczam się z frustrującą powolnością. W pewnym momencie minął mnie Frank. W dalszym ciągu krzyczał, teraz już nie do mnie, tylko do tamtej kobiety.

— Wytrzymaj! Ty tam! Wytrzymaj!...

Na moich oczach, gdy brnęłam do przodu tak szybko jak się dało, Frank dobiegł do linii wody i nie zatrzymując się, wszedł do morza. Stąpając po śliskich skałach, kierował się ku kobiecie, która nie przestawała walczyć z żywiołem, czepiając się ułamanego gontu w próżnej nadziei zyskania oparcia.

Frank zdarł z siebie dublet i zanurkował. Przez moment nie widziałam ani mojego brata, ani obcej kobiety. Potem oboje nagle się wynurzyli, łączywie chwytając powietrze, w tej samej chwili gdy ogromna fala przetoczyła się nad ich głowami, sprawiając, iż pomyślałam, że teraz z pewnością już po nich.

Nic nie mogłam na to poradzić. Przyglądałam się i modliłam. Czekałam przez czas zdający mi się wiecznością, pragnąc siłą woli zawrócić następną zmierzającą ku brzegowi falę.

W końcu morze na moment się wygładziło, pozostawiając na płyciźnie dwa leżące na wznak ciała.

Frank zdołał wstać na nogi i chwyciwszy kobietę w czerni za nadgarstki, przeciągnął ją po piachu kawałek dalej, poza zasięg kolejnej morderczej fali. Ruszyłam w ich stronę.

— Nie żyje? — zawołałam.

Zamiast odpowiedzieć, Frank pochylił się nad topielicą i delikatnie odgarnął jej z twarzy czarne kosmyki przesłaniające rysy. Przyjrzał się uważniej, robiąc zdumioną minę, a następnie pochylił się jeszcze bardziej.

— Niemożliwe — wymruczał. — Niemożliwe. — Podniósł głos. — Nie wierzę.

— Żyje? Oddycha? — dopytywałam.

Wszakże sama widziałam, iż jej pierś porusza się w rytm oddechu. Po chwili kobieta otworzyła oczy.

Frank klęczał już przy niej, więc i ja uklęknęłam.

Zobaczyła nas, popatrzyła na Franka — i uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się takim uśmiechem, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam na niczyjej twarzy. Frank odpowiedział tym samym, porwał ją w objęcia i zapłakał.

Albowiem tam, na skalistym brzegu plaży targanej silnymi podmuchami wiatru, odnalazł swą miłość.

ROZDZIAŁ XLIII

Gdy królowa wjechała do obozu w Tilbury na swym dumnym, stawiającym ostrożnie kroki białym wałachu, trzymając głowę po pańsku wysoko, z pokrytą zmarszczkami, noszącą oznaki starzenia się fizjonomią przepelnioną radością i entuzjazmem, w srebrnym napierśniku opinającym jej płaski biust i rzucającym odblaski w promieniach słońca, z gardeł zebranych żołnierzy dobył się taki ryk, iż było go słyszeć chyba aż w Londynie.

Krzyczeli, klaskali, gwizdali, a wszystkie dźwięki porywał wiejący znad rzeki wiatr.

— Gloriana! Gloriana! — skandowali. — Niech żyje Gloriana!

Wjechała pomiędzy nich, a jej miedziana peruka połyskiwała od brylancików i wplecionych w loki, powiewających purpurowych piórek. Zatrzymała się, by im zaszalutować, mając przy boku tylko paru gwardzistów.

— Wszyscy jesteście moimi strażnikami! — odkrzyknęła wiwatującym mężczyznom. — Niepotrzebni mi inni! Wiem, że pomiędzy wami jestem bezpieczna!

Uniosła srebrną laskę i rzuciła głośno:

— Kto mieczem wojuje!...

Raz jeszcze z dziesięciu tysięcy gardeł wydarł się donośny okrzyk, przetaczający się echem nad obozem, odbijający się od palisady, docierający aż do rzeki i tłumu zgromadzonego na przeciwległym brzegu.

— Widzicie, jak śmieje się z niebezpieczeństwa? — odezwał się jakiś żołnierz stojący nie daleko mnie. — Widzicie, jaka jest odważna, nasza stara dobra królowa! Ani ociupiny się nie boi garstki Hiszpanów!

Stałam wewnątrz niebiesko-purpurowego namiotu Roberta i przez szparę w płótnie przyglądałam się żołnierzom stojącym w szyku i królowej między nimi oraz swemu mężowi na jabłkowitzym potężnym ogierze jadącym po jej prawej stronie i swemu synowi, jej koniuszemu, po lewej.

— Dobry pan, hrabia Leicester! — krzyknęło paru żołnierzy, gdy Robert przejeżdżał obok.

Mogli go nienawidzić, mogli nim pogardzać za klęskę we Flandrii, niemniej był pierwszym rycerzem królowej w ów niespokojny czas i wszyscy w obozie o tym wiedzieli. Pomimo wielu krzyżyków na karku, pomimo nierównych kępek siwych włosów na głowie i brodzie, pomimo obwisłych zaczerwienionych policzków, roztaczał atmosferę władzy i był człowiekiem królowej. Tamtego dnia dobrze ukrywał swój niesmak i odpowiadał na pozdrowienia żołnierzy z energią o wiele młodszego mężczyzny. Chyba tylko ja dostrzegałam zmarszczki zatroskania w jego niewyraźnych rysach. Kiedy wałach Elżbiety potknął się, prawie zrzucając ją z siodła, i przez zgromadzone oddziały przeszła panika, to Robert znalazł się u boku królowej w okamgnieniu, chwytając ją za ramię i napierśnik i ocalając przed upadkiem.

— Nic mi nie jest! Nic mi nie jest! — wołała, szczerząc się. — Mam przy sobie mojego przybocznego!

Zauważyłam, iż młody Robert przyłączył się do wiwatów i aplauzu, które były odpowiedzią na te słowa, wspaniałomyślnie oddając pierwszeństwo hrabiemu Leicester, mimo iż był od niego o wiele zręczniejszym jeźdźcem, a wierzchowiec, którego dosiadał, zaliczał się do ściglejszych.

Kontrast między niezgrabną, przysadzistą postacią Roberta Dudleya i szczupłą, pełną wdzięku sylwetką mego syna nie mógł być bardziej wyrazisty. Mój mąż, niegdyś najprzystojniejszy mężczyzna na dworze królewskim, dawno już przekazał ten zaszczyt młodemu Robertowi, którego uroda zdawała się całkiem innego kalibru. Dudley miał śniadą, namiętą fizjonomię nieodparcie uwodzicielskiego Cygana, podczas gdy twarz Roberta Devereux, z szerokim czołem, głęboko osadzonymi, smutnymi ciemnymi oczami i zmysłowymi łukowatymi ustami, przywodziła na myśl raczej ponętne poeetę, męskiego, lecz łagodnego, może nawet lekko nawiedzonego. Tamtego popołudnia nie dotyczyły go troski zaprzatające mego małżonka: zbyt mała armia (spodziewał się czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy zaciężnych); skromne wyposażenie i zapasy; nieukończony

wciąż most pontonowy mający połączyć fort w Tilbury z Gravesend, gdzie jeśli wierzyć raportom szpiegów, mieli wylądować Hiszpanie.

Wiedziałam, jaka troska najbardziej ciąży Robertowi — pytanie, w jaki sposób zapewnić królowej bezpieczeństwo. Oraz kwestia, kiedy dokładnie przybije do brzegów Anglii wielka armada z hordą towarzyszących jej barek wylądowanych hiszpańskimi żołnierzami.

Gdy zjawiłam się w obozie wraz z Frankiem i Marianną, dowiedziałam się od ojca, iż wystarał się dla naszej rodziny o miejsce w największym z trzech namiotów Roberta, gdzie miało nas strzec osiemdziesięciu doświadczonych weteranów, ochotników ze szpitala, który wznosił z myślą o nich mój mąż. Frank natychmiast pobiegł przekazać oficerom królowej wiadomość o zauważonych hiszpańskich jednostkach, zabierając ze sobą Mariannę, ja zaś udałam się do nie dającego się przeoczyć niebiesko-purpurowego namiotu, gdzie odnalazłam Penelopę z dwoma starszymi synami, Dorotę z córeczką oraz moją siostrę Cecylię, która ku memu zdumieniu podeszła do mnie i ucałowała w policzki. Whaffer, pełniący wartę przy otworze drzwiowym, skinął mi na powitanie, podczas gdy mój ojciec, niemal całkiem łysy i przygięty do ziemi, tak że wyglądał na starszego niż jego siedemdziesiąt cztery lata, zbliżył się, by zamknąć mnie w kościstych objęciach.

— Powiniennem być tam, na zewnątrz, i wykonywać rozkazy twojego męża — wyznał głosem łamiącym się z żałości. — Wciąż daję radę podnieść do ramienia muszkiet, a poza tym na wojnie przydaje się każdy człowiek. Ale jego oficerowie odesłali mnie tutaj. Powiedzieli, że tylko byłbym zawadą, gdy zaczną się walki. Mogę jednak nosić wodę. Na pewno mi pozwolą zanosić wodę rannym.

Szybko się dowiedziałam, iż mąż Penelopy, baron Rich, zebrał dwustu ludzi i właśnie ich szkolił na terenie obozu. Na pikinierów. Mąż Doroty, Ned, pomagał przy budowie mostu pontonowego. A Cecylia, choć gruba („tłusta jak masło”, odruchowo przywołałam w pamięci słowa Waltera), nadal dobrze sobie radziła w siodle, przydzielono jej więc obowiązki gońca między oddziałami.

— A ty co będziesz robić, Letycjo? — zapytała mnie.

— Czyż nie dość, że jest tutaj, by wspierać swego dzielnego męża i syna? — odparł ostro ojciec, a ja uśmiechnęłam się, gdyż nie pamiętałam, by kiedykolwiek wcześniej wziął mnie w obronę podczas utarczki z Cecylią, która była jego ulubienicą. Najwyraźniej w końcu zyskałam jego uznanie.

Zamieszanie trwało w obozie przez wiele dni z rzędu, a królowa — która zatrzymała się w pobliskim dworku — co dzień przyjeżdżała na inspekcję swojej armii i podnosiła żołnierzy na duchu okrzykami: „Kto mieczem wojuje...”, zagłębiając się energicznie w ich szeregi na białym walcu.

Trzeciego dnia przed oblicze jej i Roberta sprowadzono jakiegoś nieszczęśnika w kajdanach. Odzienie na nim zwisało w strzępach, a ciało miał niemiłosiernie brudne. Gdy go ciągnięto wzdłuż szeregów, pobrzękując łańcuchami przy nadgarstkach i kostkach u nóg, żołnierze pluli nań i robili jeszcze gorsze, wykrzykując gniewnie: „Zdrajca! Judasz! Łajdak!”. Wiodący go strażnicy niby przypadkiem potrącali go i przewracali. Kiedy za którymś razem z mozołem podnosił się na nogi, dostrzegłam jego rozkwaszony nos i kamienne, zimne spojrzenie. To był Roger Wilbraham!

— Został przyłapany na próbie sprzedaży saletry jakimś rybakom w Gravesend — oznajmił stojący obok mnie Frank. — Hiszpanie się nie pojawili, więc postanowił znaleźć innego kupca. Pojmaliśmy go na gorącym uczynku. Zostanie powieszony jutro o świcie.

Cecylia wyszła z namiotu i podszedłszy zdecydowanym krokiem do byłego męża, zaczęła go okładać pejczem.

— Dość! — zawołała do mojej siostry Elżbieta. — Daj łotrowi przejść. I tak wkrótce zadyna.

Cecylia usłuchała, acz niechętnie, i jeszcze zdążyła rzucić w stronę Wilbrahama przekleństwo oraz wymierzyć mu celnego kopniaka. Potem obróciła się na pięcie i zniknęła znów w namiocie.

— Dobrzy ludzie — zaczęła królowa dźwięcznym głosem, tylko nieco zachrypłym od ciągłego zwracania się do żołnierzy w obozie — pewnie się zastanawiacie, z jakiego powodu spędzam tu z wami czas, zamiast poszukać ochrony w murach niezdobytego zamku stojącego daleko od wybrzeży. — Potrząsnęła zamasyście głową. — Oto z jakiego! Anglicy nie są tchórzami, Angielki również. A ja czuję się najbezpieczniej tutaj, gdzie zdrajców chwyta się i oddaje w ręce sprawiedliwości, by ponieśli zasłużoną karę za swoją zdradę, i gdzie dobrzy ludzie zgromadzili się, aby bronić swojej ziemi!

Kiedy krzyki i oklaski umilkły, podjęła:

— Poza tym, jak dowiedziałam się właśnie od naszych nieustraszonych żeglarzy, potężna hiszpańska flota idzie w rozsypkę. Statki Hiszpanów przeciekają, brak na nich prochu i pocisków, wiele zostało pozbawionych omasztowania i ozaglowania, jeszcze więcej straciło załogi. W sporej części są to wraki, które tylko cudem uniknęły zatonięcia i losu pozostałych jednostek, posłanych przez nasze okręty na dno na wieczny spoczynek. Te, które wciąż są żeglowne, umykają na północ i już dłużej nam nie zagrażają!

Stając w strzemionach i prostując się w siodle na całą swoją wysokość, Elżbieta zakrzyknęła ile sił w płucach:

— Pan Bóg zniszczył naszego wroga!!!

Wrzask, który się zerwał po tych słowach, nie ustępował siłą grzmotowi; był tak donośny, iż musiałam zakryć uszy, w których inaczej popękałyby bębni. Zacisnęłam nawet powieki, aby lepiej znieść ogłuszający ryk.

— I choć musimy pozostać czujni — ciągnęła Elżbieta z błyszczącymi oczami — oraz modlić się o nieustający cud przychylności Stwórcy, zdecydowałam, że cokolwiek przyniesie przyszłość, będę żyć i umrę pośród was, poświęcę się za Boga, za moje królestwo i za mój lud, za mój honor i moją krew, choćby przyszło mi wyzionąć ducha w kurzu i pyłe.

W tamtym momencie nie mogłam zaprzeczyć, iż pomimo całej jej małostkowości i jej oszukaństwa, pomimo zazdrości i egoizmu, pomimo próżności, pomimo rozwścieczającej potrzeby kontrolowania wszystkich i dręczenia ich na każdym kroku, Elżbieta była wspaniałą królową. Przyłączyłam się do wiwatów i klaskałam, aż mnie rozboleły dłonie, obejmując się z tymi, którzy stali dokoła, z Penelopą i Dorotą, z moim zapłakanyim starym ojcem, a także z Frankiem i nawet z Marianną, zanosząc w duchu modlitwę dziękczynną, iż zostaliśmy oszczędzeni. Albowiem choć na własne oczy widziałam galeony, które nam zagrażały, przestałam się bać.

— Niech się pokażą z najgorszej strony — odezwał się Frank, jakby czytając mi w myślach. — Niech przyplyną, jeśli starczy im odwagi. Staniemy murem za naszą królową i prędzej wszyscy zginiemy, niż pozwolimy im podbić Anglię!

ROZDZIAŁ XLIV

Mój najdroższy mąż!

To było dla niego za wiele; ciągły wysiłek, napięcie, obawy. Nieustający nadzór nad obozem wojskowym. Przewrócił się prosto w ramiona młodego Roberta, gdy ten pomagał mu dosiąść wierzchowca pomimo bólu w chorej stopie. Mój syn, Chris Blount i stary Whaffer zanieśli go do namiotu, skąd został przewieziony do Wanstead.

Od razu zajęli się nim trzej lekarze i nastawiacz kości, monsieur Ezard. Roberta położono w naszej wielkiej, przestronnej sypialni, odzianego w nocny strój z miękkiego atlasu, przy oknach zamkniętych i broniących dostępu pierwszym jesiennym przeciągom.

Był bardzo chory. Poznawałam to po minach lekarzy i po tym, iż monsieur Ezard, któremu nauczyłam się ufać jak przyjacielowi, ujął mnie delikatnie za rękę i powiedział tylko:

— Módl się, hrabino Leicester. Ja też będę się modlił.

Uperfumowałam pościel Roberta goździkami i cytrusami i obsypałam poduszki lawendą, aby lepiej mu się spało. Pociągłą twarz miał ściągniętą i posmutniałą, oczy zapadnięte potężnie w

głąb czaszki. Oblizywał ciągle wargi i prosił o wodę, ale nawet kiedy pomogłam mu się napić, usta miał wciąż suche i z trudem przelykał.

Jego pierwsze słowa, kiedy go przywieźli, brzmiały:

— Czemu jeszcze jej nie ma?

Był w Wanstead od trzech dni, przez trzy dni cierpiał i marniał w oczach.

— Z pewnością przyjedzie, jeśli naprawdę będzie potrzebna.

Suche wargi Roberta wygięły się lekko w górę. Nachyliłam się nad nim i dosłyszałam ciche słowa:

— Jak to: jeśli?

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Usiadłam przy nim i trzymałam go za chłodną rękę. Przyglądał mi się z tym samym słabym uśmiechem w kącikach ust. Wreszcie ponownie się odezwał. Jego słowa zdawały się raczej skrzypnięciami niż ludzką mową, ale mimo to rozumiałam go.

— Śmierć przyszła do króla i król powiedział: „Ściąć jej głowę!”. Śmierć przyszła do dziewczicy i dziewczica powiedziała: „Wejdz do mej komnaty i zabaw trochę”. Śmierć przyszła do poety i poeta powiedział: „Od dawna cię wyczekiwałem, przyjaciółko”. Na koniec śmierć przyszła do filozofa i ów nic nie powiedział. Za to śmierć powiedziała: „Przyszłam do ciebie, o panie, nauczyć się twej mądrości”.

Dotknął mojego ramienia.

— Pomóż mi być filozofem, Letycjo. Proszę cię tylko o to, abyś była przy mnie, gdy otworzą się drzwi i zostawiwszy za sobą to marne ciało, przejdę przez nie.

Zgodziłam się z płaczem.

Robert spał przez wiele godzin, potem przebudził się raptownie.

— Wiedziałaś, że ma podagrę, jak ja?

— Kto taki?

— Król Filip oczywiście. Mam nadzieję, że boli go bardziej niż mnie.

Zaśmiał się i na powrót pogrążył we śnie. Czwartego dnia rzucał się niespokojnie przez sen, wykrzykiwał różne rzeczy, nie zawsze zrozumiałe. Mruczał „biały orzeł” raz po raz i powtarzał coś o drugim zaćmieniu księżyca, i odsyłał precz lekarzy, którzy chcieli upuszczać mu krwi, wytrącając im z rąk kielichy, gdy próbowali otworzyć mu żyły na przedramionach.

Chris czuwał ze mną przez długie godziny; posłaliśmy po moje dzieci, a także po bękartą Roberta, który jednak nigdy nie odpowiedział ani się nie pojawił.

Jeden po drugim schodzili się nasi służący, wielu płakało. Każdy po kolei klękał przy łożu, a Robert wyciągał rękę w czymś w rodzaju błogosławieństwa. Odźwierny, jałmużnik, ochmistrz, kapelan, pacholki i pokojówki, stajenni, nawet pomywaczki. Wszyscy chcieli zamienić parę

słów z dobrym panem, którego przez całe życie traktowali z mieszaniną rewerencji i strachu. Robert był tylko w stanie wyciągnąć do nich rękę. W końcu ich odesłałam, aby mógł zaznać spokoju. Niektórzy podchodzili do mnie, opuszczając komnatę, i cicho coś mówili. Dziękowałam każdemu, mimo iż podobnie jak Robert byłam znużona i marzyłam tylko o tym, aby odpocząć.

Czuwanie przedłużało się. Co kilka godzin Robert wybudzał się z maligny i pytał:

— Gdzie ona? Czemu jej nie ma?

Nie miało sensu mówić mu, że przecież jestem tuż obok, gdyż nie o mnie pytał, tylko o nią. W którymś momencie zawołał:

— Konie, Letycjo! Konie! Ach, jakie cudne! A oni wszystkie je wyrzucili za burtę! Hiszpanie! Potopili takie wspaniałe wierzchowce! — Jego ciałem wstrząsnął szloch. Potem zaczął wymieniać: — Moje ukochane... Mój Kasztanek, moja Persymona, mój Deresz, mój Wielki Sabaudczyk... wszystko czystej krwi rumaki... tak... pędziły jak wiatr...

Wniesiono starego psa Roberta, Boya, i położono go delikatnie na łóżku obok pana. Mój mąż wyciągnął rękę, aby pogłaskać wiernego ulubieńca po łbie, i uśmiechnął się. Jakiś czas później sięgnął dłonią ku mnie.

— Wszystko będzie dobrze, Letycjo — oświadczył w przeblýsku jasności umysłu. I niemal od razu spytał: — Czy mi się wydaje, czy słyszałem jej powóz?

Niech Bóg mi wybaczy, skłamałam w odpowiedzi. Wiedziałam bowiem, iż inaczej nigdy nie zazna spokoju.

— Ależ oczywiście, iż go słyszałeś, ukochany — zapewniłam. — Była tutaj. Próbowaliśmy cię obudzić, lecz nazbyt twardo spałeś. Nie mogła zostać dłużej. Kazała ci przekazać swoje wyrazy miłości. Kazała powiedzieć, iż zawsze bardzo cię kochała.

Słyszając to, pokiwał głową i na powrót ułożył się na poduszkach. Westchnął.

— Drzwi... — szepnął. I na krótki moment w jego oczach zagościło światło. Pogłaskał ogara po łbie, przeniósł spojrzenie na mnie, ale wtedy światło zdążyło już zniknąć. Wydał ostatnie tchnienie i nas opuścił.

Pochyliłam głowę. Mój najdroższy, mój ukochany, mój umiłowany... Mój Robert!

ROZDZIAŁ XLV

Upłynął prawie rok od śmierci Roberta, zanim poślubiłam Chrisa. Frank i Marianna pobrali się podczas tej samej ceremonii, na której zgromadziła się cała rodzina i służba, by wysłuchać, jak składamy sobie przysięgę małżeńską, potem zaś wziąć udział w energicznych tańcach i zjeść z nami tort weselny, wykrzykując głośne toasty.

Ceremonia ślubna odbyła się w kaplicy w Wanstead, bez przepychu i pompy. Nie było nas stać na nic więcej, jako że Robert pozostawił mi w spadku same długi, natomiast Frank, który swego czasu pysznił się zdobyczym hiszpańskim złotem, zdążył niemal wszystko wydać na swoje okręty, uzbrojenie i opłacenie żołnierzy podczas niechlubnej inwazji wielkiej armady przed rokiem.

Ciche wesele mi odpowiadało, gdyż ostatnie czego chciałam, to ściągać czyjąkolwiek uwagę na fakt, iż wychodzę za Chrisa. Krążyły złośliwe plotki — niektórzy powiadali, iż miały one swoje źródło na dworze królewskim — plotki o mnie i moim znacznie młodszym nowym mężu. Rzeczywiście była między nami spora różnica wieku, a w dodatku Chris wyglądał młodziej niż na swoje lata dzięki wspaniałemu, silnie umięśnionemu ciału, niepobrużdżonej zmarszczkami przystojnej twarzy i niebywalej zręczności. Nieprzychylni nam ludzie twierdzili, że zostaliśmy kochankami, podczas gdy Robert walczył we Flandrii, i że po powrocie męża z wojny otrujęm go, aby móc wyjść za Chrisa. Jeden ze służących Roberta utrzymywał, iż na własne oczy widział, jak podaję mężowi kielich z winem zaprawionym arsenikiem, co oczywiście było czczym wymysłem. Niemniej gdy to usłyszałam, nie mogłam nie wspomnieć paskudnych pogłosek na temat okoliczności zgonu Amy Dudley.

Krążyła także inna plotka i ta, muszę to wyznać, częściowo pokrywała się z prawdą. Otóż powiadano, iż poślubiłam Chrisa dla jego dziedzictwa.

Być może wyszłabym za niego i tak, trudno powiedzieć. Wszakże jak już wspomniałam, Robert pozostawił same długi i gdy moja sytuacja przedstawiała się zgoła beznadziejnie, Chris szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał spadek po zmarłym właśnie wuju Timothy, niemającą fortunę w istocie.

Było to wydarzenie ze wszech miar niespodziewane dla wszystkich, a już najbardziej zaskakujące dla Chrisa, który wywodził się z przyzwoitej, acz ubogiej linii rodu. Tymczasem jego wuj pokłócił się okropnie z własnym synem i krótko przed śmiercią zmienił testament, wydziedziczając jedynaka i zapisując wszystko Chrisowi.

Wydało mi się to znamienne, gdyż Chris już od pewnego czasu zapewniał mnie o swej miłości, lecz miał opory przed zaproponowaniem małżeństwa. Powtarzał często, iż może mi zaoferować tylko swoje serce — co było wzruszające, a także niestety prawdziwe. Wszelako kiedy ja popadłam w kłopoty natury finansowej, on zaś został zamożnym człowiekiem, nic nam nie stało dłużej na przeszkodzie — jego oświadczyły były właściwe, a co więcej, nie mogły być bardziej na czasie, skoro znalazłam się w poważnych tarapatach, które przyczyniały mi wielkich zmartwień.

Ledwie mój mąż został złożony do grobu, niejaki Robert Cecil, młodziutki sekretarz królowej i syn jej szacownego doradcy barona Burghley, przyjechał konno do Wanstead, wiodąc tuzin krzepkich pachołków i tyleż dużych wozów. Wpuszczony do środka — nie sposób było odmówić wejścia wysokiemu urzędnikowi dworskiemu — jał wydawać swoim ludziom rozkazy usuwania z wnętrza mebli.

— Cóż w swoim mniemaniu wyprawiasz, panie? — zapytałam stanowczo.

Młody Cecil nawet się nie zawahał.

— Hrabia Leicester był winien jej królewskiej mości dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Meble z tego domu zostaną sprzedane, aby pokryć część tego długu.

— Ale mój mąż pozostawił ten dom mnie.

— Nie zaprzeczam, lecz królowa... a raczej jej skarbnik... konfiskuje wyposażenie. Jeśli zebrane przedmioty okażą się zbyt niskiej wartości, na własność skarbu przejdą również ziemie wraz z zabudowaniami.

Zanoszenie protestów do młodego Cecila miało się z celem, przyglądałam się więc bez słowa, jak jeden za drugim znikają moje ulubione meble, tkane obrazy i nawet talerze, zabierane przez przywiedzionych osiłków i układane ostrożnie na wozach. Nadaremnie uskarżałam się z oburzeniem na brak serca królowej. Na to, iż przysporzyła memu umierającemu mężowi cierpienia, nie pokazując się przy jego łożu śmierci i odmawiając mu nawet jakiejś niosącej pocieszenie wiadomości.

— Królową absorbowały sprawy wagi państwowej — burknął Cecil, mocując się z niewielkim, lecz ciężkim stolikiem, niesłychanie misternie inkrustowanym i szczególnie przeze mnie lubianym. W końcu poddał się i przekazał sprzęt jednemu z pachołków. Uniósł go z największym trudem, gdyż był słabeuszem, niskim jak karzeł i w dodatku obarczonym garbem.

— Mój mąż służył jej przez większość życia. Zasługiwał na coś więcej.

Młody Cecil rzucił mi wyrachowane spojrzenie.

— Był dobrze wynagradzany za swoje... usługi — zaśmiał się cicho przez zaciśnięte wąskie wargi. W jego oczach nie dostrzegłam jednak nawet cienia wesołości.

— Mój ojciec dowie się o tym, co tu dziś robiłeś, panie — rzekłam po chwili milczenia. — Nie pozwoli, aby traktowano mnie w taki sposób.

— Twój ojciec — wysapał w odpowiedzi, pomagając zwijać w jasny rulon imponujący wzorzysty turecki dywan — głosował wraz z innymi za tym, aby przywrócić skarbcowi fundusze, za które odpowiadał hrabia Leicester czy raczej cały jego majątek. — Kiedy wyniesiono dywan, młody Cecil siarczyście splunął w dłonie i wytarł je o pludry. — Chyba nie zdajesz sobie sprawy, pani, z obecnego stanu królewskiego skarbcza.

— I z chciwości jej doradców.

Pełne dwa dni trwało pustoszenie Wanstead i ograbianie mnie z własności, aczkolwiek muszę przyznać, iż nie zabrano wszystkiego i nie pozostawiono mnie bez niezbędnych sprzętów, tak że przynajmniej miałam na czym złożyć głowę. Cecylia użyczyła mi swoich mebli i pościeli ze swego dobrze wyposażonego domu, a nasi słudzy, traktujący mnie z wyjątkową życzliwością w tamtych dniach po śmierci Roberta, przynosili swoje rzeczy, nieraz bardzo skromne, aby było mi wygodnie w nagle pustych przestronnych wnętrzach, w których hulało tylko echo, zanim udało nam się je choć trochę wypełnić.

Wszelako żądania królowej nie ograniczyły się li tylko do Wanstead. Domagała się, by ogołocić ze wspaniałości także londyński dom mojego świętej pamięci męża, jak również rozprawić się z cudami kryjącymi się w Kenilworth (którą to posiadłość Robert zapisał w spadku swemu podupadającemu na zdrowiu bratu Ambrożemu). Chciała nawet koni z naszych stajni i wszystkich zwierząt korzystających z naszych pastwisk. Zupełnie jakby zamiast opłakiwać utratę Roberta i czcić jego pamięć, postanowiła odebrać wszystko, co kiedykolwiek do niego należało.

Odebrać wszystko mnie i pozostawić mnie z niczym, z pustymi rękami, z samym tylko grobem i ze wspomnieniem miłości.

Nie mogłam uczynić nic innego, jak się na to zgodzić, a grabieże Elżbiety nie były jedynym, z czym musiałam sobie radzić w tamtym czasie. Potężne długi mojego męża doprowadziły do procesów sądowych, wysuwania żądań przez wierzycieli i pokrzykiwania ludzi, którzy twierdzili, iż Robert w jakiś sposób ich oszukał lub skrzywdził. Chris starał się mnie bronić, tak samo jak Frank i młody Robert, miałam też prawników występujących w mojej obronie, lecz gdy wszystko zawiodło, pozostało nam tylko spłacić część długów ze spadku Chrisa i zaspokoić roszczenia tych, którzy najbardziej się awanturowali.

No i była jeszcze Marianna, moja łagodna, czuła nowa bratowa, która okazała się twarda niczym skała i która wspierała mnie jak rodzona siostra.

Frankowe nieoczekiwane zjednoczenie z Marianną po latach utwierdziło mnie w wierze w łaskawość czuwającej nad nami Opatrzności. Jakże inaczej zdołałby ją odnaleźć po dziesięciole-

ciach od rozstania (które jak wierzył, spowodowane było jej śmiercią), i to w czas jej największej rozpacz i potrzeby? Nieraz rozmyślałam nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności — który gwoli prawdy nie był wiele dziwniejszy od pojawienia się w porę spadku Chrisa i jego oświadczyn. Dużo się w tamtych czasach mówiło o ręce Boga, który uchronił Anglię przed zaborczymi Hiszpanami. Tłumaczyłam sobie więc, iż Bóg jest szczodry i wyciągnął pomocną dłoń także do mnie i do Franka — oraz oczywiście do Marianny.

Nie była już tą wiotką, uroczą dziewczyną, w której mój brat zakochał się w młodości. Wszakże nawet w wieku czterdziestu lat pozostała zgrabna, zwinna i wytrzymała, a jej fizjonomia wciąż wydawała się przyjemna dla oka. Czarne włosy miała przyprószone siwizną, całkiem jak Frank, a jej oczy utraciły dziewczęcą niewinność ufnej córki kaznodziei, nabierając głębokiego, naczynego znużeniem wyrazu kobiety, która wiele przeszła i doświadczyła długich lat biedy i cierpienia, przeważnie samotnie.

Gdy Frank ją poznał, mieszkała wraz z rodziną we wraku łajby. Jakiś czas potem usłyszał, iż wrak został zmyty do morza w trakcie sztormu i cała rodzina — jak sądzono — zginęła.

— Wynieśliśmy się ze skorupy łodzi, zanim nadszedł tamten straszny sztorm — zwierzyła mi się któregoś popołudnia, gdyśmy siedziały w mojej sypialni w Wanstead, grzejąc się we wpadających przez okno promieniach jesiennego słońca. — Ukryliśmy się w opuszczonej chacie z przeciekającym dachem. Och, jacy byliśmy wdzięczni za to schronienie! Było niczyje, więc mogliśmy tam zostać. Ojciec zachorował i nie mógł dłużej głosić kazań. Razem z matką i siostrami obsiałyśmy ogród, żeby było co do garnka włożyć, i hodowałyśmy kurczaki. Jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. Przynajmniej nie przymieraliśmy głodem.

Opuściła wzrok i przez jej przyjemne rysy przebiegł cień.

— Ale było nam ciężko — podjęła po chwili. — Jeden z moich młodszych braci dostał gorączki i umarł. Starsi bracia zaciągnęli się na statki i nigdy do nas nie wrócili. Modliłam się o powrót Franka, ale się go nie doczekałam. Wysłałam za męż... mimo że w głębi duszy nigdy nie przestałam kochać Franka. Po paru latach odkryłam, że mój mąż miał już żonę. Wcześniej poznałam jego ciężką rękę.

— Nie miałaś dzieci?

Nie odpowiedziała od razu.

— Urodziłam chłopca — rzekła bardzo cicho. — Żył tylko kilka dni. Mój mąż...

Uniosłam rękę.

— Nie, Marianno. Nie chcę tego słuchać.

Pokiwała głową.

— Masz rację. Lepiej, żebyś tego nie słyszała.

— Moja droga — wykrztusiłam. — Tak mi przykro, droga Marianno.

Chociaż wiele wycierpiała, zachowała godność i spokój ducha. Głos nawet jej nie drżał, gdy ciągnęła swoją opowieść.

— To jeszcze nie koniec. Kiedyś mnie zobaczyła na plaży pod Rundle Head, mieszkałam tam sama, z dala od ludzi, z obawy że mój mściwy mąż może mnie odszukać. Nie pozostał mi nikt z rodziny. Nie wiedziałam, co robić ani dokąd pójść. Wszyscy wokół mówili, że zbliża się koniec świata, więc gdy zobaczyłam nadpływające hiszpańskie statki, pomyślałam, że wszyscy zginiemy. Byłam zrozpaczona...

— Dlatego rzuciłaś się do morza.

Skinęła głową. Wyciągnęłam do niej rękę, a ona ujęła ją, uśmiechając się.

— A jednak końca świata nie było. Hiszpanie odpłynęli... przynajmniej na razie. Ty i ja zostałyśmy siostrami. Czy to nie zdumiewające?

ROZDZIAŁ XLVI

— Mamo! Gdzie jesteś, mamo? Muszę z tobą pomówić! — rozległ się natarczywy głos młodego Roberta.

Na jego dźwięk ludzie podskakiwali przestraszeni albo rzucali się wypełniać rozkazy. Robert miał już dwadzieścia sześć lat i był żonaty (z mdłą córką Francisa Walsinghama, z którą pobrali się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja wyszłam za Chrisa). Odkąd został ojcem, rozaczał wokół siebie aurę dojrzałości. Nie musiał podnosić głosu, by wszyscy go słuchali.

— O co chodzi, mój drogi?

Mój wysoki, mocno zbudowany, apodyktyczny syn wpadł do komnaty z wyrazem twarzy na poły prześmiewczym, na poły kpiącym. Był z niego wesolek i chwalipięta, obaj z Chrisem mieli reputację szwendających się co noc w poszukiwaniu uciech, do jakich ciągną wszyscy młodzi mężczyźni. Gdybym była młodsza, pewnie bym się oburzała, ale tak tylko ignorowałam wyczyny męża i syna, nigdy nie wątpiąc w siłę ich miłości do mnie — aczkolwiek miałam pewne wątpliwości co do trzeźwości ich oceny w pewnych sprawach i nie omieszkłam im o tym od czasu do czasu mówić.

— A, tu jesteś, mamo!

Młody Robert, mimo iż głośny i natarczywy, nie był odpychający. Przeciwnie, ludzie do niego lgnęli. Gdziekolwiek się zjawiał, rozweselał towarzystwo. Ożywiał wszystkich. Jego silna wola, jego niechęć do jakichkolwiek ograniczeń były balsamem, świeżym powiewem po dawnych

czasach. Albowiem czy to się komuś podobało czy nie, królowa i jej podstarzali doradcy — wyłączając młodego Cecila — byli postrzegani coraz bardziej jako zgrzybiałe relikty przeszłości. Goście na dworze królewskim, jak wiedziałam od syna, zjeżdżali się tam, by podziwiać starannie zachowane artefakty z ery wczesnych rządów Elżbiety: jej osobliwe staromodne suknie, na których widok młode kobiety parskały śmiechem; jej czepki na głowę, jakich żadna szanująca się kobieta nie włożyłaby we współczesnych latach dziewięćdziesiątych szesnastego wieku; jej pierwszy tron, uderzający prostotą w porównaniu z obecnym, wyściełanym brązowym aksamitem i aż skrzącym się od brylantów i szafirów, ogromnych pereł i szmaragdów, które błyszczały w świetle kominka.

Coraz częściej Elżbietę kojarzono z przeszłością, Roberta zaś z przyszłością. Aczkolwiek przeszłość i przyszłość stały się wiernymi towarzyszkami, królowa dopuściła Roberta do kręgu najbardziej zaufanych dworzan, wybierała go na swego przeciwnika w partiach kart i opierała się na jego silnym ramieniu, wychodząc do poddanych. Od czasu do czasu zwracała się doń także o radę, choć nie został mianowany członkiem jej rady, co go niezmiernie irytowało.

W istocie irytowała go również królowa, i to tym bardziej, im więcej czasu musiał z nią spędzać. Była już przecież leciwą kobietą, z niecierpliwością i zachciankami staruszki, gdy zaś Robert, którego przezywała swoim Dzikim Koniem, był mężczyzną w kwiecie wieku, folgującym wyłącznie swoim potrzebom i opiniom i wzdrygającym się na jakiegokolwiek więzy i kajdany, w które chciała go zakuć Elżbieta.

Z pewnością połączyła ich bliska zażyłość, lecz nie brakowało w niej napięcia.

— Tu jesteś! — powtórzył, całując mnie w oba policzki. Doleciał mnie ostry zapach piżma i męskiego potu. Robert był cały czerwony na twarzy od wysiłku.

Kazałam służącemu przynieść dzban cienkiego piwa i spytałam syna, czy chciałby coś zjeść.

— Nie, mam — odparł. — Nie przyszedłem jeść, tylko porozmawiać o tobie. O tobie i królowej.

— Wiesz dobrze, iż królowa nie chce mieć ze mną do czynienia.

Niecierpliwym gestem zbył moją uwagę.

— Postanowiłem, że sprowadzę cię z powrotem na jej dwór! Tam jest twoje miejsce.

— Królowa nigdy się na to nie zgodzi.

— Na kości Pana! Elżbieta jest swarliwa i stara. Nigdy się na nic nie godzi. Trzeba ją udo-bruchać... albo przymusić.

Słowa mego syna mnie zaniepokoiły. Czemu nagle stało się takie ważne, abym wróciła do Londynu? Nigdy nie przejawiałam inklinacji do powrotu i dawałam to jasno do zrozumienia. Nie uśmiechało mi się towarzystwo Elżbiety, ciarki przebiegały mi po plecach na myśl o jej zastarzałej niechęci do mnie i szeroko znanej mściwości i skłonności do czynienia innym krzywdy.

— Nie, synu — powiedziałam. — Jak ci wiadomo, dobrze mi tutaj, na prowincji, z dala od Londynu z jego odorami i hałasem. Skoro już o tym mowa, zamierzamy się z Chrisem przenieść jeszcze dalej, do Drayton Bassett w Staffordshire.

Drayton Bassett było jeszcze jednym majątkiem Dudleya, oszczędzonym w trakcie grabieży zarządzonych przez królową. Składał się nań niewielki, lecz wygodny dom z jakimiś dwudziestoma siedmioma komnatami wraz z czworakami, spichlerzem i kawałkiem ziemi.

Robert osuszył dzban do dna i wytarł usta wierzchem wielkiej dłoni.

— Twoje miejsce, mamó, naprawdę jest na dworze królewskim. Biorąc pod uwagę, że w twych żyłach płynie błękitna krew, a królowa nie ma potomka...

— Błękitna krew! Cóż, tak, to prawda, iż moja matka często dawała do zrozumienia, iż ma się za królewską córkę. Tylko że oczywiście nie miała możliwości tego udowodnić. Zresztą nawet gdyby naprawdę była córką Henryka, jej pochodzenie byłoby nieprawe.

— Elżbieta też jest bękartem! — wtrącił Robert. — Wszyscy katolicy tak uważają. To czyni z niej równie pewną kandydatkę do korony jak ty... czy ja.

Poczułam zdziwienie i niesmak, kiedy to usłyszałam. Aż do tamtej pory mój syn nigdy nie zabierał głosu w sprawie sukcesji ani — skoro już o tym mowa — w żadnych innych sprawach Korony, z wyłączeniem wojskowych.

— Mam nadzieję, synu, iż nie bierzesz udziału w niebezpiecznych rozmowach na temat prawa królowej do tronu.

— Dlaczego nie? To ważny temat w obliczu tego, że nie ma następcy i musi kogoś wyznaczyć do tej roli. Doszły mnie słuchy, że raz, gdy była bardzo chora i bliska śmierci, mianowała protektorem królestwa mego ojczyma. Czy to prawda?

— Owszem, aczkolwiek jej rada była temu przeciwna. Decyzja ta narobiła wiele złej krwi.

— Dlaczego by nie miała wyznaczyć mnie na protektora? Albo jeszcze lepiej na następcę tronu? Nadaję się do tej roli znacznie bardziej niż mój ojczym. Jestem silniejszy i dzielniejszy. Mam posłuch wśród ludzi. Poza tym jego nienawidzono, a mnie, jak zapewne zdążyłaś zauważyć, większość ludzi darzy sympatią.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Jak już wspomniałam, mój syn miał w sobie coś, co przyciągało doń ludzi. W miarę upływu lat pełnił coraz bardziej odpowiedzialne funkcje jako dworzanin i przyboczny królowej i był coraz bardziej podziwiany. Od Chrisa wiedziałam, iż w Londynie gapie nierzadko zbierali się przy bramach pałacu, kiedy miał się pokazać Robert.

Mimo iż teraz syn nagabywał mnie w różnych sprawach, zachowywałam milczenie, mówiąc mu, iż dokończymy tę rozmowę przy innej okazji. Wszelako byłam wstrząśnięta. Te i podobnie pochopne stwierdzenia rzucane przez Roberta upewniły mnie, iż prosi się o nieszczęście. W dodat-

ku najwyraźniej pragnął mojej obecności na dworze królewskim, w swoim pobliżu, abym mogła udzielić poparcia jego ryzykanckim planom.

Próbowałam poruszyć ten temat w rozmowie z Chrisem, wyjaśnić mu, jak niebezpieczne jest mieszanie się mojego syna do spraw sukcesji.

— Niejeden stracił głowę z błahszego powodu — zauważyłam. — Prawie cała rodzina Dudleya została uwięziona w Tower, kiedy jego brat Guildford ożenił się z Jane Grey i spróbował sięgnąć po koronę. To sprowokowało falę egzekucji. Elżbieta trafiła do lochu, gdy padły podejrzenia, iż zamierza stracić z tronu swoją siostrę Marię. Robert stąpa po kruchym lodzie.

— W takim razie ryzykuję razem z nim — oznajmił Chris sztywno.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć...

— Zamierzam wspierać Roberta, cokolwiek postanowi.

Jeszcze nigdy nie widziałam mojego młodego męża takim zdecydowanym. Albo takim nieostrożnym. Zrozumiałam, iż gdy w grę wchodzi plany mojego syna, nikt nie zdoła przemówić Chrisowi do rozsądku.

Cóż mogłam zrobić? Byłam bezradna i zrozpaczona. Źle sypiałam, ciągle budzona przez koszmary, sny, w których pośród rozmaitych głosów wyróżniał się natarczywy głos mego syna Roberta. „Wróc na dwór królewski!” — mówił. — „Musisz wrócić na dwór! Postanowiłem, że sprowadzę cię z powrotem do Londynu! Twoje miejsce jest na dworze królewskim!”...

ROZDZIAŁ XLVII

W roku śmierci mojego ojca panował nieurodzaj, silne chłodne deszcze chłostały nasiąkniętą wodą ziemię, przynosząc głód i choroby, i wiele zgonów. Ucierpiały Anglia i Szkocja, i nawet jak powiadano, dzika Irlandia. Zapasy szybko się skończyły, a dzierżawcy zebrali w czasie żalonych żniw tyle, co kot napłakał, i zgromadzili w stodołach Drayton Bassett w nadziei, iż to utrzyma przy życiu domowników i służbę i wspomocze okolicznych wieśniaków. Wszyscy się modlili, by nie padło zbyt wiele zwierząt, mimo iż bydło chudło w oczach i nawet kury — te, z których jeszcze nie ugotowaliśmy rosołu, licząc na ich jajka — przypominały szkielety. Przypuszczałam, iż robaczki, którymi się żywiły, potopiły się w czasie obfitych deszczów, chociaż kiedy nadeszła wiosna, drozdy żywiące się tymi samymi robaczkami zdawały się pulchne i żywotne, a występowały w nie mniejszej niż zazwyczaj liczbie.

Był to rok śmierci i wielkiej potrzeby, ów rok tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty szósty, kiedy ja obchodziłam swoje pięćdziesiąte piąte urodziny. Moja droga bratowa Marianna, spędziwszy większość życia w potrzebie, została aniołem litości dla naszych wieśniaków, biorąc na siebie odpowiedzialność za wydzielanie ziarna i suszonych warzyw, a nawet chodząc do lasu na grzyby — które jak wiadomo każdemu dziecku, są bardzo pożywne, z wyjątkiem tych trujących — oraz po korę z sosny i brzozy, którą następnie mielono i używano do wypiekania podplomyków.

Wtedy też nadeszły z Londynu smutne wieści. Poinformowano mnie, iż ojciec zmarł nagle, ledwie skończyło się burzliwe zebranie rady królewskiej. Biorąc pod uwagę sędziwy wiek ojca (miał osiemdziesiąt dwa lata), nie powinno mnie to dziwić, a jednak jego śmierć stanowiła zaskoczenie, gdyż nie poprzedziła jej żadna choroba. Z trudem przychodziło mi sobie wyobrazić otoczenie królowej bez niego, który zdawał się sprawować rządy na dworze od zawsze. Był stałym elementem pałacu — przynajmniej odkąd ja sięgałam pamięcią. Wiadomość wprawiła mnie w oszłomienie, a w dodatku jak to często bywa, dołożyła się do nieustającego kryzysu spowodowanego tym razem niewystarczającą ilością pożywienia oraz narastającym niepokojem i krytyką pod adresem Elżbiety.

Natychmiast udałam się z Chrisem do stolicy, by wziąć udział w mszy za duszę ojca i dopilnować uroczystości pogrzebowych. To, co zastaliśmy na miejscu, wstrząsnęło nami — miasto przedstawiało obraz nędzy i rozpacz, po ulicach turkotały wozy ze zwłokami, na każdym kroku napotykało się żebraków i nieszczęśników, których widok chwycił za serce. W swoim życiu byłam świadkiem plagi, przejeżdżałam przez okolicę zniszczoną przez głód. Ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś tak przerażającego jak Londyn tamtego roku, z dźwiękiem dzwonów głodu (jak je nazywałam) w tle, z gniewnym tłumem gromadzącym się pod bramami pałacu i przeklinającym królową, wreszcie z oddziałami wojska próbującymi zapobiec rebelii. Szczególnie dobrze strzeżono skarbcza, gdzie jak zauważyłam, donoszono świeże zapasy broni i amunicji, by zmagazynować je za masywnymi starymi żelaznymi wrotami.

Na pewien sposób się cieszyłam, iż ojciec nie dożył najgorszego. Widoku grupek niezadowolonych poddanych z transparentami krzyczącymi KARM NAS, PROWADŹ NAS. Groźnych czeladników — najmniej stałego elementu kapryśnej populacji stolicy — z domowej roboty pikami i toporami w rękach oraz długimi nożami wiszącymi u pasa. Chylących się do ziemi nadrzecznych ruder, gdzie wychudzone matki w łachmanach na darmo próbowały uciszyć płaczące dzieci.

Pogrzeb mojego ojca odbył się w kościele pod wezwaniem Świętego Idziego, jak miało to miejsce w wypadku większości wielmożów i zarazem cenionych urzędników dworskich i doradców królowej. Zaraz po ceremonii trumnę wyniesiono na zewnątrz, skąd miała zostać przewieziona do Rotherfield Greys i tam złożona w grobie zgodnie z ostatnią wolą Franciszka Knollysa. Mój syn

Robert był jednym z sześciu mężczyzn niosących trumnę i jak tylko pokazał się przed kościołem, w czekającym tłumie rozległy się ochocze i buntownicze okrzyki. Hałas zagłuszył nawet dźwięki dzwonów głodu i przyciągnął kolejne grupki ciekawskich, aż zaczęło nam się zdawać, iż połowa Londynu stawiała się, by wiwatować na cześć Roberta Devereux.

— Karm nas, prowadź nas! — skandował tłum, dopóki trumna ojca nie spoczęła na karawanie i nie rozpoczęliśmy z Chrisem powolnej podróży na wieś, z ulgą żegnając rozgwar i ohydny smród cierpiącego Londynu.

*

W końcu, w drugim roku trwania głodu, zostałam wezwana na dwór królewski, gdzie objęłam funkcję niegdyś pełnioną przez mamę, nadzorczyńni i przyzwoitki młódek. Wyglądało na to, iż Robertowi udało się zrobić to, co zapowiedział: udobruchać lub przymusić Elżbietę, wskutek czego znalazło się dla mnie miejsce w jej świecie.

Mimo to i tak podchodziłam do niej z dużą ostrożnością. Kiedy byłam prowadzona przed jej oblicze przez młodego i wysokiego służącego, cała się trzęsłam, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

Otrzymałam rozkaz stawienia się w jej komnacie jadalnej o określonej godzinie i bardzo się pilnowałam, by się nie spóźnić. Polecono mi włożyć białą suknię przybraną czernią i nie stroić włosów kamieniami szlachetnymi. Brodaty gwardzista w złotym dublecie, dzierżący ciężką drewnianą halabardę, wprowadził mnie do obszernego, eleganckiego pomieszczenia o ścianach udekorowanych haftowanymi materiałami utkanymi z mięsistego jedwabiu w kolorze purpury i nieba (które były barwami Roberta, jak pamiętałam) i o posadzkach zaścielonych świeżymi, słodko pachnącymi trocinami uperfumowanymi rozmarynem.

U szczytu długiego, pustego stołu jadalnianego zasiadała Elżbieta w wysoko upiętej rudej peruce, która gryzła się z barwami tapiserii. Umalowana mocno twarz królowej zdawała się karykaturą. Ogniście pomarańczowa suknia rozchyłała się na zapadniętej piersi, której nie kryło nic więcej. Nie umiałam powiedzieć, czy królowa jest tak bezwstydną czy po prostu nieświadomą własnej nagości. Poczułam się wstrząśnięta tym widokiem, gdyż Elżbieta bardzo się zmieniła od dnia, gdy widziałam ją w Tilbury. Wodziła wokół mało przytomnym spojrzeniem. Wyłamywała sobie długie palce, siedząc przy pustym stole, a przy każdym jej ruchu klejnoty umocowane na peruce i pomarszczonej szyi rzucały odblaski w świetle płomieni. Zdawało mi się, iż przez moment widziałam w jej zimnych oczach połyskujące łzy.

Podczas gdy stałam i patrzyłam na nią, do komnaty weszli dwaj dworzanie — jeden niósł srebrną laskę, drugi zaś kunsztownie haftowaną pelerynę. Obaj najpierw uklękli przed królową, a potem rozłożyli na stole ciężki obrus z lnu koloru kości słoniowej. Za nimi pojawili się inni pano-

wie, ci nieśli złotą paterę z chlebem i ogromną, zdobioną bogato solniczkę. Dalej postępowali liczni służący w szkarłatnych liberiach, każdy z ciężkim talerzem ze złota, na którym leżała mała porcja jedzenia.

Zatem wciąż odżywia się skromnie, pomyślałam, wspominając lata swojej służby w pałacu i to, iż królowa zawsze jadła jak wróbelek. Stało się jasne, iż jest taka chuda nie tylko ze starości, ale również dlatego że się głodzi. Nie zapomniałam tego, co powiedział mi kiedyś Robert — iż w jej potrawach nieraz znaleziono ślady trucizny.

Do komnaty wkroczył tuzin trębaczy, wygrywając fanfarę, do której dołączyły dźwięki werbli. Podczas gdy królowa jadła, muzykanci przygrywali skoczne melodie. Z tym że nikt nie rwał się do tańca. Tylko stopy królowej podrygiwały w miejscu, a jej ciało kołysało się i telepało w rytm dźwięków odbijających się echem od ścian ogromnego pomieszczenia.

Elżbieta jadła i wychylała kielich za kielichem, nucąc graną melodię. Nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi i zanim minęła godzina czy coś koło tego, miałam serdecznie dość stania i marzyłam tylko o tym, by móc wreszcie odpocząć. Byłam głodna, a unoszące się w powietrzu smaczkowite zapachy potraw — w większości nietkniętych na złotej zastawie — kusiły, powodując napływanie ślinki do ust.

Postanowiła mnie upokorzyć. Demonstrowała, iż ma nade mną władzę, może kazać mi stać, podczas gdy sama siedzi i skubie jedzenie, którego było w bród. Pilnowałam się i nie traciłam czujności. Ale byłam zła. Bo czyż w moich żyłach, tak jak w jej, nie płynęła królewska krew, o czym przypomniał mi niedawno Robert? Czyż nie byłam, tak jak ona, potomkinią wielkiego króla Henryka Tudora? Obie go przypominałyśmy, bez dwóch zdań. Chyba więc obie, jako jego dziewczynki, miałyśmy takie samo prawo zasiadać w wielkiej sali tego pałacu, pożywając się. Byłyśmy kuzynkami, krew z krwi, kość z kości, nawet jeśli nie łączyło nas zbyt oficjalne pokrewieństwo. Zresztą jakie miało znaczenie, iż moja babka była jego kochanką, a nie żoną? Czyż Elżbieta także nie została okrzyknięta dzieckiem z nieprawego łoża?

Usłyszałam, iż burczy mi w brzuchu. Impulsywnie uczyniłam rzecz niesłychaną. Zamaszyście podeszłam do stołu i złapałam nietknięty talerz. Nikt mnie nie powstrzymał. Dzierżąc trzęsącymi się rękami ciężkie nakrycie, przysiadłam na ławie i zaczęłam jeść, z każdym kęsem obawiając się, iż królowa wykrzyczy rozkaz i zostanę siłą wyprowadzona z komnaty.

Zamiast tego jednak upiła kordiału z kielicha i powiedziała głosem lodowato zimnym od szyderstwa:

— Częstuj się, wszetecznico. Starczy dla wszystkich.

ROZDZIAŁ XLVIII

— Masz czyraka na czole?

Ton głosu był ostry, spojrzenie ciężkie. Właśnie skończyła jeść i gestem dała znak, aby zabrano naczynia. Doskonale pamiętałam tamten dzień przed jakże wielu laty, gdy po raz pierwszy stawiałam się na jej dworze i zadała mi to samo pytanie.

— Masz czyraka na czole? Czyraki to znamię ladacznicy.

— Nic mi o tym nie wiadomo, wasza królewska mość.

— Psuje twój wygląd. W dodatku się postarzałaś.

Służący i muzykanci wysypali się na korytarz. Zostałyśmy same w imponującej komnacie o wysokim sklepieniu i smukłych oknach, gdzie rozbrzmiewało długo echo. Elżbieta zacisnęła dłonie w pięści i pochyliła się ku mnie, z łokciami na stole i nieprzystojnie się rozchylającymi połami sukni.

— Znalazłaś się tu tylko z jednego powodu, wszeteczniczo: aby ukrócić cugli swemu synowi. Strzeż się, jeśli posunie się o krok za daleko.

Nie musiała mówić nic więcej, tak jak ja nie musiałam odpowiadać. Przecież widziałam na własne oczy, jaki entuzjazm wśród niespokojnego ludu potrafi wzbudzić Robert. W podobnej atmosferze i przy pogarszających się nastrojach głodnych poddanych wybuch przemocy był niemal pewny. A przy tym, zdałam sobie sprawę, gdyby w jakiś sposób ograniczyła Roberta albo go uwięziła, jego poplecznicy tym bardziej wystąpiliby przeciwko niej.

Wykazała się sprytem, jak zawsze. Wezwała mnie tutaj, aby wykorzystać do ostudzenia gorącej głowy mego syna i zapanowania nad jego wymykającymi się spod kontroli ambicjami, równocześnie pokazując Robertowi, który był mi szczerze oddany, iż ma mnie w swojej mocy i jeśli przyjdzie jej ochota, może mnie w każdej chwili skrzywdzić.

Oboje byliśmy jej pionkami. Chociaż Robert, ze swoim wyglądem i charakterem wojownika, był ode mnie znacznie niebezpieczniejszy i powinna go traktować raczej jak zagrażającego jej hetmana. Właśnie, hetmana. Z własnym zamkiem. Albo jak bastion, który stanął na jej drodze i jest broniony przez liczną załogę.

Mimo iż dwór dojrzałej (niektórzy powiadali, iż przejrzałej) królowej prawie w niczym nie przypominał młodzieńczego dworu z czasów, gdy byłam dziewczyną, dość szybko wciągnęłam się w niepewną rutynę i zaczęłam odkrywać, czego się ode mnie oczekuje. Mój oficjalny tytuł dworskiej przyzwoitki wiązał się z obowiązkami względem młodziutkich niezamężnych panien z dobrych domów, które rodzice przysłali do pałacu, aby służyły królowej jako dworki i zwracały uwa-

gę przyszłych mężów. Wszelako, jak rychło pojęłam, tak naprawdę miałam być na zawołanie Elżbiety, gdziekolwiek i kiedykolwiek sobie zażyczyła mojej obecności. Co dziwne — dziwne o tyle, iż od dawna darzyła mnie nienawiścią — ufała mi bardziej niż tym wszystkim, których znała słabiej niż mnie. Przemądrzałe młode pokolenie, które osiągało pełnoletność w ostatnich latach szesnastego wieku, napawało ją strachem, choć trzeba jej przyznać, iż starała się ukrywać swoje obawy. Po prawdzie, czuła brzemień lat i bliskość znanych jej osób, osób, z którymi łączyły ją więzy pokrewieństwa, przynosiła jej ulgę.

— Letycjo! Letycjo! Podaj mi laskę!... okulary!... kielich!... — wołała głosem ochrypłym od ciągłego krzyczenia i narzekania. — Letycjo! Płomienie są zbyt wysokie. Bolą mnie od nich oczy!... Letycjo! Zabierz ode mnie to zwierciadło! Sprawiam wrażenie chorej! Nikt nie powinien mnie oglądać w takim stanie, sama nie powinnam się oglądać...

Czasami, gdy bolesna chiragra w prawym kciuku stawiała się nie do zniesienia, wzywała mnie, abym za nią pisała. Oczywiście miała swoich sekretarzy, światłych mężczyzn, którzy umieli formułować listy w eleganckiej łacinie, ale jej było łatwiej dyktować treść mnie, przyznała nawet — w rzadkim przyływie dobrego humoru, który zaowocował pochwałą — iż nie ma trudności z odczytaniem mojego wyraźnego, krągłego pisma.

Często bywała burkliwa, jeszcze częściej niegrzeczna, potrafiła także być cięta i okrutna, a służące jej kobiety już dawno posiadały zdolność robienia uników przed pantoflami ciskanymi przez nią z okrzykiem *Point de guerre!* — co jest zawołaniem szermierzy — cierpienia w milczeniu, gdy Elżbieta żartobliwie nacierała im uszu i ciągnęła za włosy. Gwoli ścisłości muszę nadmienić, iż kiedy królowa ciągnęła za włosy Roberta, nieraz wystarczająco mocno, by przypawić go o łyzy oczach — robił się zły. Była to ich niemiła zabawa — Elżbieta lubiła się z nim drażnić, by sprawdzić, jak daleko może się posunąć w tej pełnej napięcia grze, zanim natrze na nią z warknięciem albo wypadnie z komnaty, klnąc w żywy kamień.

Dla dobra Roberta znosiłam jej żądania i krytykę tak dobrze, jak potrafiłam, w gruncie rzeczy lepiej niż ktokolwiek inny, biorąc pod uwagę wszystko, co między nami zaszło, co pozostało niewypowiedziane, lecz wszechobecne. Wszelako gdy ogarniał ją typowy dla niej ponury nastrój, nawet ja nie byłam w stanie podołać.

W swoich najgorszych chwilach królowa była kapryśna jak dziecko i nieokiełznana, mamrotała w kółko: „Kto mieczem wojuje... Kto mieczem wojuje...”, miotała naczynia i dzbany, a nawet ciężkie srebrne świeczniki w tych, którzyśmy wywołali nagły atak furii. Każdy miał swoje metody przewidywania takich ataków i starał się umknąć w porę. Zapamiętała w gniewie przechadzała się w tę i z powrotem po prywatnej komnacie, tupiąc nogą, wykrzykując przenikliwe przekleństwa i

groźby, podnosząc zardzewiały miecz, z którym się nie rozstawała, i wrażając go w zasłony, kotary, skrzynie — wszędzie tam, gdzie jej zdaniem czaił się wróg.

Mój syn zdawał się czerpać siłę z tych pokazów kapryśności Elżbiety i z radością witał pojedynki między nimi. Przyglądałam im się, jak grają w karty, jeżdżą konno po parku nawet w deszczu (gdyż królowa nie zaprzestała jazdy w siodle ani polowań ku ewidentnej rozpaczy swoich lekarzy), tańczą do lubieżnych taktów galiard oraz akrobatyczną wolte, kłócą się i szamoczą, nieraz wymierzając sobie udawane razy, nieraz kończąc sprzeczkę pośród rześistego śmiechu.

Gra była niebezpieczna, ale Robert wiedział, iż bez względu na wszystko zawsze należy pozwolić wygrać wrażliwej królowej. Zresztą nigdy nie doszło do prawdziwych rękoczynów, nigdy żadnej ze stron nie stała się prawdziwa krzywda. Być może zapobiegała temu moja obecność, trudno mi powiedzieć z całą pewnością.

Widziałam wyraźnie, iż Elżbieta ma słabość do mojego syna, aczkolwiek nie była w jego niewoli, tak jak niegdyś była w niewoli Dudleya. Co istotniejsze, nie miałam wątpliwości, iż go przejrzała. Zdawała sobie sprawę, iż tak naprawdę nie łaknie jej towarzystwa ani nawet zaszczytów, jakimi może go obsypać, tylko władzy samej w sobie.

Znałam Roberta i znałam królową. Widziałam, iż mój syn jest przekonany o tym, że Elżbieta znalazła się pod jego urokiem, że gdyby tylko chciał, mógłby przeforsować swoją wolę. Nie był aż tak naiwny, by wierzyć, iż go kocha; rozumiał, tak jak i my wszyscy, iż jej jedyną miłością był Dudley. Sądził jednak, iż po śmierci ojczyrna zajął jego miejsce w jej życiu. Zdawało mu się, iż pewnego dnia, całkiem niedługo, sterana maska monarchy zsunie się z jej twarzy i królowa zrozumie swą śmiertelność, a wtedy — cóż, wtedy on będzie u jej boku zwarty i gotowy, czekając, by wyznaczyła go na swego następcę.

Elżbieta zaś — sprytna, podstępna Elżbieta — pomagała mu podtrzymywać tę iluzję.

Stwierdzenie, iż na dworze królewskim panowało napięcie w tamtych niespokojnych czasach, byłoby poważnym niedopowiedzeniem. W pałacu toczyła się nieustająca walka. Robert był członkiem rady królewskiej, wszakże samo członkostwo w tym wewnętrznym kręgu nie liczyło się zbyt wiele. Trzeba było podporządkować sobie resztę rady, umieć ją zachwiać i zapanować nad nią, a tego już mój syn nie był w stanie zrobić. Umykały mu subtelności polityki, nie mógł się równać z mistrzem w tej sztuce, uzdolnionym, błyskotliwym, karłowatym Robertem Cecillem. Przy stole rady zabrakło mojego ojca z jego kwaśnym spojrzeniem na świat, ale kojącą obecnością. Walsingham także już umarł, tak samo Hatton. Wiekowy William Cecil, ojciec rywala mojego Roberta i podpora rady królewskiej za czasów młodości Elżbiety i jej lat średnich, też był jedną nogą w grobie.

Sprawą, którą nieustannie podnoszono, w nieskończoność omawiano, była kwestia bliska sercu mego syna. Kto przejmie władzę po śmierci królowej? Co będzie, jeśli Elżbieta umrze nagle, pozostawiając królestwo nieprzygotowane? Czy da się ją namówić, by sporządziła testament i wyznaczyła w nim swego następcę? Czy da się jej przetłumaczyć, iż dopóki tego nie zrobi, dopóty w Anglii nie zapanuje pokój?

Czasem królowa była obecna przy głośnych awanturach, które wynikały podczas dyskusji na te tematy, a że zawsze żądała, abym była blisko, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała, przebywałam w komnacie rady nie tylko od święta i byłam świadkiem wszystkiego, co tam się działo.

— Król Jakub i nikt inny — oświadczył któregoś ranka młody Cecil. — Nie możemy dłużej zwlekać. Jakub jest najbliższym krewnym królowej. Jest wiernym synem prawdziwego Kościoła w przeciwieństwie do swej zmarłej matki, katoliczki Marii. Jest dojrzały, ma żonę i dzieci...

— Lubi chłopców — przerwał mu Robert. — Powinien sponać na stosie.

Cecil kontynuował niewzruszony:

— Władza Szkocją od wielu lat i utrzymuje tam porządek. Jest czytany...

— I często pijany, a przy tym tchórzliwy...

Widziałam, jak Robert nadyma ze złości mięśnie pod opinającą je cienką lnianą koszulą. Szczęki miał zaciśnięte, głos przyciszony, lecz pełen tłumionej niezyczliwości.

Cecil mówił dalej, unikając spojrzenia Roberta, który podniósł się od stołu i jął przechadzać za przewróconym krzesłem.

— Ach! Dziki Koń na wolności! — zawołała królowa ze śmiechem.

— Skontaktowałem się z królem Jakubem — poinformował Cecil. — Godzi się zostać naszym władcą, w duchu służby Panu Bogu.

Robert prychnął, donośnie i obraźliwie.

— Patrzcie na niego! — wołała królowa. — Zaraz zacznie drzeć ziemię i rzeć! — szydziła. Zwracając się do mnie, zażyczyła sobie: — Letycjo! Mój napój!

Wypełniłam polecenie. Kiedy podałam jej kielich, opróżniła go natychmiast. Oczy błyszczały jej z podniecenia. Przyglądała się Robertowi, który z kolei obserwował Cecila.

— Lepiej byś zapytał królową, czy chce, żeby ten rozbrykany, zarzygany ochlapus władał jej królestwem! No dalej, karle! Zapytaj ją!

Zebrani przy stole poruszyli się niespokojnie. Siedziałam na brzeżku ławy, rozpaczliwie pragnąc wymyślić coś, cokolwiek, co by odwróciło uwagę mojego syna.

— Może dalsza dyskusja... — bąknął niezdecydowany baron Effingham i zaraz zamilkł, kiedy wielka dłoń Roberta opadła z hukiem na wypolerowany dębowy stół.

— Kto tutaj rządzi? Nasza królowa czy ten niedorośnięty karierowicz?

— A może ty, Dziki Koniu? — spytała Elżbieta, podnosząc się nagle i zbliżając do Roberta ze zwinnością kobiety, która by miała połowę jej lat. — Czyż nie czekasz, aż wpadnę do grobu, żebyś mógł zasiąść na moim tronie? — Wyszczrzyła się i podskoczyła z nogi na nogę, ledwie się hamując, by nie zatańczyć z uciechy.

Robert był wyraźnie zmieszany. Nie wiedział, czy właśnie rzuciła nań oskarżenie czy zaprosiła do zabawy, jak to często miało miejsce, gdy padały między nimi udawane wyzwania. Marszcząc czoło, kiwał się na piętach, niepewien, co ma jej odpowiedzieć.

— Synu! — zawołałam. — Synu!... Ale było za późno.

— Co? Nie odpowiadasz? — zainteresowała się Elżbieta. — A Cecil ma odpowiedź! On wie!

Robert z warknięciem sięgnął do szyi młodego Cecila, lecz zanim zdążył zacisnąć ręce, królowa uderzyła go, mocno, na odlew w twarz, długimi paznokciami rozorując skórę i wywołując krwawienie.

Dłoń Roberta oparła się na rękojeści miecza.

Rozległy się głośnie krzyki, ktoś wezwał strażę i wnet w komnacie pojawił się tuzin uzbrojonych gwardzistów, by pojmać Roberta i zawieść królową w bezpieczne miejsce, odcinając drogę odwrotu wszystkim zgromadzonym, gdyż przy każdych drzwiach nagle wyrosli zbrojni.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, iż nawet nie zdążyłam mrugnąć. Gwałtownie łapałam powietrze. Roberta nie było nigdzie w pobliżu. Słyszałam tylko, jak stara królowa, prowadzona korytarzem, wrzeszczy:

— Zamknąć go, szubrawca! Zamknąć zabójcę! Zamknąć dobrze i nigdy nie wypuścić!

ROZDZIAŁ XLIX

To był początek końca.

Elżbieta ostatecznie uwolniła Roberta z więzienia, a on na klęczkach błagał ją o wybaczenie za pochopną i gwałtowną reakcję na wymierzony przez nią policzek. Odnowili potem swoją burzliwą relację, do pewnego stopnia przynajmniej, lecz mojej uwagi nie uszło, iż królowa trzyma pokryte rdzą ostrze jeszcze bliżej pod ręką i nie przyjmuje Roberta w cztery oczy. A zresztą to, czy ich niestałe charaktery znów się zetną w pojedynku, dość szybko i tak przestało mieć znaczenie, gdyż Hiszpanie ponownie zaczęli nam podgryzać pięty, tym razem w Irlandii.

Irlandczycy, jak się zdawało, byli wiecznymi buntownikami w stanie rebelii, wszelako teraz, kiedy król Filip był ciężko chory i od swoich lekarzy usłyszał, iż nie pociągnie już długo, postano-

wił zadać królestwu Elżbiety ostatni, śmiertelny cios. Wysłał żołnierzy, pieniądze i broń dla poparcia irlandzkich powstańców i z tego co mówił Frank, wynikało, iż hiszpańscy kapitanowie już wypatrują, gdzie by tu przybić do brzegu na zachodzie.

Królowa skierowała Roberta wraz z szesnastoma tysiącami doborowych strażników z całej Anglii, aby zwiążali walką buntowników i ich hiszpańskich sprzymierzeńców, krzyżując szyki Filipowi. Chris towarzyszył mojemu synowi jako jego zastępca. Starsi chłopcy Penelopy również chcieli wziąć udział w wojnie, lecz ich ojciec, baron Rich, w swej mądrości im tego zabronił, za co byłam mu skrycie wdzięczna.

Albowiem wbrew wysiłkom Roberta kampania w Irlandii zakończyła się fiaskiem. Połowa jego podkomendnych zapadła na błotną gorączkę, z czego ćwierć umarła. Irlandczycy okazali się nieuchwytni — i zabójczy, kiedy już na nich natrafiono. Robert pisał do mnie, jak tylko miał okazję, opisując okropieństwa błotnej gorączki (od której sam cierpiał), skarżąc się na nieustannie złą pogodę i na dezercje. Nie mogłam nie wspomnieć utrzymanych w podobnym tonie listów jego ojczyzna pisanych z Flandrii, ponieważ skargi dotyczyły tego samego: chorób, defetyzmu, braku wystarczających funduszy i marnotrawienia ludzi i złota. Angielscy strażnicy nie byli wyszkolonymi żołnierzami jak Hiszpanie, nie potrafili podejść sprytnie przeciwnika, umieli tylko się przed nim bronić. W efekcie im dłużej trwały te przepychanki, tym większą przewagę zdobywali rebelianci i ich zagraniczni sojusznicy. Z listów Roberta była czytelna informacja: przegrywał z wrogiem i z własnymi nadziejami.

Koniec końców nie było innego wyjścia, jak zawrzeć rozejm — rozejm, który potwierdzałby nie tyle sytuację patową, ile kapitulację. Zawiadomiona o tym Elżbieta zawrzała z wściekłości.

— Nie ma mowy! Tylko nie drugi Dudley! Tylko nie druga porażka!

Wezwała Cecila i krzyczała nań długo i głośno. Gdy z nim skończyła, zawołała mnie.

— Letycjo! Pisz, a szybko!

Pośpiesznie przyniosłam przybory do pisania i notowałam jej słowa.

Do Roberta Devereux, hrabiego Essex, przegranego lorda namiestnika Irlandii:

W żadnym razie nie wolno Ci wracać do Anglii, dopóki nie stłumisz powstania wiarołomnych Irlandczyków i nie pozbędziesz się ich podstępnych hiszpańskich wspólników!

Z rozkazu Jej Królewskiej Mości.

Spisałam wiadomość, zapieczętowałam ją i przesłałam przez rączego gońca, który odjechał w noc, kierując się ku zachodowi.

Niecały miesiąc później powrócił Robert, zignorowawszy królewski rozkaz. Pojawił się w szyku marszowym, prowadząc te parę tysięcy ludzi, które mu zostały. Spodziewał się tłumów wylegających na ulice, hord zataczających się żołnierzy, zabijających czas po tawernach, lecz na jego widok porzucających gorzałkę i dołączających do kolumny z nim w roli pstrokatego flecisty na czele, zwłaszcza zaś na niezawodnych londyńskich czeladników z ich naostrzonymi długimi nożami i toporkami. Liczył na swoich ludzi. Na swój lud. Na londyńczyków, którzy z pewnością zmiotą z drogi wszystkich jego nieprzyjaciół i usadzą go na tronie.

Rychło się jednak przekonał, iż młody Cecil zdążył powołać pod broń strażników miejskich i królewską gwardię w pełnym składzie, żołnierzy za starych na wyprawę do Irlandii, lecz mających dość sił, by bronić bram i twierdz stolicy z naładowanymi arkebuzami w dłoniach. Cecil sypnął nawet groszem ze skarbca, by zwabić najemników, i pożyczył od króla Jakuba Szkockiego zbrojnych, których nie mogła dać angielska ziemia.

Od króla Jakuba, którego zapewniono wcześniej pod nieobecność mego syna, iż kiedy stara królowa umrze, korona Anglii przejdzie w jego ręce.

Rozpuszczono po mieście pogłoski, iż Robert, przegrany lord namiestnik Irlandii, wysłał włoskiego truciciela, by zgładził królową. Starą, nierzadko wyśmiewaną, nierzadko krytykowaną, lecz w gruncie rzeczy nadal wielbioną przez wszystkich poddanych królową Elżbietę. Truciciela, jak mówiono, pojmano i odesłano do Włoch. Londyńczycy nie posiadali się ze szczęścia. Jeśli nawet kiedyś miał szansę przeciągnąć ich na swoją stronę, utracił ją na zawsze.

Został pojmany i uwięziony. Lud nie protestował. Nikt nie wystąpił w obronie mego syna. Ciężkie żelazne drzwi lochu zamknęły się z hukiem i odtąd pilnie ich strzegli królewscy żołnierze. Mój drogi, lekkomyślny, niemądry Robert został pozostawiony sam sobie w ciemnościach, by zastanawiać się, jaki los go czeka.

ROZDZIAŁ L

Z początku nie pozwalano mi go nawet odwiedzić. Odmawiano mi widzenia z rodzonym synem! Usłyszałam, iż nie mogę przekroczyć progu jego celi, mimo iż jestem jego matką.

Zażądałam spotkania z Cecilem.

— Nikt nie może go odwiedzać ani z nim rozmawiać — powtórzył zwięźle sekretarz, kiedy stawiał się w więzieniu. — Udowodniono mu zdradę.

— Doskonale wiesz, iż to nieprawda! — syknęłam na wstrętnego karła, który stał pomiędzy mną i moim dzieckiem. — Natychmiast każ otworzyć te drzwi!

Cecil jednak stał niewzruszenie przed masywną żelazną barierą, założywszy pulchne krótkie ramiona na wątlej piersi, i patrzył prosto przed siebie. Jakkolwiek głośno krzyczałam, jakichkolwiek obelżywych słów używałam, on ani drgnął. Wkrótce w lochu zjawił się tuzin uzbrojonych strażników, a Cecil jakby nigdy nic odszedł.

Robertowi, Chrisowi i parunastu innym mężczyznom wytoczono proces, udowodniono winę i skazano na śmierć. Ręka mi drży, gdy piszę te słowa: skazano na egzekucję.

Cóż takiego oni wszyscy uczynili? Nie posłuchali królewskiego rozkazu i nie pozostali w zapomnianym przez Boga kraju, gdzie jeden po drugim ginęli jak muchy od błotnej gorączki. Nie kontynuowali skazanej na porażkę kampanii wojennej. Zamiast wykonać rozkazy, zrobili to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek — opuścili Irlandię. Gdyby nie to, zginęłyby kolejne tysiące.

Przechadzałam się nerwowo przed zatrzaśniętymi drzwiami lochu, obserwowana bacznie przez nieczułych strażników. Uderzałam pięściami w kamienne mury. Wołałam imię Roberta raz po raz i na próżno wyczekiwałam odpowiedzi.

Następnie, na wpół oszalała ze zgrzyoty i cierpienia, skierowałam się do pałacu. Nie wpuszczono mnie. Udałam, iż odchodzę, po czym ukradkiem dostałam się na zewnętrzny dziedziniec przez niepozorną szczelinę w starym ogrodzeniu nieopodal schodów wodnych, miejscu dostępnym tylko podczas odpływu i znanym wyłącznie tym, którzy czuli się na dworze królewskim jak w domu. Po drugiej stronie zdjęłam nakrycie głowy i kryzę i przysłoniłam twarz kawałkiem materiału oderwanym ze spódnicy. Wbijając wzrok w ziemię i trzymając się blisko wozu ze szczapami drewna na opał i workami z ziarnem, przedostałam się na wewnętrzny dziedziniec, na który jak wiedziałam, wychodziły okna komnat królowej.

Stałam bezpośrednio pod oknem jej komnaty sypialnej. Widziałam stamtąd sylwetki osób przechadzających się w obie strony. Kotary nie były zaciągnięte.

Trwałam bez ruchu, zastanawiając się, czy zawołać — ryzykując, iż usłyszą mnie strażę — czy raczej zaczekać, aż ktoś z góry mnie zobaczy.

Wtedy usłyszałam znajomy dźwięk. Jakby skrzeczenie, po którym rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Królowa miała jeden ze swoich ataków. Krzyki i głuche uderzenia. Zduszony wrzask. Nagle spostrzegłam w oknie czyjąś twarz. Była to twarz Elżbiety, pozbawiona barwiczki, z rozwichrzonymi siwymi włosami szarpanymi na wszystkie strony przez podmuchy wiatru.

Królowa zezowała w dół, na mnie.

— Kto tam?

— Twoja kuzynka.

Wyciągnęła bardziej szyję, niepewna, czy oczy jej nie mylą.

— Wszetecznicza?

Nie mając pojęcia, jakich słów użyć, lecz żywiąc pewność, iż pozostało mi niewiele czasu, zanim królowa straci mną zainteresowanie, bezwiednie uciekłam się do staromodnej formułki wyznania skruchy:

— Kajam się przed tobą, wasza królewska mość, za wszystkie przewiny, jakich się przeciwko tobie dopuściłam. I błagam cię, abys w swej łaskawości zechciała uwolnić mego syna i pozwolić mi zająć jego miejsce.

— Pozwolić tobie! — usłyszałam w jej głosie pogardę. — Zapomnianej wdowie po żołnierzu, który wrócił z podkulonym pod siebie ogonem. Po znenawidzonym dowódcy i człowieku! Pozwolić tobie? — powtórzyła i zaśmiała się sucho.

— Ty go nie nienawidziłaś — przypomniałam. Rozmowa jakimś sposobem zesła z mojego syna na Dudleys.

— Był słabeuszem! Tchórzem!

— Nie był tchórzem! Był ostrożny!

— Był tchórzem! — wrzasnęła, tak że cały dziedziniec rozbrzmiał echem jej oskarżycielskiego głosu. — Odważny mężczyzna sprawiłby, że bym za niego wyszła!

— I resztę życia przeżyłby, żałując! — odkrzyknęłam, albowiem jej oskarżenia pod adresem mojego męża rozwścieczyły mnie.

— Na rany Pana! Wszeteczniczo! Zabieraj się stąd, zanim każę cię wtrącić do lochu, w którym siedzi twój pustogłowy syn!

To powiedziawszy, zatrasnęła okno, aż zadźwięczały szybki. Wiedziałam już, iż nie uratuję swojego syna. Opadłam na klęczki w pyle dziedzińca, czując w ustach gorzkość porażki. Elżbieta wygrała.

Gdy tamtej nocy leżałam w łóżku w Leicester House, niezdolna zmrużyć oka, dobiegło mnie donośne stukanie do drzwi. Usłyszałam męskie głosy i to, jak służący odbija zasuwę, i tupot butów na kamiennej posadzce.

— Letycjo! — To była Marianna, moja łagodna bratowa, która zgodziła się ze mną zamieszkać, kiedy czekałam na wynik procesu mojego syna i wykonanie na nim okrutnego wyroku. — Letycjo! Przybył posłaniec od królowej!

Jakby piorun we mnie strzelił. Czy to możliwe? Naprawdę możliwe? Przyniesiono wiadomość o ułaskawieniu?

Ubrałam się tak szybko, jak umiałam, po czym wyszłam z sypialni i udałam się na dół do głównego holu. Stał tam mężczyzna, którego nie rozpoznawałam, ale który nosił królewską liberię.

— Hrabina Leicester? — Mimo iż byłam żoną Chrisa, nie używałam jego nazwiska, zatrzymałam bowiem tytuł, który przyniosło mi zamążpójście za Dudleya.

— Słucham!

Podał mi małe puzdro z rzeźbionej kości słoniowej.

— Od królowej — rzekł. — Jestem gotów ci towarzyszyć. Będę czekał na zewnątrz.

Otworzyłam wieczko puzdra. W środku znajdowała się jedna z niebiesko-purpurowych podwiązek, które Robert podarował Elżbiecie lata wcześniej, oraz złożona kartka. Rozłożyłam ją i przeczytałam słowa napisane drżącą ręką królowej.

Możesz pożegnać się z synem dzisiejszej nocy. Wybacz nieszczęsnej, niemądrej starej kobiecie.

Nie było to ułaskawienie, lecz przynajmniej mogłam mimo wszystko zobaczyć się z Robertem.

Zawieziono mnie do więzienia, gdzie tym razem nie czekał na mnie nieubłagany urzędnik dworski broniący mi dostępu do celi. Strażnik wpuścił mnie do wnętrza klitki o wysokich kamiennych ścianach, oświetlonego tylko dopalającą się pochodnią.

Robert siedział na pryczy i przeczesywał palcami włosy. Miał na sobie dublet i koszulę, pludry z miękkiej skórki i buty jeździeckie. Był gotowy do wyjścia, nie do snu.

— Mamo! — zawołał na mój widok. — Mamo, przyszedł zabrać mnie do domu?

Szok spowodowany znaczeniem jego słów, wyraz jego twarzy, pełen niepokoju i zapału, oczy rozświetlone desperacką nadzieją, wszystko to mnie obezwładniło. Potknęłam się, szlochając, i wpadłam w silne ramiona syna.

ROZDZIAŁ LI

— Najdroższy... — zdołałam powiedzieć, kiedy zabrakło mi łez. — Najdroższy synu...

Spojrzał mi w twarz i zrozumiał, bez jednego mojego słowa, iż nie przyszedł, by go zabrać do domu. By go ocalić.

Obejmował mnie mocno, niosąc pocieszenie. Nigdy wcześniej nie byłam tak świadoma jego siły jak wtedy.

— No, no, mamo. Nie przejmuj się tak! Jeszcze nie wszystko przepadło!

— Och, Robercie... Gdybym tylko... gdybym tylko zdołała cię przestrzec, zmusić cię do słuchania... i Chrisa także...

— Próbowalaś. Ostrzegałaś nas. To, co zrobiłem, zrobiłem na własne ryzyko.

— Ale... — Nie byłam w stanie mówić dalej. Powiedziano mi, iż Robert umrze nazajutrz rano.

O brzasku. Przepędziłam tę myśl precz. Nie byłam w stanie jej zdzierżyć. Już teraz czułam brzemień żałoby, przygniatające mnie. Miażdżące. Uniemożliwiające oddychanie.

— Posłuchaj, mamó. Nie wolno nam się poddawać. — Popatrzył mi prosto w oczy. — Powiedz lepiej, czy królowa dała ci jakiś znak, przekazała jakąś wiadomość... nawet najmniejsze słowo czy gest mogą mieć znaczenie...

Potrząsnęłam głową.

— Jesteś pewna? — Intensywność jego spojrzenia była niepokojąca.

— Ja... ja widziałam się z nią. Błagałam ją, by zamiast twojego wzięła moje życie. Była złośliwa. Ale potem...

— Tak? — Schwycił mnie za ramiona, jego zaciśnięte ręce nieomal sprawiały mi ból.

— Przysłała mi wiadomość. Do Leicester House. Napisała, iż mogę się z tobą zobaczyć. Przywiódł mnie tutaj jej człowiek. Ktoś, kogo nie znam. Ma powóz...

— Ha! — ryknął Robert. Był to okrzyk triumfu. — Daruje mi, mamó.

— Ale...

— Znam ją. Jest przebiegła. Tym sposobem umożliwi mi ucieczkę. Życzy sobie, abym udał się z tobą, kiedy będziesz wychodziła.

— Nie wydaje mi się, synu — rzekłam delikatnie.

Chciałam wierzyć, iż to, co mówi Robert, jest prawdą, lecz intuicja podpowiadała mi, iż się myli. Wiadomość królowej była niejednoznaczna. „Wybacz” — napisała. Sądziłam, iż chodzi jej o to, bym wybaczyła jej to, co musi zrobić. Ale może to ja się myliłam? Może w tych słowach była nadzieja?

W głowie mi się od tego kręciło.

— Nie rozumiesz, mamó? W Anglii wciąż są ludzie radzi widzieć mnie na tronie, nie tego zarzyganego Jakuba.

Otrząsnęłam się. Nie. To niemożliwe.

— Synu! Okaż rozsądek!

Ale on już sznurował buty, przyglądał włosy.

— Czy na korytarzu jest strażnik? Wyrzałam przez szparę w drzwiach.

— Nie widzę żadnego.

— Kiedy wyjdiesz... Ogarnęła mnie panika.

— Nie! Nie zostawię cię!

— Im dłużej tu jesteś, tym więcej mi grozi.

Był przekonany, iż moja obecność stanowi wiadomość. Taką, iż zostanie ułaskawiony — albo przynajmniej iż wolno mu uciec. Pragnęłam w to wierzyć wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.

Odruchowo uściskałam go raz jeszcze, przyciskając do piersi ze wszystkich sił. Intuicja podpowiadała mi, iż Robert się myli i powinien zaakceptować straszliwą prawdę, że nie ma dla niego bezpieczeństwa, nie ma drogi ucieczki. Ale gdzieś na dnie duszy coś krzychało: okaż mu litość! Okaż matczyną litość i pozwól się łudzić.

Dlatego puściłam jego szerokie barki, jego grube ramiona. Puściłam i uśmiechnęłam się — szczerze uśmiechnęłam, radośnie — po czym zawołałam strażnika.

— Wypatruj mnie, mamó. Mogę cię potrzebować, kiedy już będę wolny.

Kiwnęłam głową, nie przestając się uśmiechać i patrzeć na jego ukochaną twarz. Pragnęłam zapamiętać każdy rys, każdy łuk i każdą linię; chłonełam łączywie widok mego syna, nawet wtedy gdy słyszałam zbliżające się kroki strażnika, brzęczenie kluczy, pośpiesznie wypowiedane słowa, którymi żegnał mnie Robert. Albowiem choć łzy ciekły mi po twarzy, wiedziałam, iż jednak ma rację. Nadejdzie łaska. Jego cierpienie nie potrwa długo. O brzasku wszystko się skończy. Ale zanim to nastąpi, mój ukochany syn musiał dostać ode mnie jedyny dar, jaki mogłam mu zaofiarować. Dar nadziei.

Znalazłszy się na zewnątrz, na zimnym nocnym wietrze, łkałam, czepiając się chłodnych murów więzienia, w którym go przetrzymywano. Zanosłam się płaczem tak, jak nigdy przedtem ani potem. Nie byłam zdolna myśleć. Rozsądek opuścił mnie całkowicie. Pozostał tylko smutek i przerażenie.

Robert!

Podniosłam spojrzenie na rozległą ciemność nade mną. Punkciki gwiazd opromieniały swoim blaskiem mnie i pograżone we śnie miasto. Wypłakiwałam im się, nie przejmując się tym, kto mnie usłyszy ani jakie słowa opuszczają moje usta.

Pamiętałam, co mówiłam Robertowi, gdy kładłam go do łóżeczka, gładząc po główce. „Zamknij oczka, synku, i tańcz z aniołami!” Powtarzałam te słowa teraz, dziesięć razy, sto, aż zlały się w jedno, aż czując się całkiem skołowana i zagubiona, pozwoliłam królewskiemu posłańcowi zaprowadzić się powoli do powozu.

EPILOG

Drayton Bassett, Staffordshire,

20 grudnia 1634 roku

W końcu do tego doszło: stałam się najstarszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam.

Mogę z radością powiedzieć, iż mam dziewięćdziesiąt cztery lata, co znaczy, iż jestem o pełne dwa lata starsza niż pani Vaux z Bishop's Whittlewood, która i tak nie ma szans mnie przeżyć, nie z tymi jej omdleniami, dwiema laskami i nieumiarkowanymi opiniami na temat króla i jego nieposłusznego parlamentu.

Zatem tak, rzeczywiście jestem stara, co z ochotą potwierdzą moje praprawnuki, i dumna, a niektórzy dodaliby pewnie, że i nadmiernie zainteresowana tym, by mój głos został usłyszany. To zgrzytliwy głos, drżący, nie mogę nim już śpiewać hymnów jak należy ani kolęd. Pozostawiam to dzieciom, których słodkie głosiki dolatują tu od Świętego Piotra, ponad cichym kościelnym cmentarzykiem, nawet teraz gdy piszę te słowa.

A piszę je, siedząc przy starym dębowym biurku mojego ojca, z pamiątkami przede mną i wokół mnie. Przynoszą mi ulgę, zupełnie jak podgrzane cegły, na których opieram moje stare stopy w co zimniejsze dni. Mam tu miniatury swoich wszystkich dzieci, dawno martwych, mały obraz ostatniego statku Franka, Daru Boga, bukietik zasuszonych róż i stokrotek, który dostałam zeszłej wiosny od którejś z dziewczynek — czy była to jedna z wielu potomkiń Doroty? W każdym razie miała rude włosy, jak ja, rzadkiej barwy jesiennych liści. No, ta ładniutka.

Przyznaję, iż nie pamiętam imion ich wszystkich, tyle ich jest, małych dziewczynek i chłopców, naoglądałam się, jak tyle z nich rodzi się i dorasta, i zakochuje, i zapada na zdrowiu, i umiera... Jestem najstarszym drzewem w tym lesie. Najstarszym kamieniem na kościelnym cmentarzu. No, tym ostatnim dopiero będę.

Na jednym końcu starego dębowego biurka mojego ojca stoi wypchany bażant, wspaniały w błyszczących czerwonych i złotych piórach. Pamiątka po Walterze, uzdolnionym myśliwym. I stare dobre okulary Dudleya. I medalion z puklem włosów mojego małego Roberta. Nie z czasów, gdy był dorosłym mężczyzną, tylko wiotki loczek jasnych włosków, jakie miał, będąc dzieckiem. Mój syn urodzony pod znakiem Wenus.

No ale przejdźmy do ważniejszych spraw. Uznałam, iż wypada, abym wkroczywszy w dziewięćdziesiąty czwarty rok życia, doprowadziła do końca tę historię, która zaczęła się tak dawno temu i pozostawiła w mojej pamięci tyle obrazów i wspomnień. Zamierzałam spisywać wszyst-

kie wydarzenia, od początku do końca, ale kiedy dotarłam do tego straszliwego dnia sprzed trzydziestu trzech lat, dnia śmierci mego syna Roberta, porzuciłam swoje dzieło — i aż do dziś nie byłam w stanie podjąć opowieści.

Dzisiaj jednak mój prawnuk Gerwazy wylał na mnie kubek zimnej wody, przypominając, iż nic nie trwa wiecznie — aczkolwiek moim zdaniem kiedy ma się dziewięćdziesiąt cztery lata, może się tak człowiekowi wydawać — i dlatego chyba powinnam dopisać, co uznam za stosowne, na paru ostatnich stronach („Jeśli uda ci się streszczać, babciu” — dodał z uśmiechem, klepiąc mnie w ramię).

Muszę w tym miejscu nadmienić, iż Gerwazy, pomimo swej dobrotliwej wyrozumiałości dla mnie i sterty zapisanych przeze mnie kartek, nie jest najlepszym poetą, chociaż lubi się za takiego uważać. Jego rymy są nieświeże, niemal tak samo nieświeże jak jego oddech. Nie mam tolerancji dla mężczyzn, którzy patrzą na kobiety z góry. Nigdy nie pisałam poezji, ale gdybym to robiła, przynajmniej spróbowałabym być oryginalna.

Gerwazy porwał się na napisanie wierszem mojego epitafium. I z tego powodu puszy się z niezасłużonej dumy. Modłę się, by kiedy nadejdzie moja godzina i w końcu spocnę w grobie, ktoś miał dość oleju w głowie, by powstrzymać go przed ujawnieniem tego dzieła światu. Zresztą jakaż średnich lotów poezja jest w stanie podsumować życie takie jak moje? Tę nieuchwytną, przepełnioną szczęściem litanię godzin, która trwa nawet w chwili, gdy kreślę te słowa?

Zamieszanie na świecie. Muszę o tym napisać. Zarządzono wypatrywanie podejrzanych osób, rozstawiono strażę na traktach. W pałacu znowu panuje niepokój. Odległe miejsce, dwór królewski. Gdzie niegdyś panowała Jej Szorstka Mość Gloriana, której byłam cieniem i utrapieniem przez tyle lat. I gdzie teraz nasz najpierwszy tchórz królestwa, nasze książątko, król Karol Niezdecydowany, rzuca swój krótki cień.

Zamieszanie za oknem. Dochodzi od strony cmentarza. Wszyscy wypatrują niebezpiecznych łobuzów, wrogów Korony. Renegatów. Wszelako ja, swymi starymi uszami, wciąż słyszę echo renegatów z czasu panowania królowej Elżbiety, wszystkich co do jednego. W tym również — piszę to z wielką przykrością — mego rodzzonego syna. Ale dość o tym.

Nie mam żadnej pamiątki po królowej Elżbiecie na starym dębowym biurku mojego ojca. Ktoś mógłby powiedzieć — a Gerwazy z pewnością przyklasnąłby takiej figurze retorycznej — iż sama jestem żywą pamiątką po niej. Znałam ją jak rzadko kto, mimo iż ona darzyła mnie wielką i niegasnącą nienawiścią. Jeśli istnieje niebo i ona tam jest (błuznierstwo! tak, wiem), wciąż mnie nienawidzi, i to nawet mocniej niż kiedyś. Albowiem jedna jest tylko pewna rzecz na tym świecie, mianowicie ta, iż miłość rodzi nienawiść i zazdrość, i obezwładniające pragnienie zemsty. Na szczęście rodzi także kochające dzieci i wnuczeta, i tak dalej. Mam takie marzenie, by pewnego

dnia, daleko w przyszłości (gdyż nie będzie końca świata, bez względu na to co mówią ludzie), jakaś rudowłosa dziewczuszka przeczytała moje starożytne słowa i sięgnęła do mnie przez otchłań czasu, błogosławiąc mnie za to, iż podzieliłam się z nią — sobą.

Jesteś tą rudą dziewczuszką? Jeśli tak, życzę ci wszystkiego dobrego. Życzę ci z całego serca.

Ale zboczyłam z tematu. Pozostała mi do napisania tylko jedna rzecz, zwyczajna. Taka, iż wciąż noszę spraną i wyblakłą niebiesko-purpurową podwiązkę królowej na swojej starej nodze. I poruszam się żwawo, a nawet czasami tańczę galiardę albo dwie z rana, ku jej czci.

A na koniec temu, którego urodziny zbliżają się wielkimi krokami, o którym kolędy śpiewają dzieci, którego niezmierna miłość ogarnia nas wszystkich, zawierzam te słowa, pełna nadziei i wdzięczności...

- *Letycja Knollys, hrabina Leicester,*
roku Pańskiego 1634.

TLR